

Alain - Fournier

Mój przyjaciel Meaulnes

Każdy z nas pamięta takie chwile, gdy niespodziewanie spostrzeża, że przekroczył granicę czasu, którego utracone piękno dopiero teraz pojmuje. Zwykle pamięć szczęśliwych dni spada na nas gwałtownym odkryciem, a radość przywróconego miesza się z nostalgicznym pragnieniem ucieczki do krainy łagodnej ufnego dzieciństwa, podobnej muzyce, niosącej się z daleka o zmierzchu wiosennym.

Jak w plamie słońca spadającej stromo w burzliwy majowy czas wstają daleko krajobrazy naświetlone soczyście, gdy dookoła burawy cień — tak i w dniu powszednim odsłaniają nam się wyspy minionego szczęścia, uczuć niewinnych i mocnych. Powracają dozgonne przysięgi, śluby niezłamane, miłości, z których już wyrosliśmy. Świat był wtedy wspaniały, urzekał i oszałamiał. Uczyliśmy się jego niespodzianek. Nieomylnie ciało, pierwszy raz dochodzące do głosu, poznawało nas z kształtami, zapachami nocy i ciszą muzyczną świtów. Nie tłoczono w nas jeszcze prostackich praw, którymi dziś świat się rządzi. O, tamten, oplakany, żegnany uśmiechem pełnym łkania, był inny. On im na pewno nie podlegał.

Przypominam sobie dokładnie miejsce rozstania. Ogromną, balsamiczną topolę i szumiące nad nią obłoki. Stałem z ręką przy oczach. Odchodzili rówieśnicy, odchodzili weseli, machając kolorowymi kostiumami. Szli przez młode żyto, sami niewiele wyżsi. Głosy ich wesołe, choć niejasne na wietrze, bólem ścisnęły serce.

Za olszyną grzmiało niegroźną, krótką burzą, po której włosy mocniej pachną i wszystko rośnie. Stawy przed deszczem niosą się daleko wonią nagrzanego zielska. Koledzy szli się kąpać. Mogłem ich jeszcze dobiec. Mogłem zawołać. A jednak wiedziałem, że wyrok już zapadł i nic go nie odmieni. Zostałem sam.

Tak i wyście pozostawali. Może była to chwila przed lustrem, gdy nie poznawaliście własnych rysów. Może przebudzenie radosne w rozkopanym łóżku, 1 myślą niejasną o chwili, która była granicą przekroczoną nieopatrznie.

A jeśli w te dni pamiętne rozkwita pierwsza chłopięca miłość? Nigdy nie kochaliśmy bardziej, niezauważeni, nie posądzeni o tak mocne uczucia.

Kobiety, o ileż od dziś otaczających nas piękniejsze, lekcewały nasze rozpaczliwe próby. Nieuważne ich spojrzenia napełniały nas skrywaną rozkoszą, choć wpychały nas w dzieciństwo, jak w bezpłciowe sukienki, z których już powyrastaliśmy.

A przyjaciel, ten jedyny przyjaciel? Przecież chcieliśmy dla niego umierać. Powierzaliśmy mu największe tajemnice, w gniewie potem wykrzykiwane przeciw nam. Mimo to kochaliśmy go bardzo. Usypialiśmy w poczuciu słabości, wydani na jego okrutną, pół-boską tyranie, która nigdy nie stanie się naszym udziałem.

Gdy przeszłość przywołana smakiem zgryzionego liścia, zapachem tataraku, śmiechem dziewczyny przechodzącej w ciemności uderzy w piersi jak fala, nie próbujcie powrotu.

Świat, który tak wyraźnie jaśnieje w waszej pamięci, istnieje już tylko w was. Pięknieje z każdym rokiem. Z oddalenia lat rysunek nabiera czystości i wasz udział w tamtym przepałym życiu rośnie. Ale powrotu szukać na próżno. Zaufajmy Meaulnes'owi.

Jeszcze raz was w te dni szczęśliwe poprowadzi Wielki Meaulnes sam gorzko zabłąkany w manowcach świata i uczuć. Ufnie zacieśnijmy palce wokół jego dłoni.

Tajemnice, które wam odsłania, są waszymi tajemnicami. Jest wam tak bliski, bo opowiada o was samych sprzed lat. O kraino pogody, żegnana i znów odnaleziona.

Słuchaj Meaulnes'a, ale nie idź za nim, bo będziesz cierpieć. Pożegnaj go przy tej topoli, przy której ja żegnałem towarzyszy biegnących ku stawom do majowej kąpieli w pachnącej wodzie i nadchodzącej ulewie. Meaulnes spróbował powrócić, poznał prawdę i nie uwierzył jej, nigdy się z nią nie pogodził.

Co nas obchodzi Alain-Foumier i jego namiętne listy do Jacques'a Rivière? Chyba można mu tylko zazdrościć, że poległ w tamtej wojnie, kiedy życie miało swą cenę.

Słuchaj raczej opowieści Meaulnes'a. Kraina, do której cię wprowadzi, nie jest ci obca. Przemierzysz ją z nim razem zbyt szybko, jak prawie niezauważane przebiegłeś tamte szczęśliwe lata młodości. I znów powrócisz do swoich jałowych prac, do walki, po której już nie oczekujesz zwycięstwa. Gdy on tymczasem będzie rozpaczliwie szukał drogi powrotnej do tego, co nosi w sobie. Nie uwierzy, nie pogodzi się ze światem zastanym w świetle dnia. Gdy będzie odchodził, gdy poczujesz żal i będziesz widział jego sylwetkę zacierającą się w wiosennym zmroku,

szepnij: Mój przyjaciel Meaulnes!

Wiedz, żeś go pozyskał. Będzie twym przyjacielem, jak jest moim.
Zostanie z tobą obok owianych smutkiem, najbliższych sercu dni
młodości.

Wojciech Żukrowski

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I NOWY UCZEŃ

Przyjechał do nas pewnej listopadowej niedzieli, roku 189...

Mówię ciągle jeszcze „do nas”, choć dom ten do nas już nie należy. Opuściliśmy te strony blisko piętnaście lat temu i na pewno nigdy już tam nie powrócimy.

Mieszkaliśmy w gmachu „Szkoły Wyższej” w Sainte-Agathe. Ojciec mój, którego tak jak koledzy nazywałem „panem Seurel”, prowadził tam jednocześnie „kurs wyższy”, gdzie przygotowywano się do patentu nauczycielskiego, i „kurs średni”. Matka moja uczyła młodsze klasy.

Na krańcach miasta długi, czerwony dom, z pięciorgiem drzwi osłoniętych dzikim winem; olbrzymie podwórze z werandą i suszarnią na bieliznę otwierało się na ulicę wielką, staroświecką bramą; od północy żelazne ogrodzenie wzdłuż drogi prowadzącej na dworzec, odległy o trzy kilometry; na południe i za domem pola, ogrody i łąki, które łączyły się z przedmieściami... oto pokrótce plan tego miejsca, gdzie upłynęły najbardziej burzliwe i najdroższe dni mego życia, miejsca, skąd brały początek nasze przygody; tu się rodziły i stąd wyruszały w dal, aby potem jak fale powrócić, rozbijając się o samotne skały nadbrzeżne.

Przywiodła nas tu przypadkowa zmiana personelu, decyzja jakiegoś inspektora czy naczelnika. Dawno już bardzo, któregoś dnia pod koniec wakacji, matka moja i ja zajechaliśmy chłopskim wozem przed zardzewiałą kratę; za nami włókł się drugi wóz z całym naszym dobytkiem. Jakieś łobuzy, które właśnie kradły brzoskwinie z ogrodu, umknęły cichaczem przez dziury w płocie. Macka moja, zwana przez nas Millie — niewątpliwie najbardziej systematyczna gospodyni, jaką kiedykolwiek widziałem — weszła zaraz do zaśmieconych, pełnych słomy pokoi i natychmiast skonstatowała z rozpaczą, jak przy każdej przeprowadzce, że nasze meble nigdy się nie pomieszczą w tak źle rozplanowanym domu. Wróciła, żeby zwierzyć mi się z tej troski. Mówiąc do mnie obcierała łagodnie chustką moją dziecinną twarzyczkę zakurzoną po przebytej drodze. Potem weszła znów do mieszkania, żeby policzyć, ile drzwi i okien należałoby zamknąć „na stałe”, aby się można było w nim zagospodarować. Zostałem sam, w dużym słomianym kapeluszu na głowie na wyżwirowanym podwórzu obcego domu; czekając myszkowałem z ciekawością wkoło studni i pod

szopą.

Tak przynajmniej wyobrażam sobie dzisiaj nasz przyjazd. Mówię „wyobrażam sobie”, bo ile razy pragnę przypomnieć sobie ten pierwszy wieczór oczekiwania na podwórku Sainte-Agathe, wspomnienia innych oczekiwań tłoczą mi się do głowy; widzę siebie opartego o bramę i wypatrującego z niepokojem kogoś, kto ma zjawić się z daleka na drodze. I jeśli chcę sobie uprzytomnić pierwszą noc, którą spędziłem tam, w pokoiku na poddaszu — to zarazem już przypominam sobie inne noce; nie jestem sam w tym pokoiku: po ścianie przesuwa się wysoki cień niespokojnej, kochanej postaci. Cały ten pogodny krajobraz, szkoła, pole starego Marcina, trzy drzewa orzechowe na nim rosnące, ogród, do którego codziennie koło czwartej cisnęła się już gromadka odwiedzających sąsiadek, wszystko to na zawsze zmieniło się, załamało w moim wspomnieniu, zmacone przez obecność tego, który zburzył lata naszego pacholeństwa i którego ucieczka nawet nie powróciła nam utraconego spokoju.

Mieszkaliśmy tam jednak już od dziesięciu lat, kiedy przyjechał Meaulnes. Miałem wtedy lat piętnaście. Była to ponura, listopadowa niedziela; pierwszy raz czuło się zimę w powietrzu. Przez cały dzień Millie czekała posłańca ze stacji, który miał jej przywieźć nowy kapelusz. Rano z tego powodu nie poszła na mszę; siedziałem na chórze wraz z innymi dziećmi i do samego kazania z niepokojem popatrywałem w stronę dzwonnicy, żeby wreszcie zobaczyć matkę wchodzącą w nowym kapeluszu.

Po południu musiałem sam pójść na nieszpory.

— Zresztą — powiedziała mi na pociechę otrzepując ręką moje uczniowskie ubranko — gdyby mi nawet kapelusz przywieźli, pewno musiałabym i tak na cały dzień zostać w domu, żeby go przerobić.

Zimą często w ten sposób schodziła nam niedziela. Od samego rana ojciec szedł łowić szczupaki gdzieś daleko, nad stawem osnutym mgłami, a matka aż do nocy siedziała w ciemnym pokoju i dłubała coś koło skromnych swych toalet. Zamykała się tam z obawy, żeby któraś z jej przyjaciółek, równie jak ona uboga, ale i równie dumna, nie zastała jej przy tej robocie. A ja wróciwszy z nieszporów siedziałem w zimnej jadalni czytając książkę i czekając, aż matka otworzy drzwi, aby pokazać mi się w nowym stroju.

Tej niedzieli jakies bardziej ożywione zebranie zatrzymało mnie przed kościołem. Szli z dzieckiem do chrztu i koło głównego wejścia tłoczyła się

gromadka ciekawych chłopaków. Na placu przed kościołem kilku ludzi w mundurach strażackich ustawiło się szeregiem; stali tak, zmarznięci, przytupując nogami i słuchając brygadiera Boujardon, który wdawał się w długie teoretyczne wywody.

Dzwony bijące na chrzest zamilkły nagle, jak dzwon weselny uderzony przez pomyłkę niewłaściwego dnia i w niewłaściwym miejscu. Boujardon i jego ludzie, z bronią przewieszoną przez ramię, ruszyli z miejsca kłusem pociągając za sobą sikawkę; widziałem, jak znikli na pierwszym zakręcie, a za nimi biegli w milczeniu czterej chłopcy; słyszałem tylko, jak pod ich grubymi podeszwami łamała się trzeszcząca cienka warstwa lodu pokrywająca drogę. Ale nie śmiałem biec za nimi.

Zdawało się wtedy, że nigdzie w całym miasteczku nie pozostało już żywej duszy, z wyjątkiem „Café Daniel”, skąd dolatywały to głośnie, to cichsze głosy pijącej kompanii. Poszedłem w stronę domu wzdłuż muru, który odgraniczał nasze podwórko od miasteczka, i stanąłem przed małą, żelazną furtką trochę niespokojny z powodu opóźnienia.

Była otwarta i zmiarkowałem od razu, że dzieje się coś niezwykłego. Istotnie, przy drzwiach jadalni, tych, które najbliżej były oszklonych drzwi wychodzących na podwórze, stała jakaś kobieta i nachylając się wypatrywała kogoś przez firanki. Była drobna, siwa, w staromodnym czarnym aksamitnym kapturku. Twarz miała wąską i delikatną, ale zmienioną od niepokoju; nie wiem, dlaczego na widok jej doznałem jakiejś nieokreślonej obawy i zatrzymałem się na pierwszym schodku przed furtką.

— Gdzież on mógł się podziać? — mówiła do siebie półgłosem — był tu ze mną przed chwilą, obszedł już cały dom naokoło, może uciekł...

I po każdym zdaniu leciutko trzykrotnie uderzała w szybę. Nikt nie przychodził otworzyć nieznajomej. Millie zapewne miała już ten nowy kapelusz i teraz, głucha na wszystko, siedziała w głębi swego ciemnego, czerwonego pokoju, przed łóżkiem zarzuconym starymi wstążkami i podniszczonymi piórami i szyła, pruła, przerabiała... Istotnie, kiedy wszedłem do jadalni, ukazała się matka podtrzymując rękami nad głową jakieś nie przymocowane jeszcze jak należy do kapelusza wstążki, pióra i mosiężne druty. Uśmiechnęła się do mnie niebieskimi oczyma zaczerwienionymi od pracy w ciemnym pokoju i zawołała:

— Popatrz! Czekałam na ciebie, żeby ci go pokazać...

Ale ujrawszy obcą kobietę, która weszła za mną i usiadła w dużym fotelu w głębi jadalni, zatrzymała się zażenowana. Prędko zdjęła z głowy

kapelusz i jeszcze potem, przez cały czas rozmowy z nieznajomą, przyciskała go prawą ręką do piersi, dnem na zewnątrz, tak że wyglądał jak gniazdo.

Kobieta w kapturku trzymała wciąż parasol i skórzaną torebkę między kolanami; zaczęła się tłumaczyć; mówiła kiwając lekko głową i mlaskając językiem jak te sąsiadki, które przychodziły do nas z wizytą. Odzyskała już całkowicie pewność siebie. Przybrała nawet mówiąc o synu jakiś tajemniczy ton wyższości, który nas zastanowił.

Przyjechali oboje powozem z La Ferte d' Angillon, leżącego

0 czternaście kilometrów od Sainte-Agathe. Była wdową i, jak nam dała do zrozumienia, osobą bardzo bogatą. Młodszego syna, Antoniego, straciła: umarł kiedyś podobno wróciwszy ze szkoły,

1 to na skutek kąpieli w jakimś brudnym stawie... Postanowiła oddać starszego, Augustyna, na stancję do nas, żeby mógł uczyć się na kurs wyższy.

I od razu zaczęła wychwalać tego nowego ucznia, którego nam przywiozła. Nie mogłem już odnaleźć w niej tej siwej, małej kobiety, którą widziałem pochyloną przed oszklonymi drzwiami z wyrazem błagania i niepokoju na twarzy, podobną do kury, która zgubiła najbardziej ukochane swoje pisklę.

To, co z zachwytem opowiadała o synu, było zdumiewające. Lubił sprawiać jej różne przyjemności: czasami całe kilometry chodził wzdłuż rzeki i wyszukiwał dla niej ukryte w trzcinach jaja kurek wodnych albo dzikich kaczek... Zastawiał także sidła... Zeszłej nocy znalazł w lesie bażancicę złapaną na wnyk.

Ponieważ ja sam nie śmiałem wprost pokazać się w domu, jeśli rozdarłem ubranie — spojrzałem na Millie ze zdziwieniem.

Ale matka nie słuchała już. Kiwnęła nawet na obcą panią tak, jakby chciała nakazać jej milczenie, a sama kładąc swoje „gniazdo” na stole wstała nic nie mówiąc, jakby miała zamiar kogoś zaskoczyć.

Rzeczywiście, nad nami, w składziku, gdzie schowane były różne poniszczone pamiątki z ostatnich uroczystości 14 lipca, słychać było jakieś nieznajome kroki rozlegające się po ogromnym strychu pierwszego piętra; dźwięk ich gubił się w stronie pokojów umieszczonych na poddaszu, gdzie zwykle przechowywano jabłka i suszono kwiat lipowy.

— Już przed chwilą słyszałam te kroki, tam w pokojach na dole — powiedziała półgłosem Millie — ale myślałam, że to ty, Franku, żeś wrócił...

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy staliśmy nieruchomo, z bijącym sercem; wreszcie otworzyły się drzwi prowadzące ze strychu na schody kuchenne, ktoś zszedł po stopniach, przeszedł przez kuchnię i stanął w ciemnych drzwiach jadalni.

— To ty, Augustynie? — zapytała staruszka.

Był to wysoki chłopak wyglądający mniej więcej na siedemnaście lat. W zmierzchu, który ogarnął pokój, na razie dostrzegłem tylko, że miał chłopski, filcowy kapelusz zsunięty trochę w tył głowy i czarną, uczniowską bluzę z paskiem. Widziałem także, że się uśmiechał...

Zobaczył mnie i, zanim które z nas zdążyło zażądać od niego jakiegoś wyjaśnienia, spytał:

— Pójdiesz ze mną na podwórze?

Zawahałem się przez chwilę, ale widząc, że Millie nie zatrzymuje mnie, wziąłem czapkę i podszedłem do chłopca. Wyszliśmy drzwiami kuchennymi i skierowaliśmy się w stronę oszklonej werandy, już prawie zupełnie ciemnej. W ostatnich blaskach dnia idąc z nim przypatrywałem się jego kanciastej twarzy o prostym nosie i górnej wardze pokrytej lekkim puchem.

— Patrz — powiedział — znalazłem to u was na strychu. Czyś nigdy tam nie zaglądał?

Trzymał w ręce małe, szerniałe kółko drewniane, na które nawinięty był porozrywany sznurek od lontu: było to zapewne słońce albo księżyc pozostały z ogni sztucznych, które puszczono 14 lipca.

— Dwa nie wystrzeliły, spróbujemy je zapalić — powiedział spokojnie i takim tonem, jakby spodziewał się potem znaleźć jeszcze coś lepszego.

Rzucił kapelusz na ziemię i zobaczyłem, że głowę miał ogoloną jak chłopci. Pokazał mi oba fajerwerki z urwanymi, czarnymi knotami; widocznie płomień przepalił je i okopcił, zanim wygasł. Zatknął w ziemię piastę kółka i, ku memu wielkiemu zdumieniu, bo było to surowo nam wzbronione, wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek. Schylił się ostrożnie i przytknął płomień do knotu. Potem wstał i, chwyciwszy mnie za rękę, szybko odciągnął na bok.

W chwilę potem Millie, która przez ten czas utargowała z matką chłopca warunki, na jakich przyjmuje go na stancję, wyszła z nią przed dom i zobaczyła wytryskujące pod szklany dach snopy czerwonych i białych iskier. Przez mgnienie oka ujrzała, jak oświetlony tym fantastycznym blaskiem stałem nieruchomo, trzymając za rękę tego nieznanego

dryblasą...

I tym razem jeszcze nie śmiała nic powiedzieć.

Wieczorem zasiadł z nami przy rodzinnym stole ten nowy, milczący towarzysz; jadł z głową spuszczoną i zdawał się nie widzieć spojrzeń na niego skierowanych.

Rozdział II

PO CZWARTEJ

Dotychczas nigdy nie biegałem z chłopcami po ulicach miasteczka. Po zapaleniu stawu biodrowego, które przeszedłem w roku 189..., stałem się bojaźliwy i smutny. Widzę jeszcze siebie kusztującego żałośnie na jednej nodze za innymi, zdrowymi chłopcami, którzy uganiaли się po uliczkach naokoło naszego domu.

Toteż nie bardzo pozwalano mi na wychodzenie. I pamiętam, jak Millie, która bardzo była dumna ze mnie, nieraz przyprowadzała mnie nie bez paru szturchańców do domu, jeżeli mnie spotkała usiłującego w ten sposób nadążyć za biegającymi łobuzami.

Przyjazd Augustyna Meaulnes, który zbiegł się z moim powrotem do zdrowia, stał się dla mnie początkiem nowego życia.

Przed jego przybyciem, po skończonych lekcjach, od czwartej, zaczynał się dla mnie długi, samotny wieczór.

Ojciec prznosił żarzące się węgle z klasy do kominka w jadalni i pomału ostatni uczniowie opuszczali szkołę, gdzie robiło się zimno i czuć było dymem po wygaśniętym ognisku. Bawili się jeszcze czasem na podwórku, gonili się, wreszcie noc zapadała. Dwaj uczniowie, którzy zamiatali klasę, pośpiesznie wyszukiwali w sieni swoje kaptury i peleryny i oddalali się z koszykiem w rękę zostawiając drzwi wejściowe otwarte za sobą.

Wtedy, póki było jeszcze choć trochę widno, szedłem do gminy, zamykałem się w „archiwum”, gdzie pełno było zdechłych much i starych afiszów na pół poodrywanych od ściany, i czytałem siedząc na bujającym krześle, przy oknie, które wychodziło na ogród.

Wracałem wtedy dopiero, kiedy robiło się już zupełnie ciemno, psy w sąsiedniej wiosce zaczynały wyć i w naszym kuchennym oknie ukazywało się światło, matka krzątała się koło kolacji. Siadałem na schodach prowadzących na strych i, w milczeniu opierając głowę o zimne pręty poręczy, patrzyłem, jak matka rozpala ogień w ciasnej kuchence, przy chwiejnym płomieniu świecy.

Ale zjawił się ktoś, kto wyrwał mnie z tego dziecięcego spokoju. Ktoś zdmuchnął świecę rzucającą światło na słodką twarz matczyną nachyloną ku mnie przy wieczerzy. Ktoś zgasił lampę, przy której siedzieliśmy wieczorem, oddzieleni od ciemnej nocy, szczęśliwi, gdy ojciec pozastaniał

okna okiennicami. Był nim Augustyn Meaulnes, którego wkrótce wszyscy uczniowie przewali „duży Meaulnes”.

Od chwili kiedy u nas zamieszkał, to znaczy od pierwszych dni grudnia, szkoła od czwartej godziny nie była nigdy pusta. Pomimo zimna wślizgującego się przez niedomknięte drzwi, mimo gderañ uczniów zamiatających klasę i stojących kubłów z wodą — po skończonych lekcjach w jednej z klas gromadziło się zawsze koło Meaulnes’a ze dwudziestu starszych chłopców i odbywały się tam wieczne, nigdy nie kończące się dyskusje, do których wtrącałem się z niepokojem i z rozkoszą. Meaulnes nie odzywał się, ale coraz to kto inny z bardziej gadatliwych chłopców, chcąc się przed nim popisać, występował z gromadki i biorąc za świadka jednego z kolegów, który potakiwał mu hałaśliwie, zaczynał opowiadać jakąś fantastyczną przygodę. Wszyscy słuchali go z półotwartymi ustami śmiejąc się z cicha.

Meaulnes siedział na pulpicie zamyślony i powoli machając nogami w powietrzu. W zabawniejszych miejscach śmiał się także, ale tak jakoś dziwnie, jakby zachowywał prawdziwy swój śmiech dla innej, lepszej historii, jemu tylko znanej. Potem, kiedy już noc zapadła i niewyraźna grupa chłopców ginęła w mroku, wstawał nagle i przedzierając się przez otaczające go koło wołał:

— Dalej, w drogę!

Wszyscy szli za nim i do nocy słyhać było ich nawoływania aż w górze ponad miasteczkiem.

Teraz udawało mi się czasami im towarzyszyć. Szedłem z Meaulnes’em na przedmieście, przystawaliśmy w otwartych drzwiach obór, w godzinie, kiedy doili krowy... Wstępowaliśmy do sklepików i czasami w ciemności, pochylony jeszcze nad robotą, jakiś tkacz powitał nas uprzejmym:

— O, patrzcie, studenci!

Zazwyczaj w godzinie obiadu zachodziliśmy do Desnoues’a, stelmacha, a zarazem kowala, który miał warsztat nie opodal szkoły. Była to właściwie dawna karczma, o wielkich podwojach zwykle stojących otworem. Z ulicy słyhać było skrzywienie miecha i dzwoniący stukot kowadła. Przy blasku ognia widzieliśmy tam ludzi, którzy zajechali na chwilę przed kuźnię i zatrzymali się trochę, żeby porozmawiać; czasami spostrzegaliśmy także jakiegoś nieznanego chłopca, tak jak my opartego o drzwi i przypatrującego się w milczeniu.

I tam właśnie wszystko się zaczęło, mniej więcej na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia.

Rozdział III

ZACHODZIŁEM CZĘSTO DO SKLEPU KOSZYKARZA

Deszcz padał przez cały dzień, ustał dopiero pod wieczór. Było śmiertelnie nudno. W czasie pauz nikt nie miał ochoty wyjść na dwór. W klasie co chwila rozlegało się wołanie ojca — pana Seurel:

— Nie tupać mi tam nogami, smarkacze!

Po ostatniej pauzie, po tak zwanym przez nas „ostatnim kwadransie”, pan Seurel, który przez chwilę już zamyślony przechadzał się tam i z powrotem, zatrzymał się, uderzył linią w pulpit, żeby znudzona, brzęcząca jak ul klasa wreszcie ucichła, i w pełnej oczekiwania ciszy spytał:

— Kto pojedzie jutro z Franciszkiem na dworzec po państwa Charpentier?

Państwo Charpentier byli to moi dziadkowie. Dziadzio, w wielkiej, szarej wełnianej opończy, dawny leśniczy, teraz na emeryturze, zawsze w tej czapie z króliczych skórek, którą nazywał swoim „kepi”... Chłopcy znali go dobrze. Z rana brał sobie do mycia kubel wody, w którym pluskał się po żołniersku, prychał pocierając twarz i skubiąc bródkę. Całe kółko dzieciaków z rękami w tył założonymi obserwowało go z pełną szacunku ciekawością. Znali także panią Charpentier, małą starą wieśniaczkę, w kapturku szydełkowej roboty; Millie prawie codziennie przyprowadzała ją do

klasy „małych”. Co roku, przed świętami, jeździliśmy po nich na dworzec, na pociąg czwarta dwie. Przyjeżdżali do nas aż z drugiego końca departamentu, obładowani wielką ilością kasztanów w woreczkach, smakołyków świątecznych w serwetkach powiązanych rogami. Opatuleni, uśmiechnięci, jakby trochę nieśmiało przestępowali próg naszego domu, zamykaliśmy drzwi za nimi i wtedy zaczynał się cały długi, radosny tydzień.

Na dworzec po nich musiał jechać ze mną ktoś odpowiedzialny, by nie wysypać nas do rowu, a także i dość cierpliwy, bo dziadzio Charpentier lubił niekiedy kłąć, a babka była trochę gadatliwa.

Na pytanie pana Seurel z dziesięć głosów jednocześnie zawołało:

— Duży Meaulnes! Duży Meaulnes!

Ale pan Seurel udawał, że tego nie słyszy.

Wtedy zawołał:

— Fromentin!

A inni:

— Jasmin Delouche!

Najmłodszy z Royów, który nieraz w polu wsiadał na świnie i cwałował na niej galopa, wołał piskliwym głosem: — Ja ! Ja!

Dutremblay i Moucheboeuf ograniczyli się do nieśmiałego podniesienia ręki.

Ja chciałem, żeby pojechał Meaulnes. Ta przejażdżka skromną bryczuszką, zaprzęzoną w osła, nabrałaby wówczas większego znaczenia. On również miał ochotę, ale milczał z pogardliwą miną. Wszyscy starsi uczniowie siedzieli tak jak i on na pulpitach, z nogami na ławce, jak zwykle w chwilach oczekiwania i zadowolenia. Coffin, z bluzą podwiniętą i zatknietą za pasek, zaczął już na znak wielkiej radości wdrapywać się na filar podtrzymujący belkowanie sufitu, kiedy pan Seurel zmroził wszystkich nagłą decyzją:

— No, to pojedzie Moucheboeuf.

I wszyscy w milczeniu powrócili na swoje miejsca.

O czwartej na zimnym, deszczem zalanym podwórzu znalazłem się sam z Meaulnes'em. Nic do siebie nie mówiąc patrzyliśmy na lśniące domy i ulice miasteczka, które osuszała wichura. Chwilę potem widziałem, jak mały Coffin w kapturze, z kromką chleba w rękę, wyszedł gwizdząc, udał się w stronę kuźni i stanął przed otwartymi drzwiami. Meaulnes otworzył wrota, zawołał na kolegę i już cała trójka siedziała w głębi czerwonej, nagrzaney izby, przez którą przelatywały lodowate poddmuchy wiatru. Coffin i ja usiedliśmy blisko ognia wkładając zabłocone nogi w białe trociny rozrzucone po ziemi: Meaulnes z rękami w kieszeniach, milczący, stał oparty o drzwi wejściowe. Od rzeźnika od czasu do czasu wychodziła jakaś pani i przemykała się ulicą schylając głowę pod wiatr, a my podnosiliśmy wzrok, żeby przekonać się, kto to taki.

Nikt się nie odzywał. Kowal i jego pomocnik pracowali, jeden poruszał miech, drugi kuł żelazo; na ścianie ogniem oświetlonej raz po raz ukazywały się wielkie, ruchome cienie. Wieczór ten pamiętam jako jeden z najważniejszych wieczorów moich lat chłopięcych. Czułem w sobie wtedy radość i niepokój zarazem: bałem się, żeby mój towarzysz nie odebrał mi skromnej uciechy pojechania na dworzec, a jednak, nie przyznając się do tego przed sobą samym, oczekiwałem po nim jakiejś nadzwyczajnej decyzji, która by wszystko to wniwecz obróciła.

Od czasu do czasu spokojna i systematyczna praca w kuźni przerywała się na chwilę. Kowal opuszczał ciężki młot na kowadło z czystym,

metalicznym dźwiękiem i oglądał ukuty kawałek żelaza. Potem, żeby odsapnąć trochę, podnosił głowę i zwracał się do nas.

— No cóż tam, młodzież? Co słyhać?

Robotnik jedną ręką wzniesioną trzymał sznur od miecha, drugą brał się pod bok i patrzył na nas śmiejąc się.

I znów powracali do swej hałaśliwej, głucho dzwoniącej pracy.

W ciągu jednej z tych przerw ujrzelśmy przez otwarte drzwi Millie, która walcząc z wichurą, zawinięta w chustkę, przechodziła z mnóstwem drobnych paczuszek.

Kowal spytał:

— Podobno pan Charpentier ma przyjechać niedługo?

— Jutro — powiedziałem — przyjedzie z babką; mam po nichjechać na pociąg czwarta dwie.

— Bryczką Fromentina może?

— Nie, bryczką starego Marcina.

— O! To nieprędko zajdziecie.

I obaj z robotnikiem zaczęli się śmiać.

Lii

W

Robotnik powiedział powoli, tak tylko, żeby coś powiedzieć:

— Tą kłaczą od Fromentina można by po nich pojechać do Menton. Pociąg stoi tam godzinę. To jest stąd o piętnaście kilometrów. Zanim Marcin zdąży zaprząć swego osła, można już być z powrotem.

— Tak, ta kłacz to ma chody — stwierdził kowal.

— I myślę, że Fromentin chętnie by jej pożyczył.

Na tym skończyła się rozmowa. W kuźni znów było pełno iskier i hałasu, każdy wrócił do swoich myśli.

Ale kiedy trzeba było już iść i wstałem dając znak Augustynowi, spostrzegłem, że w pierwszej chwili go nie zauważył. Oparty o drzwi, z głową spuszczoną, zdawał się głęboko rozważać to, o czym się przed chwilą mówiło. Na widok Augustyna, tak zatopionego w myślach, patrzącego jak przez mgłę na ludzi spokojnie pracujących koło niego, stanął mi w oczach oglądany kiedyś obrazek z Robinsona Cruoe, na którym młody Angliczek wyobrażony był, jak przed swoją wielką wyprawą „często zachodził do koszykarza”.

I potem nieraz o tym myślałem.

Rozdział IV UCIECZKA

Nazajutrz o drugiej po południu jasna klasa nasza, pośród zamarzniętego krajobrazu, była jak łódź na oceanie zimy. Nie czuło się tu jednak zapachu słonej wody morskiej ani smoły, jak na prawdziwej łodzi rybackiej, tylko zapach śledzi przysmażanych przy piecu i mokrej wełny ubrań, które suszyliśmy za blisko ognia.

Koniec roku zbliżał się, więc pan Seurel wręczył nam już zeszyty z planami przyszłych wypracowań i wypisuje zadania na tablicy. W klasie przez ten czas panuje względna cisza przerywana szeptami i tłumionymi wykrzyknikami; czasem ktoś wyrwie się, tak tylko, żeby nastraszyć sąsiada, nie kończąc zdania:

— Proszę pana! On mi...

Pan Seurel przepisuje zadania i myśli o czym innym. Od czasu do czasu odwraca się jednak od tablicy i spogląda na nas wszystkich groźnie, ale z roztargnieniem w oczach, toteż głuchy pomruk klasy uspokaja się na chwilę, aby zaraz potem rozpocząć się na nowo, najpierw cichutko, potem coraz głośniej, jak mruczenie kota.

Ja jeden tylko milczę wśród tego ogólnego podniecenia. Siedzę przy stole, w dziale młodszych, przy dużym weneckim oknie, i wystarcza mi podnieść trochę głowę, żeby zobaczyć za wielkimi szybami ogród, strumień w dole i dalej pola.

Od czasu do czasu podnoszę się na palcach i spoglądam z niepokojem w stronę folwarku Belle-Etoile. Od samego początku lekcji zauważyłem, że Meaulnes nie wrócił po dużej pauzie. Ten, który siedzi z nim w jednej ławce, oczywiście też to zauważył. Nic jeszcze nie mówi, bo jest zajęty odczytywaniem planu wypracowań, ale jak tylko podniesie głowę znad zeszytu, nowina rozniesie się po całej klasie i ktoś naturalnie nie omieszka zawołać, zatrzymując się w połowie zdania, jak zwykle w takich razach:

— Proszę pana! Meaulnes...

Wiem, że Meaulnes nie przyszedł. Więcej nawet: myślę, że po prostu uciekł. Zaraz po skończonym śniadaniu musiał wymknąć się, przeskoczyć przez mur, pobiec polami i potem przez starą kładkę na strumieniu dostać się do Belle-Etoile. Pewno poprosił, żeby mu pożyczili klacz, żeby pojechać na dworzec po państwa Charpentier. W tej chwili pewno już zaprzęgają.

Belle-Etoile leży tam, po drugiej stronie strumienia, na zboczu wzgórza; jest to duży folwark, latem zupełnie zasłonięty przez wiązy i

dęby otaczające podwórze, a także przez żywopłot. Przechodzi tam ścieżka łącząca drogę na dworzec z przedmieściami. Stare, jeszcze średniowieczne zabudowania, na wysokich pod- murowaniach, wynurzających się z gnoju, którego pełno na podwórku, od czerwca pokryte są zielonymi pnączami. Wieczorem w szkole słychać dolatujący stamtąd turkot wozów i nawoływania pastuchów. Ale teraz przez szyby widzę pomiędzy obnażonymi gałęziami drzew wysoki szary mur podwórza, bramę i, pomiędzy nagimi krzewami ogrodu, białą od szronu równoległą do strumienia ścieżkę prowadzącą na dwo-

Ale nic jeszcze nie zakłóca ciszy tego jasnego, zimowego krajobrazu. Nic jeszcze się nie zmieniło.

Tymczasem w klasie pan Seurel kończy już przepisywanie drugiego zadania. Zwykle zadaje trzy. Gdyby dzisiaj przypadkiem zadał tylko dwa... Wróciłby zaraz na katedrę i zauważyłby nieobecność Meaulnes'a. Na pewno posłałby ze dwóch chłopców do miasteczka na poszukiwanie i znaleźliby go, zanim jeszcze klacz byłaby zaprzężona...

Pan Seurel skończył przepisywać drugie zadanie i opuścił na chwilę zmęczoną rękę... ale ku memu wielkiemu zadowoleniu podniósł ją znowu i, zaczynając od linii, pisał dalej mówiąc:

— A teraz, to już tylko dziecinna zabawa!

...Dwie czarne linie, które dostrzegłem zza muru i które były zapewne dyszlami bryczki, znikły. Teraz jestem pewien, -że odbywają się tam przygotowania do odjazdu Meaulnes'a. Oto właśnie łeb i pierś klaczy ukazują się pomiędzy słupami wjazdowej bramy, klacz zatrzymuje się; pewno przymocowują do bryczki dodatkowe siedzenie dla gości, których niby to mój przyjaciel ma przywieźć. Wreszcie cały wehikuł wyjeżdża powoli z bramy; przez krótką chwilę niknie za płotem i przesuwa się również powoli po tym kawałku drogi, który dostrzegam spomiędzy ogrodu. Wtedy w tej czarnej postaci trzymającej lejce niedbale, na jednym łokciu opartej o bok bryczki, poznaję mego towarzysza — Augustyna Meaulnes.

Chwila jeszcze i wszystko zniknęło za żywopłotem. Dwaj ludzie, którzy stali przed bramą i patrzyli na odjazd bryczki, zaczęli coś mówić do siebie z widocznym, coraz większym ożywieniem. Wreszcie jeden z nich przyłożył rękę w trąbkę złożoną do ust i zaczął wołać; pobiegł nawet parę kroków po drodze za oddalającą się bryczką... Ale teraz Meaulnes, który przez ten czas dojechał już do drogi prowadzącej na dworzec i znalazł się w punkcie, skąd nie mógł już być widziany, zmienił nagle pozę; wstał,

wyprostował się, jak Rzymianin prowadzący kwadrygę, ujął lejce oburącz i, wstrząsając nimi, puścił konia klusem. W jednej chwili zniknął za wzgórzem. Tymczasem człowiek, który go wołał, zaczął znów biec po drodze, a drugi rzucił się galopem na przełaj przez pole, w naszą stronę.

Parę minut potem, właśnie w chwili kiedy pan Seurel odchodząc od tablicy pocierał ręce, strzepując z nich kredę, i kiedy jednocześnie kilka głosów z głębi klasy nareszcie zawołało: — „Proszę pana! Nie ma Meaulnes’a” — człowiek w bluzie, którego widziałem przez okno, stanął w drzwiach, otwierając je nagle na oścież i unosząc kapelusza spytał:

— Przepraszam bardzo, czy to pan przysłał tego ucznia do nas po konia i po bryczkę, żeby jechać do Vierzon po pańskich rodziców? — Jakoś się nam wydało, że...

— Ależ nic podobnego! — odpowiedział pan Seurel.

I w klasie powstał momentalnie zgiełk nie do opisania. Trzej uczniowie, którzy siedzieli najbliżej wejścia i zwykle odpędzali kamieniami kozy i świnię włóczące się po podwórzu i wążące na klomby, zerwali się i zniknęli za drzwiami. Słyszeć było tylko najpierw gwałtowne tupotanie podkutych chodaków po kamiennej podłodze korytarza, potem głuchy odgłos ich przyśpieszonych kroków, gdy brną w piasku podwórza i ślizgają się na zakręcie koło żelaznej furtki przy drodze. Reszta klasy pchała się do okien wychodzących na ogród. Niektórzy nawet wdrapywali się na pulpity i na stoły, żeby lepiej widzieć.

— Ty jednak pojedziesz na dworzec z Moucheboeufem — powiedział do mnie pan Seurel. — Meaulnes nie zna drogi do Vierzon. Zabłądzi na skrzyżowaniach. Nie będzie na dworcu o trzeciej.

Z progu klasy małych Millie wyciąga szyję i pyta:

— Co się tu dzieje?

Na ulicach przed szkołą ludzie zaczynają się już gromadzić. Chłop stoi ciągle nieporuszony, z kapeluszem w ręku, jak ktoś, kto czeka na wymiar sprawiedliwości.

Rozdział V

BRYCZKA WRACA

Kiedy przywiozłem dziadków i kiedy wieczorem po obiedzie zasiedliśmy przy kominku, od razu zaczęli opowiadać z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co im się wydarzyło od ostatnich wakacji, wkrótce jednak zauważyłem, że wcale nie słucham tego, co mówią.

Mała żelazna furtka ogrodzenia znajdowała się bardzo blisko drzwi stołowego pokoju. Skrzypiała, kiedy ją otwierano. Zwykle podczas długich zimowych wieczorów skrycie oczekiwałem tego skrzypnięcia furtki. Zwykle potem słychać było kroki, wycieranie nóg przed progiem, czasami także szepty, jak gdyby goście naradzali się przed wejściem. Wreszcie — pukanie. Był to jakiś sąsiad, nauczycielki, w każdym razie ktoś, kto przyjsciem swoim przerywał nudę monotonnego wieczoru.

Ale tym razem nie mogłem już niczego spodziewać się z zewnątrz, ponieważ wszyscy, których kochałem, zgromadzeni byli tu, w domu; bez przerwy jednak śledziłem wszystkie odgłosy nocy, która nas otaczała, i czekałem, żeby ktoś drzwi otworzył.

Był tu stary dziadziś o krzaczystych brwiach; wyglądał na starego gaskońskiego pastucha; nogi ociężale wyciągnął przed siebie, kij trzymał między kolanami i nachylając się uderzał fajką w grubą podeszwę buta, żeby wytrząsnąć z niej resztki popiołu.

Pocziwymi, wilgotnymi oczyma potakiwał wszystkiemu, co mówiła babka o podróży, o swych kurach, o sąsiadach, o chłopach, którzy zalegali z wypłatami za dzierżawy... Ale mnie już przy nich nie było.

Wyobrażałem sobie w myśli turkot bryczki, która nagle za- uzyma się przed bramą; Meaulnes wyskoczy z niej i wejdzie jak gdyby nigdy nic... A może pierwszej odprowadzi klacz do Belle-Etoile i niedługo usłyszę już jego kroki na drodze, a potem skrzypnięcie furtki.

Ale nic podobnego się nie stało. Dziadek patrzył przed siebie przymrużając powieki, od czasu do czasu przymykał oczy, zu pełnie jakby go sen morzył. Babka powtarzała ciągle jakieś zdanie, którego nikt nie słuchał.

— O tego chłopca tak się martwicie? — spytała wreszcie znienacka.

Istotnie, na dworcu daremnie usiłowałem czegoś od niej się dowiedzieć. Na stacji w Vierzon nie widziała nikogo, kto by przypominał Augustyna. Mój towarzysz zapewne spóźnił się. Cała wyprawa mu się nie

udała. W drodze powrotnej, podczas gdy babka rozmawiała z Moucheboeufem, bezustannie myślałem o doznanym zawodzie. Na białej, pokrytej szronem drodze wróble podskakiwały koło kopyt osła drepającego pomalutku. Od czasu do czasu w tej wielkiej białej ciszy mroźnego wieczoru dolatywał mnie z daleka głos pasterki albo nawoływanie chłopców bawiących się w pobliskim lasku świerkowym. I za każdym razem, kiedy słyszałem przeciągły okrzyk rozlegający się po wzgórzach, coś we mnie drgało, miałem wrażenie, że to głos mego przyjaciela wzywa mnie i pociąga gdzieś daleko za sobą.

Kiedy tak wszystko to sobie przypominałem, zrobiło się późno, trzeba było iść spać. Dziadzio udał się już do czerwonego pokoju; było tam od dawna zimno i wilgotno, bo pokoju tego, który był właściwie salonem, nie otwierano i nie opalano od zeszłej zimy. Teraz na przyjazd dziadków pozdejmowano z foteli koronkowe serwetki pod głowę, pozwijano i pochowano bardziej delikatne drobiazgi. Dziadek położył kij na krześle, grube buty wsunął pod fotel. Zgasił już świecę i wszyscy staliśmy jeszcze chwilę, życząc sobie nawzajem dobrej nocy, kiedy nagle usłyszeliśmy turkot na drodze.

Było to tak, jakby dwa wozy jechały wolno jeden za drugim. Po chwili zwolniły i zatrzymały się przed oknem jadalni, które wychodziło na drogę, ale było zasłonięte na stałe.

Ojciec wziął lampę i nie czekając na dzwonek otworzył drzwi wejściowe, które były już zamknięte na klucz. Wyszedł przed dom, otworzył furtkę i, stojąc na pierwszym schodku, podniósł światło ponad głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Rzeczywiście na drodze stały dwa wozy jeden za drugim; drugi był pusty, a koń przywiązany z tyłu do pierwszego wózka, z którego zeskoczył jakiś człowiek i wahając się trochę zapytał:

— Czy to tu jest gmina? — i podchodząc bliżej: — czy może mi pan powiedzieć, gdzie mieszka gospodarz Fromentin w Belle- -Étoile? Tę jego klacz z bryczką bez woźnicy spotkałem na drodze do Saint-Loup des Bois; poświeciłem, zobaczyłem napis na tabliczce, było mi po drodze, więc przyprowadziłem, bo mógłby być z koniem wypadek, ale tyle czasu zmitrężyłem...

Staliśmy wszyscy zdumieni. Ojciec podszedł do bryczki, oświetlił ją lampą.

— Nie było śladu żadnego pasażera, nawet żadnej derki — mówił człowiek dalej. — Koń zmęczony, kuleje trochę...

Przecisnąłem się bliżej i razem ze wszystkimi obejrzałem bryczkę. Ten zabłąkany wóz wydał mi się jakby szczątkiem zaginionego okrętu, wyrzuconym przez fale, pierwszym i zapewne ostatnim dowodem wielkiej przygody Meaulnes'a.

— Jeśli do Fromentina daleko — mówił dalej człowiek — to może zostawię tu tę bryczkę i tak się już spóźniłem, w domu nie wiedzą, co się ze mną stało.

Ojciec zgodził się. Mogliśmy w ten sposób odprowadzić sami bryczkę na miejsce nic nie mówiąc o tym, co zaszło. Potem zdecydował się, co powiedzieć wszystkim i napisać do matki Meaulnes'a... Furman nie przyjął nawet kieliszka wina, którym go częstowaliśmy, zaciął konia i ruszył.

Tymczasem dziadek zapalił znowu świecę i, kiedy wracaliśmy do siebie, a ojciec pojechał z bryczką do Belle-Etoile, zawołał z głębi swego pokoju:

— No cóż? Wrócił ten wasz podróżnik?

Kobiety prędko porozumiały się oczyma.

— Tak, wrócił; był u matki. No, śpij już, nie kłopotz się tym.

— A to dobrze. Tak też myślałem — odpowiedział.

Zadowolony, zgasił świecę i odwrócił się na bok, układając się spokojnie do snu. Wszystkim, którzy dopytywali o powrót Meaulnesa, powiedzieliśmy to samo co dziadkowi. Do matki postanowiliśmy na razie nie pisać i poczekać. Zachowywaliśmy dla siebie ten wielki niepokój, który nas nie odstępował przez nieskończenie długie trzy dni. Widzę jak

dzisiaj ojca z oszronionymi wąsami, kiedy około jedenastej w nocy wrócił z Belle-Etoile, mówił coś szeptem do Millie; był wzburzony i bardzo zagniewany.

Rozdział VI KTOŚ PUKA DO OKNA

Dzień ten, czwarty od ucieczki Meaulnes'a, był najmroźniejszy z całej zimy. Od samego rana uczniowie, którzy pierwsi przyszedli, dla rozgrzewki ślizgali się koło studni. Czekali, aż rozpali się piec w klasie, żeby czym prędzej przy nim się rozgrzać.

Stałem z kilkoma kolegami przed drzwiami wejściowymi i patrzyłem stamtąd, kto idzie z miasta. Chłopcy przychodzili zziębnięci, oślepieni blaskiem śniegu na drogach, zachwyceni widokiem zamrzniętych stawów, zagajników, gdzie zmykają zające. Przynosili ze sobą jakiś zapach siana i stajni, aż duszno robiło się w klasie, kiedy tak wszyscy na raz zaczęli cisnąć się naokoło pieca. Tego ranka jeden z chłopców przyniósł w koszyku zmarzniętą wiewiórkę, którą znalazł na drodze. Pamiętam, jak próbował zawiesić zeszytniałe zwierzę za pazury na słupie werandy.

Wreszcie w klasie zaczęła się mozolna, zimowa praca...

Nagle gwałtowne uderzenie w szybę kazało nam podnieść wzrok znad zeszytów. Przed drzwiami stał Meaulnes i otrzepywał się ze śniegu. Głowę trzymał jakoś wysoko, z dziwnym wyrazem oszołomienia czy zachwytu na twarzy.

Dwaj uczniowie siedzący najbliżej wejścia zerwali się, żeby mu otworzyć. Miałem wrażenie, że przed drzwiami odbyła się jakby krótka narada, zanim zbieg nasz zdecydował się wejść do klasy.

Razem z nim wtargnął do pokoju powiew mroźnego, świeżego powietrza. Zapach tego powietrza, a także i wygląd Meaulnes'a, jego ubranie, do którego gdzieś przyczepione były źdźbła słomy, cała postawa zmęczonego, zgłodniałego, ale jaśniejącego radością podróżnika, wszystko to podnieciło naszą ciekawość.

Pan Seurel wstał i zszedł po dwóch schodkach katedry, a Meaulnes zbliżał się do niego prawie wyzywający. Pamiętam, jaki piękny wydał mi się w tej chwili ten wysoki towarzysz, chociaż twarz miał zmęczoną i oczy zaczerwienione po tych kilku nocach zapewne spędzonych na dworze.

Podszedł do katedry i z całą pewnością siebie, jak ktoś, kto przynosi dobrą nowinę, powiedział:

— Wróciłem, proszę pana.

— Widzę to — rzekł pan Seurel patrząc na niego z zaciekawieniem.

— Proszę iść na swoje miejsce.

Meaulnes odwrócił się do nas trochę zgarbiony i uśmiechnął się

drwiąco, jak to czynią starsi, niedyscyplinowani uczniowie, gdy im wymierzają karę. Oparł się ręką o kant pulpitu i powoli osunął się na ławkę.

— Masz tu książkę, proszę się tym zająć, dopóki koledzy nie skończą dyktanda — powiedział pan Seurel, podczas gdy wszystkie spojrzenia skierowane były na Meaulnes'a.

I dyktando znów się rozpoczęło. Meaulnes jednak od czasu do czasu zwracał się w moją stronę albo patrzył przez okno, za którym rozciągał się białym puchem otulony, nieruchomy w swej ciszy ogród i opustoszałe pola; od czasu do czasu zlatywał na nie kruk. W klasie od rozpalonego pieca robiło się duszno i gorąco. Mój przyjaciel oparł głowę na rękach i zabrał się do czytania, ale widziałem, że oczy mu się kleją; dwa razy przymknął powieki, tak jakby już zasypiał.

— Chciałbym pójść się położyć, proszę pana — powiedział wreszcie odejmując jedną rękę od twarzy. — Trzy noce już nie spałem.

— Idź — odpowiedział pan Seurel, który przede wszystkim chciał uniknąć konfliktu.

Wszystkie głowy się podniosły, wszystkie pióra oderwały się od zeszytów; patrzyliśmy z żalem na odchodzącego Meaulnes'a. Zauważyłem, że bluzę z tyłu miał wygniecioną i buty zablocone. Jakież długi wydał się nam ten ranek! Koło dwunastej usłyszę-

liśmy ruch w pokoiku na poddaszu; widocznie nasz podróżnik wstał i miał zamiar zejść na śniadanie. Istotnie w jadalni zobaczyłem go siedzącego przy kominku, ku wielkiemu zdumieniu dziadków, podczas gdy wszyscy starsi i młodszy uczniowie na uderzenie zegara, który wybił dwunastą, wysypali się na podwórko i widziałem ich cienie migocące za szybami.

Z tego śniadania pozostało mi wspomnienie wielkiego milczenia i wielkiego skrzępowania. Wszystko było zimne: cerata na stole nie pokryta obrusem, wino w szklankach, czerwona ceglana podłoga, na której marzły nam nogi... Aby nie drażnić Meaulnesa i nie doprowadzić do jakiegś awantury, postanowiono nie zadawać mu żadnych pytań dotyczących jego ucieczki. Skorzystał z tego i przez cały czas słowem się nie odezwał.

Wreszcie po deserze mogliśmy obaj pobiec na podwórko szkolne, gdzie po południu nie zostało już nic z rozdeptanego śniegu; była odwilż i z dachów kapąły wielkie krople wody; wszędzie pełno wesołości i wrzawy dziecinnej. Meaulnes i ja przebiegliśmy raz wzdłuż budynków, a już kilku kolegów ujrzawszy nas porzuciło zaczęłą grę i rzuciło się w pogoń za nami. Biegli z krzykiem, z rozwianymi szalikami na szyi, z rękoma w

kieszeniach, ciężkimi drewniakami rozpryskując błoto na drodze. Ale mój towarzysz wpadł do klasy, ja za nim i zatrzaskaliśmy za sobą oszklone drzwi akurat w porę, aby wytrzymać szturm. Rozległ się ostry, czysty dźwięk wstrząśniętych szyb, tupot drewniaków na progu, z zewnątrz pchano gwałtownie, tak że haczyk u drzwi wygiął się i kółko się złamało, ale Meaulnes, który o mało co się nie skaleczył nim, zdążył jeszcze przekręcić klucz w zamku.

Zwykle uważaliśmy takie postępowanie za bardzo obraźliwe. Latem często zdarzało się, że ci, którym tak drzwi zamknięto przed nosem, biegli do ogrodu i przedostawali się oknem, zanim zdążyło się wszystkie pozamykać. Ale był grudzień i okna były zamknięte. Chwilę jeszcze dobijali się do drzwi, wymyślali nam przez szybę, wreszcie jeden po drugim zaczęli odchodzić, zniechęceni, poprawiając szaliki na szyi.

W klasie, gdzie pachniało pieczonymi kasztanami i lichym winem, było tylko dwóch uczniów: jak zwykle zamiatali podłogę i ustawiali poruszone z miejsca ławki i stoły. Stałem przy piecu i oparłem się plecami o kafle, leniwie czekając na powrót innych! przez ten czas Meaulnes szperał w pulpitych, a nawet w biurku pana Seurel. Wreszcie znalazł jakiś mały atlasik i, nie schodząc 7 katedr), z łokciami na biurku i głową opartą na dłoniach, zaczął studiować z zapalem.

Chciałem podejść do niego, położyć mu rękę na ramieniu i razem z nim odszukać na mapie miejsca, które zwiedził, kiedy nagle drzwi łączące naszą klasę z klasą małych otworzyły się z trzaskiem na roścież i do pokoju z tryumfalnym wrzaskiem wpadł Jaśmin Delouche wraz z jednym chłopcem z miasteczka i trzema ze wsi. Jedno z okien w klasie malców było pewno źle zamknięte; widocznie chłopcy pchnęli je i tamtędy wskoczyli do środka.

Jaśmin Delouche, chociaż dość mały, był jednym ze starszych uczniów na wyższym kursie. Bardzo zazdrościł Meaulnes'owi, chociaż udawał, że jest jego przyjacielem; przed przyjazdem Augustyna zawsze rej wodził w klasie. Miał bladą twarz bez wyrazu i upomadowaną głowę. Był jedynym synem wdowy Delouche, właścicielki karczmy, i udawał dorosłego popisując się zdaniem, które słyszał przy bilardzie lub przy stolikach.

Kiedy wtargnął do klasy, Meaulnes podniósł głowę znad atlasu i ze ściągniętymi brwiami krzyknął na chłopców cisnących się jeden przez drugiego do pieca.

— Chwili spokoju mi nie dacie, czy co?

— Jak ci się tu nie podoba, to mogłeś zostać tam, gdzieś był! —

powiedział nie patrząc na niego Jaśmin Delouche, który czuł za sobą poparcie kolegów.

Myśle, że Augustyn był tak zmęczony, iż nie był już w stanie opanować złości, która w nim wzbierała.

Przybladł nieco i, wstając niespodziewanie, zamknął z hałasem atlas.

— Ty — rzekł groźnie do Delouche'a — wynoś mi się stąd, póki czas!

Tamten zaśmiał się tylko szyderczo.

— Oho! Myślisz, że dlatego, żeś gdzieś się włóczył przez trzy dni, to teraz będziesz tu wszystkim rządził? — I chcąc wciągnąć kolegów do sprzeczki, dodał: — Nie myśl, że nas stąd wyprosisz!

Ale Meaulnes rzucił się na niego. Zaczęła się bitka; rękawy trzeszczały i darły się. Tylko Marcin, jeden z chłopców wiejskich, którzy przyszli razem z Delouche'em, chciał interweniować.

— Zostaw go! — krzyczał z rozdętymi nozdrzami potrząsając głową jak baran.

Meaulnes nagłym pchnięciem odrzucił go, zataczającego się, z rozkrzyżowanymi rękami, na środek klasy, potem jedną ręką chwyciwszy Delouche'a za kark, drugą otwierając drzwi chciał wyrzucić go na dwór. Jaśmin czepiał się ławek, podkutymi butami szurał po podłodze, a tymczasem Marcin, odzyskawszy równowagę, szedł na Meaulnes'a z głową pochyloną, jakby go miał bóść, wściekły. Meaulnes puścił Delouche'a, by złapać tego głupca, i nie wiadomo, czy nie znalazłby się w opałach, kiedy nagle drzwi łączące klasę z mieszkaniem otworzyły się do połowy i ukazał się w nich pan Seurel. Kończył rozmowę z kimś w kuchni i miał jeszcze głowę w tył odwróconą.

Bitwa momentalnie została przerwana. Ci, którzy do końca jeszcze nie stanęli po niczyjej stronie, z głową spuszczoną, w milczeniu uszeregowali się pod piecem. Meaulnes z porozrywany rękawami usiadł na swoim miejscu. A Jaśmin czerwony jak burak zdążył jeszcze krzyknąć, zanim pan Seurel uderzył linią w stół na znak ciszy:

— Tknać go teraz nie można! Mądrała! Może mu się zdaje, że nikt nie wie, gdzie on był!

— Głupiś! Ja sam tego nie wiem — odpowiedział Meaulnes wśród ogólnej ciszy. Potem, wzruszywszy ramionami, z głową w dłoniach ukrytą, zabrał się do lekcji.

Rozdział VIT JEDWABNA KAMIZELKA

Pokój nasz, jak to mówiłem był właściwie mansardą. Na pół mansardą, na pół pokojem. W sąsiednich pokojach, gdzie również mieszkali uczniowie, były okna, nie wiadomo czemu w naszym tylko lufcik. Drzwi nie można było nigdy szczelnie zamknąć, bo tarły o podłogę. Wieczorem, kiedy ręką zasłaniając płomień świecy od przeciągu, wracaliśmy przez strych do naszej izdebki, za każdym razem usiłowaliśmy je zamknąć i za każdym razem musieliśmy z tego rezygnować. I przez całą noc zdawało nam się, że aż do naszego pokoju wchodzi cała cisza wielkiego strychu.

Tu właśnie znaleźliśmy się we dwóch z Meaulnes'em owego pamiętnego dnia zimowego. Prędko zrzuciłem z siebie ubranie i cisnąłem je zwinięte w kłębek na krzesło stojące przy łóżku, tymczasem mój przyjaciel, nic do mnie nie mówiąc, zaczął rozbierać się powoli. Leżąc już w swoim żelaznym łóżku, zasłoniętym kretonowymi firankami w deseń z gałęzi winorośli, obserwowałem go spod oka. To siadał na swoim niskim łóżku, to znów wstawał i rozbierał się z wolna chodząc tam i z powrotem po pokoju. Płomień świecy stojącej na małym wyplatany przez Cyganów stoliku rzucał na ścianę olbrzymi cień poruszającej się wciąż jego postaci.

W przeciwieństwie do mnie Meaulnes starannie poskładał mundurek, ale widziałem, że był zamyślony i miał jakiś gorzki wyraz twarzy. Widzę jeszcze teraz, jak kładł pasek na krzesło, jak składał na oparciu czarną uczniowską bluzę dziwnie poplamioną i wymiętą, jak zdejmował granatową kurteczkę, którą pod nią zawsze nosił, i odwrócony tyłem do mnie rozkładał ją na łóżku. Ale kiedy się wyprostował i odwrócił w moją stronę, zobaczyłem, że zamiast zwykłej kamizelki z mosiężnymi guzikami, która była częścią munduru szkolnego, miał na sobie nie znaną mi jedwabną kamizelkę mocno wyciętą z przodu, zapiętą w dole na szereg guzików z masy perłowej. Było w tym stroju coś czarownego, pełnego fantazji; takie kamizelki zapewne nosili młodzi ludzie, którzy tańczyli z naszymi babkami na balach w 1830 roku.

Czapkę zdjął także i położył ją na starannie ułożonym ubraniu. Pamiętam jego chłopską postawę, kiedy tak stał z gołą głową, z twarzą tak młodą, a tak dzielną, tak pełną już zaciętości. Zaczął znów chodzić tam i z powrotem po pokoju i odpinał powoli tajemniczą kamizelkę, która na pewno nie była jego własnością. Dziwnie wyglądał tak: bez kurtki, w spodniach za krótkich, w zabłoconych butach, z ręką na tej kamizelce

markiza.

Dotknąwszy jej ocknął się nagle z zadumy, odwrócił głowę w moją stronę i popatrzył na mnie z niepokojem. Właściwie trochę śmiać mi się chciało. Uśmiechnęliśmy się obaj jednocześnie i twarz jego rozjaśniła się.

— Och, powiedz mi, co to jest! — Ośmielony tym, spytałem cichutko. — Skąd to masz?

Ale uśmiech jego zgasł natychmiast. Dwa razy przeciągnął ciężką dłonią po krótko ostrzyżonych włosach i nagle jak ktoś, kto nie może już dłużej walczyć ze sobą, naciągnął z powrotem na delikatną kamizelkę starą swoją kurteczkę, którą zapiął starannie na wszystkie guziki, i włożył znów pogniecioną bluzę; potem wahał się przez chwilę, patrząc na mnie z ukosa... Wreszcie usiadł na brzegu łóżka, zrzucił buty, które upadły z hałasem na podłogę, i tak ubrany, jak żołnierz gotowy zerwać się na apel, wyciągnął się na posłaniu i zdmuchnął świecę.

Koło północy zbudziłem się nagle. Meaulnes stał pośrodku pokoju, w czapce na głowie, i szukał czegoś przy wieszaku. Zdjął pelerynę i zarzucił ją sobie na plecy. W pokoju było bardzo ciemno, przez okno nie wchodził nawet, jak to się czasem zdarza, odblask śniegu. W ogrodzie było czarno i lodowaty wiatr świszczwał nad dachem.

Uniosłem się trochę na łóżku i przestraszony stłumionym głosem spytałem:

— Meaulnes! Jedziesz znowu?

Nie odpowiedział. Lęk mnie ogarnął.

— No, to jadę z tobą! Musisz mnie zabrać!

I wyskoczyłem z łóżka.

Meaulnes zbliżył się do mnie, chwycił mnie za rękę i, sadzając na łóżku z powrotem, powiedział:

— Nie mogę cię zabrać, Franku. Żebym znał dobrze drogę, mógłbyś jechać ze mną. Ale najpierw musiałbym ją odnaleźć na mapie, a nie mogę w żaden sposób.

— Więc ty także nie możesz jechać!

— To prawda, właściwie to nie ma sensu... — szepnął zniechęcony. — No, kładź się z powrotem. Obiecuję ci, że bez ciebie nie pojedę.

I znowu zaczął chodzić po pokoju. Nie śmiałem już odzywać się do niego. Chodził, zatrzymywał się, przyspieszał znowu kroku, jak ktoś, kto odgrzebuje w pamięci splątane jakieś wspomnienia, kontroluje je, porównuje ze sobą, coś oblicza i zdaje mu się nagle, że już

jest na tropie; potem znów traci wątek i szuka dalej.

Nie tylko tej nocy zbudziły mnie jego kroki. Kilka razy jeszcze, około północy, budząc się widziałem go tak samo ubranego i gotowego już do drogi, chodzącego po pokoju i po strychu, jak ci starzy marynarze, którzy nigdy nie odzwyczajają się od dawnego trybu życia, i długo jeszcze po powrocie na ląd, u siebie w jakiejś zapadłej wiosce bretońskiej, wstają wśród nocy i obchodzą domostwo, jak niegdyś — okręt.

Zdarzyło się to dwa czy trzy razy w styczniu i w pierwszej połowie lutego. Coś mnie budziło z głębokiego snu. Duży Meaulnes stał w pełnym rynsztunku podróżnym, z peleryną na plecach i za każdym razem u progu tej tajemniczej krainy, do której już raz uciekł, zatrzymywał się, pełen niepewności. W chwili kiedy już miał otworzyć drzwi na schody i wyjść przez kuchnię, co mógłby łatwo uczynić nie posłyszany przez nikogo, cofał się jeszcze... I potem przez długie nocne godziny, zatopiony w swych myślach gorączkowo chodził tam i z powrotem po pustym strychu.

Wreszcie, pewnej nocy, koło 15 lutego, Meaulnes sam zbudził mnie kładąc mi rękę na ramieniu.

Dzień ten minął burzliwie. Meaulnes, który już teraz porzucił wszystkie dawne zabawy z kolegami, przez cały czas ostatniej pauzy siedział w swojej ławce i zajęty był kreśleniem jakiegoś tajemniczego planiku, obliczając coś przy tym i sprawdzając wszystko w małym atlasie, po którym wodził palcem powoli i uważnie. Pomiedzy podwórzem a klasą trwał bezustanny ruch. Drewniaki stukwały, chłopcy gonili się między ławkami, przeskakując przez nie, czasem nawet wskakiwali na katedrę... Wiadomo było, że lepiej nie zaczepiać Meaulnes'a, gdy był zajęty; jednak, ponieważ pauza przedłużała się, dwóch czy trzech chłopców przez figle podchodziło do niego ukradkiem i zaglądało mu przez ramię. Wreszcie najodważniejszy z nich popchnął tamtych tak silnie, że wpadli na Meaulnes'a. Mój przyjaciel wstał, gwałtownie zatrzęsął atlas, schował do kieszeni kartkę z planem i złapał jednego z chłopców za kark, podczas gdy reszta zdążyła uciec. Był to ten wiecznie zadąsany Giraudat. Zrobił zaraz płaczli-

36

wą minę, bronił się, próbował kopać, ale został przez Meaulnes'a wyrzucony za drzwi i zaledwie zdążył krzyknąć z wściekłością:

— Ty podły! Wcale się nie dziwię, że oni wszyscy przeciwko tobie, że ci nie dają spokoju!

I dodał jeszcze jakieś wymysły, a my odgrażaliśmy się z zapalem, nie

rozumiejąc nawet właściwie, o co mu chodziło. Ja krzyczałem najgłośniej, bo byłem oczywiście po stronie Meaulnes'a. Miałem wrażenie, że między nami został zawarty jakiś pakt. Wdzięczność za to, że obiecał zabrać mnie ze sobą i nie powiedział mi, jak inni, że nie będę mógł zająć daleko, związała mnie z nim na zawsze. Ciągle myślałem o tej tajemniczej podróży. Przekonany byłem, że Augustyn musiał spotkać jakąś dziewczynę, piękniejszą zapewne od wszystkich dziewcząt z naszych okolic. Piękniejszą od Janki, którą widzieliśmy zawsze w ogrodzie zakonnicy, kiedy zaglądaliśmy tam przez dziurę w murze; piękniejszą od Magdy, córki piekarza, różowej i jasnowłosej; piękniejszej nawet od Jenny, córki tej pani z pałacu; wydawała nam się cudowna, ale podobno była umysłowo chora i ciągle ją zamykali. Na pewno Meaulnes, jak bohater z romansu, myślał o jakiejś dziewczynie, kiedy tak wstawał w nocy. I postanowiłem wreszcie pomówić z nim o tym, jak tylko raz jeszcze mnie obudzi...

Wieczorem, po tej nowej bójce, obaj z Meaulnes'em zajęci byliśmy chowaniem pod szopę różnych narzędzi, grac, łopat, którymi kopaliśmy w ogrodzie, kiedy usłyszeliśmy krzyki na drodze. Była to cała gromada chłopców w różnym wieku zorganizowana jak regularny oddział żołnierzy, prowadzona przez Delouche'a, Daniela, Giraudata i jeszcze jakiegoś czwartego, którego nie znaliśmy. Zobaczyli nas i zaczęli nam wymyślać z daleka. Widocznie całe miasteczko było przeciwko nam i chłopcy przygotowali jakąś zabawę wojskową, z której byliśmy wykluczeni.

Meaulnes schował pod szopę łopatę i motykę i nic nie powiedział...

Ale o północy poczułem jego rękę na ramieniu i zbudziłem się.

— Wstawaj — rzekł — jedziemy!

— Czy znasz już drogę do końca?

— Znam większą część drogi. Będziemy musieli znaleźć resztę! — odparł przez zaciśnięte zęby.

— Słuchaj, Meaulnes — powiedziałem siadając na łóżku. — Tylko jedno możemy zrobić: posługując się twoim planem, we dwóch za dnia szukać tej części drogi, której nam jeszcze brakuje.

— Ale ta część jest bardzo daleko stąd.

— No, to pojedziemy bryczką, ale latem, jak tylko będą dłuższe dni.

Meaulnes milczał przez chwilę, zrozumiałem, że się zgadza.

— Ponieważ razem będziemy starali się odnaleźć tę dziewczynę, którą kochasz — odezwałem się w końcu — powiedz mi, kto to taki, powiedz mi coś o niej!

Meaulnes usiadł na brzegu łóżka. W mroku widziałem jego schyloną głowę, skrzyżowane ręce i kolana. Wreszcie westchnął głęboko, jak ktoś, kto długo już ma coś na sercu i teraz na koniec może się zwierzyć ze swej tajemnicy.

Rozdział VIII DZIWNA PRZYGODA

Tej nocy mój przyjaciel nie opowiedział mi wszystkiego, co zdarzyło mu się w drodze. A nawet potem, kiedy opowiedział mi wszystko w ciągu tych kilku dni następnych, tak pełnych niepokoju, o których jeszcze opowiem, długo jeszcze cała ta przygoda pozostała wielką tajemnicą naszych lat młodości. Ale dzisiaj, kiedy wszystko już się skończyło, kiedy nic już nie pozostało z tyłu bóleści, z tyłu radości, teraz mogę już opowiedzieć jednym ciągiem ową dziwną historię.

O wpół do drugiej po południu, wśród mroźnej zimowej pogody na drodze do Vierzon, Meaulnes musiał popędzać konia, bo widział, że się spóźnił. Na razie bawiła go tylko myśl, jak zdziwione będziemy mieli miny, kiedy tak niespodziewanie przywiezie nam dziadków Charpentier. Zapewne wtedy jeszcze nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Po trochu zimno zaczęło go przejmować i owinał nogi w derkę, której z początku nie chciał zabrać, ale którą ludzie z Belle- -Etoile wpakowali mu mimo to do bryczki.

O drugiej był w miasteczku La Motte. Nigdy jeszcze nie był na mieście w godzinach, kiedy dzieci siedzą w szkole, i wydało mu się tam aż zabawnie pusto i sennie. Tylko czasmi w oknie, zza firanek, ukazywała się głowa kobiety ciekawie wyglądającej na ulicę.

Kiedy minął gmach szkolny i przejechał przez całe miasteczko, zawahał się, jaką drogę wybrać, i zdawało mu się, że do Vierzon trzeba jechać drogą na lewo. Naokoło było pusto, tak że niczego nie mógł się dowiedzieć. Klacz musiała iść stępą, bo droga była teraz dość wąska i wyboista. Jakiś czas jechał wzdłuż lasu świerkowego, gdzie zobaczył z daleka jakąś furmankę; przyłożył rękę, w trąbkę złożoną, do ust i spytał, czy znajduje się na drodze do Vierzon. Klacz pociągając za lejce szła dalej nie zatrzymując się, furman widocznie nie zrozumiał, o co go pytano, odrzyknął coś robiąc niewyraźny ruch ręką i Meaulnes pojechał dalej tą samą drogą.

Znowu roztaczał się naokoło szeroki krajobraz zimowy, niczym nie urozmaicony, jednostajny. Czasami jakaś sroka, wystraszona przez bryczkę, zrywała się i siadała o parę kroków dalej, pod ogołoconym wiązem. Meaulnes owinał się derką, wyciągnął nogi, oparł się na jednym łokciu o siedzenie bryczki; musiał tak drzemać dość długo...

...Kiedy wreszcie zimno przenikając już przez derkę zbudziło go,

ocknął się skostniały i zauważył, że krajobraz zmienił się znowu. Zamiast szerokich horyzontów i białego nieba, w którym wzrok się gubił, miał przed oczyma pagórki pokryte trawą jeszcze trochę zieloną; na prawo i na lewo, w rowach, woda płynęła pod cienką warstwą lodu; czuło się bliskość rzeki. Droga pomiędzy żywopłotami była już właściwie tylko wąską ścieżką.

Klacz stanęła. Meaulnes chciał popędzić ją batem, ale zwierzę, widocznie zmęczone, wlokło się tylko pomału. Wtedy patrząc w bok, z rękoma opartymi o przód bryczki, spostrzegł, że klacz kuleje na zadnią nogę. Zaniepokojony, zeskoczył na ziemię.

— Nigdy nie zdążę na pociąg do Vierzon — rzekł do siebie półgłosem.

Nie chciał przyznać się sam przed sobą do tego, co najbardziej go niepokoiło, do tej myśli, że może zblądził i nie jest już wcale na drodze do Vierzon.

Uważnie oglądał kopyto klaczy i nie znalazł żadnego obrażenia. Ale lękliwe zwierzę podnosiło nogę, jak tylko Meaulnes próbował jej dotknąć, i ciężkim niezdarnym kopytem skrobało po ziemi. Zrozumiał wreszcie, że po prostu jakiś kamyk musiał wbić się klaczy w kopyto. Jako prawdziwy wieśniak umiał się obchodzić z końmi; przykucnął na ziemi i starał się ująć prawe kopyto klaczy w lewą rękę i umieścić je sobie między kolanami, ale bryczka przeszkadzała mu. Dwa razy z rzędu klacz wyrwała nogę i posunęła się o parę kroków naprzód. Stopień bryczki uderzył go w głowę i koło zadrasnęło mu kolano. Ale Meaulnes nie zniechęcał się i wreszcie opanował lękliwe zwierzę: kamyk zaryty był tak głęboko, że musiał wygrzebywać go nożem, który zawsze nosił przy sobie.

Kiedy wreszcie skończył tę mozolną robotę i podniósł głowę do góry, spostrzegł z przerażeniem, że noc już zapada...

Na miejscu Meaulnes'a każdy inny byłby od razu zawrócił tą samą drogą. Jest to jedyny sposób, żeby nie błądzić dalej. Ale Meaulnes sądził, że musi być teraz bardzo daleko od La Motte. Zresztą, może klacz skierowała się inną drogą, podczas kiedy spał. Droga musiała w końcu doprowadzić go do jakiejś osady. Do tych wszystkich powodów dodajmy najważniejszy: że ten dziwny chłopak, kiedy tylko wsiadł na bryczkę z powrotem i klacz pociągnęła za lejce, rwąc się widocznie do dalszej drogi, poczuł w sobie nieprzeparłe pragnienie, aby jechać gdzieś przed siebie, gdzieś przecież dojechać, mimo wszystkich przeszkód! Zaciął klacz, która skoczyła w bok i z miejsca ruszyła klusem. Było coraz ciemniej. Bryczka

już ledwo mieściła się na podmytej wodą wąskiej dróżce. Od czasu do czasu jakaś gałązka chwycona przez koło łamała się z suchym trzaskiem... Kiedy już ściemniło się zupełnie, Meaulnes z nagle ściśniętym sercem pomyślał o jadalni w Sainte-Agathe, gdzie o tej porze wszyscy musieli być już zgromadzeni. Potem ogarnęła go złość, a potem duma i głęboka radość, że tak uciekł, sam, nie mając nawet tej ucieczki na celu...

Rozdział IX POSTÓJ

Nagle klacz zwolniła kroku, jakby potknęła się o coś w ciemności. Meaulnes widział dwa razy, jak schylała i podnosiła łeb, wreszcie stanęła w miejscu, jakby coś węszyła. Zdawało mu się, że słyszy pluskanie wody pod jej kopytami. Jakiś strumień przecinał drogę. Był tak płytki, że latem zapewne wysychał, ale o tej porze płynął wartko i lód nie zdołał go pokryć; byłoby niebezpiecznie posuwać się dalej.

Meaulnes łagodnie pociągnął za lejce, żeby cofnąć się o parę kroków, i niespokojny wyprostował się na siedzeniu. Wtedy zobaczył między gałęziami jakieś światło. Zapewne niewielka odległość, może dwóch czy trzech łąk, dzieliła go od drogi.

Wysiadł z bryczki i wzięwszy klacz za uzdę poprowadził ją parę kroków w tył. Rzuciła łbem, widocznie wystraszona; zaczął więc mówić do niej, żeby ją uspokoić:

— Ho, ho, stara, ho, ho! Teraz już nie pojedziemy dalej, niedługo dowiemy się, gdzieśmy dojechali.

I popychając nie domkniętą furtkę ogrodzenia łączki, sąsiadującej z drogą, wprowadził tam klacz wraz z bryczką. Nogi grzęzły mu w miękkiej trawie, bryczka kołysała się po nierównościach gruntu. Oparł głowę o łeb klaczy i czuł jej gorący oddech na twarzy... Przeprowadził ją przez całą łączkę, okrył derką i, rozchyliwszy gałęzie żywopłotu, w głębi zobaczył znowu światło. Pochodziło z jakiegoś samotnie stojącego domku.

Musiał jeszcze przejść przez kilka grząskich łąk, przeskoczyć przez jakiś zdradziecki strumień, do którego o mało co nie wpadł obiema nogami. Wreszcie wdrapał się jeszcze na jakiś pagórek, z którego zeskoczył jednym susem, i znalazł się na podwórzu wiejskiego domu. Słyszał chrząkanie świni w chlewie. Na dźwięk jego kroków po zamarznętej ziemi pies zaczął zajadle szczeekać. Okiennice w domu nic był zamknięte i Meaulnes zobaczył przez okno ogień palący się na kominie. Poza tym nie było w pokoju innego światła. Jakaś kobiecina usłyszawszy szczeekanie psa podeszła do drzwi bez pośpiechu. W tej chwili właśnie zegar wydzwonił pół do siódmej.

— Przepraszam panią bardzo — rzekł Meaulnes — zdaje mi się, że nadepnąłem na te chryzantemy...

Kobieta zatrzymała się z kubkiem w rękę i popatrzyła na chłopca.

— Prawda, że tak ciemno na podwórzu, choć oko wykol — rzekła.

Zamilkli na chwilę. Meaulnes stał i patrzył na ściany pokoju, do

których przypinane były całe strony z ilustrowanych gazet jak w karczmie; na stole leżał męski kapelusz.

— A gospodarza nie ma w domu? — spytał siadając.

— Niedługo wróci — odpowiedziała, widocznie uspokojona. — Poszedł po chrust.

— Nie mam do niego żadnego interesu — mówił dalej Meaulnes przybliżając krzesło do ognia. — Ale jest nas tu kilku myśliwych. Przyszedłem się spytać, czy moglibyście odstąpić nam trochę chleba.

Duży Meaulnes wiedział, że z chłopami, szczególnie w takim zapadłym kącie, trzeba mówić bardzo ostrożnie, przemyślnie nawet, a zwłaszcza nie dać poznać po sobie, że nie jest się z tej okolicy.

— Chleba? — spytała kobieta. — Nie mogę panu dać ani kawałka. Piekarz, co tu zawsze przyjeżdża we wtorki, dziś właśnie nie był...

Augustyn, który miał nadzieję, że znajduje się w pobliżu jakiejś wsi, przestraszył się.

— Piekarz? skąd?

— No, z Vieux-Nançay przecież — powiedziała ze zdziwieniem kobieta.

— Właściwie, jak daleko stąd do Vieux-Nançay? — spytał Meaulnes coraz bardziej zaniepokojony.

— Drogą to nie mogę powiedzieć na pewno, ale jak tak pójść na przełaj, to będzie ze trzy i pół mili.

I zaczęła opowiadać, że tam, w Vieux-Nançay, córka jej jest na posadzie i że przychodzi do niej w każdą pierwszą niedzielę miesiąca, i że ci państwo, u których służy...

Ale Meaulnes straciwszy już całą rozwagę przerwał jej pytaniem:

— Czy nie ma tu bliżej żadnej większej wsi?

— Jest, Les Landes, o pięć kilometrów stąd. Ale tam nie ma żadnego kupca ani piekarza. Tam tylko raz do roku jest zabawa na Święty Marcin.

Meaulnes nigdy nie słyszał o tej wiosce; zrozumiał teraz, że zabłądził tak daleko, że przez chwilę wydało mu się to aż śmieszne. Ale kobieta, która była dotychczas zajęta zmywaniem przy szafliku, odwróciła się i patrząc mu w oczy z ciekawością spytała:

— To pan nietutejszy?

W tej chwili jakiś stary chłop stanął w progu; niósł dużą naręcz chrustu, którą rzucił na podłogę. Kobieta zaczęła tłumaczyć mu, po co przyszedł Meaulnes; mówiła bardzo głośno, jak do głuchego.

— No, to dobrze — powiedział po prostu. — Niech pan przy- siądzie

się do ognia, to się pan ogrzeje.

Chwilę potem obaj siedzieli już przy kominku; stary łamał gałęzie i dorzucał je do ognia, Meaulnes zajadał kawał chleba, który mu dali, i popijał mlekiem. Nasz podróżnik uradowany z tego skromnego domu, gdzie czuł się wreszcie bezpieczny po tylu niepokojach, myślał, że jest już u kresu swej dziwnej przygody; już planował sobie, jak potem, z kolegami, przyjedzie kiedyś w odwiedziny do tych poczciwych ludzi. Nie przypuszczał, że to tylko chwilowy postój i że niedługo ruszy w dalszą drogę.

Poprosił, żeby mu pokazać drogę do La Motte. I powoli wracając do prawdy w swoim opowiadaniu mówił, że odłączył się od reszty myśliwych i wreszcie zabłądził.

Wtedy gospodarze zaczęli nalegać, żeby koniecznie u nich przemocował i wyruszył! dopiero nazajutrz rano. Meaulnes z początku wykręcał się, ale po jakimś czasie się zgodził i wyszedł po klacz, żeby zaprowadzić ją na noc do stajni.

— Niech pan uważa, bo straszne wyboje na ścieżce — powie dział jeszcze gospodarz. Meaulnes nie śmiał przyznać się, że nie szedł wcale ścieżką. Niewiele brakowało, a byłby poprosił, żeby gospodarz go podprowadził. I gdy próg przestępował, aż zachwiał się na nogach, taki był niespokojny i pełen wahań. Wreszcie wyszedł na ciemne podwórko.

Rozdział X OW CZARNIA

Meaulnes wdrapał się na pagórek, z którego zeskokczył: chciał się rozejrzeć. Znowu musiał tak samo powoli i z trudnością przedostawać się przez grząskie łąki. Doszedł wreszcie do żywopłotu, przez który się przedzierał, ale kiedy znalazł się na łączce, przekonał się, że ani konia, ani bryczki już nie było... Przez chwilę stał nieruchomo; wsłuchiwał się we wszystkie dźwięki nocy i zdawało mu się ciągle, że gdzieś bliźutko usłyszy chrzęst upręży. Ale czekał na próżno, było cicho... Obszedł łączkę naokoło. Ogrodzenie było w jednym miejscu rozwalone, jakby ktoś przejechał przez nie kołami. Klacz musiała uciec tamtędy.

Wrócił na drogę, którą przyjechał, i kiedy zrobił parę kroków, nogi zaplątały mu się w derkę, która widocznie spadła z konia. Pomyślał, że klacz musiała uciec w tamtą stronę, i zaczął biec w tym kierunku.

Nie miał już w głowie innej myśli jak tylko dziką i upartą wolę odnalezienia zaprzęgu; biegł przed siebie bez tchu, półprzytomny, opanowany tym jednym wyteżonym pragnieniem, podobnym właściwie do panicznego strachu... Od czasu do czasu potykał się o wyboje. Na zakrętach w zupełnej ciemności wpadał na jakieś ogrodzenia; już zanadto zmęczony, żeby zatrzymać się w porę, podnosił tylko ręce zasłaniając nimi twarz, i ostre ciernie kaleczyły mu dłonie. Czasami zatrzymywał się na chwilę, nasłuchiwał i znów rzucał się naprzód. Raz zdawało mu się, że słyszy turkot bryczki, ale był to jakiś wóz, który jechał daleko po drodze gdzieś na lewo.

Kolano skaleczone o stopień bryczki zaczęło go nagłe boleć tak silnie, że noga mu zeszywniała i musiał przystanąć na chwilę. Wtedy przyszło mu na myśl, że gdyby klacz nie szła cały czas galopem, byłby ją już dogonił. Powiedział sobie również, że koń z bryczką nie może przecież tak po prostu zginąć i że zawsze ktoś go znajdzie. I zawrócił z drogi, wyczerpany, zły; włókł się już z trudnością noga za nogą.

Po dość długim błędzeniu wydało mu się, że znalazł się znów w okolicy domu, który opuścił, i po chwili rzeczywiście ujrzał z daleka światło. Natrafił na jakąś ścieżkę i pomyślał sobie, że to zapewne ta, o której mówił mu stary.

I skierował się tą ścieżką, szczęśliwy, że nie będzie już tym razem przeskakiwał przez pagórki i przedzierał się przez ciemne żywopłoty. Trochę dalej ścieżka skręcała na lewo, a światło jakby przesunęło się na prawo od niej. Idąc wciąż przed siebie Meaulnes natrafił na miejsce, gdzie

ścieżka rozdawała się, i bez namysłu wybrał tę, która jak zdawało mu się, prowadziła do ubogiego domostwa; było mu już bardzo pilno. Ale ledwo zrobił kilka kroków w tym kierunku, światło nagle zgasło, nie wiedział, czy coś je zasłoniło, czy też gospodarze zniechęceni długim czekaniem zamknęli okiennice. Odważnie jednak szedł jeszcze naprzód i teraz już na przelaj, w kierunku, gdzie przed chwilą widział światło. Natrafił znowu na jakieś ogrodzenie, przez które przeszedł, i znów znalazł się na innej ścieżce...

I tak pomału plątała się jego droga i rwał się węzeł, łączący go jeszcze z tymi, których porzucił.

Zniechęcony, wyczerpany, zrozpaczony, postanowił iść jeszcze tą ścieżką do końca. O sto kroków dalej znalazł się na dużej szarej łące; w ciemności dostrzegał jakieś cienie, które wyglądały na jałowce. Dalej, jakby w zagłębieniu, widział jakiś budynek, ciemny zupełnie. Podszedł bliżej. Musiała to być opuszczona owczarnia. Drzwi skrzypnęły przeciągle, kiedy je otwierał. Przez szpary w ścianach chwilami wpadało światło księżyca, który ukazywał się między chmurami pędzonymi wiatrem; Naokoło pachniało stęchlizną.

Nie szukając już dalej, Meaulnes wyciągnął się na wilgotnej słomie, opierając łokcie na ziemi, i ukrył twarz w dłoniach. Leżał tak chwilę» wreszcie zdjął pasek i ułożył się na ziemi, skurczony, wysoko podciągając kolana. Wtedy przyszła mu na myśl derka, którą zostawił na drodze, i poczuł się tak nieszczęśliwy, tak zły na siebie samego, że na płacz mu się zbierało...

Toteż starał się myśleć o czym innym. Przemarznięty do kości, przypomniał sobie sen, a raczej jakieś widzenie, które miał kiedyś będąc jeszcze dzieckiem i o którym nigdy nie mówił nikomu: pewnego ranka, gdy otworzył oczy, zdawało mu się, że nie jest w swoim pokoju, gdzie zwykle spostrzegał od razu swoje ubrania porozwieszane na ścianie, ale że znajduje się w jakiejś podłużnej, zielonej komnacie, jakby wytapetowanej listowiem. Było tam rozlane dziwne łagodne światło, czuło się prawie jego słodki smak. Przy najbliższym oknie siedziała jakaś młoda dziewczyna, plecami odwrócona, i szyła, jakby czekając na jego przebudzenie... Nie miał na razie siły wstać z łóżka, aby obejrzeć to tajemnicze mieszkanie. Zasnął z powrotem... Ale obiecywał sobie, że na przyszły raz wstanie na pewno, wstanie i zobaczy... jutro może...

Rozdział XI TAJEMNICZA KRAINA

O świcie ruszył w dalszą drogę, ale spuchnięte kolano dokuczało mu; ból był tak silny, że musiał co chwila zatrzymać się i siadać, żeby wypocząć. Okolica, w której się znajdował, była zresztą wyjątkowo bezлюдna: przez cały ranek widział tylko z daleka jakąś pasterkę, która wracała z pola pędząc bydło przed sobą. Na darmo wołał i starał się nawet ją dogonić; zniknęła mu z oczu nie dosłyszawszy jego głosu. Szedł jednak dalej w kierunku, gdzie ją widział, ale rozpaczliwie powoli. Ani domu, ani żywej duszy, ani nawet głosu kulika odzywającego się wśród trzciny, obrastających błotniste łąki. Nad całą tą wielką pustką unosiło się zimne, grudniowe światło.

Było już koło trzeciej po południu, kiedy wreszcie sponad małego lasku świerkowego zobaczył wznoszącą się szarą wieżyczkę z wysoką strzałą.

„Pewno jakiś stary dwór opuszczony, a może po prostu tylko gołębnik” — pomyślał.

I, nie śpiesząc się już wcale, szedł dalej. Na skraju lasku, między dwoma biało pomalowanymi słupami, zaczynała się droga wysadzona drzewami, i tędy się skierował. Ale zrobiwszy parę kroków zatrzymał się nagle, zdziwiony niezrozumiałym wzruszeniem, które go ogarnęło. Zaraz poszedł jednak dalej pomimo zmęczenia, pomimo lodowatego wiatru, który szczypał spierzchnięte wargi i chwilami przerywał mu oddech. Teraz pomimo wszystko czuł, że unosi go jakaś wewnętrzna radość, jakiś całkowity, prawie upajający spokój, pewność, że dochodzi do celu swojej wędrówki i że czeka go już tylko — szczęście. Było to tak, jak czasami latem, przed jakąś uroczystością, kiedy wieczorem strojono ulice zielenią, i serce w nim zamierało ze szczęścia na widok tych przygotowań.

„Tyle radości, bo zbliżam się do tego starego gołębnika, gdzie pewno będą sowy i przeciągi” — pomyślał sobie.

I zły na siebie, zatrzymał się nie wiedząc, czy nie rozsądniej będzie zawrócić z tej drogi i szukać jakiejś wioski. Namyslał się tak przez chwilę, stojąc, z głową spuszczoną, i nagle zauważył, że na ziemi roztaczały się szerokie kręgi: droga, na której się znajdował, była starannie zamieciona, tak właśnie, jak u nich w miasteczku przed jakimś świętem albo zabawą. Wyglądała jak główna ulica w La Ferte z rana w dzień Wniebowzięcia. I gdyby na zakręcie drogi zobaczył nagle ludzi odświętnie ubranych, wzbijających nogami jak w lecie tuman kurzu, nie byłby już nawet

zdziwiony.

„Czyżby tu, na tym pustkowiu, przygotowywała się jakaś zabawa?” — pomyślał.

Zbliżając się do pierwszego zakrętu usłyszał głosy. W jednej chwili skoczył w bok, ukrył się w gęstych świerkach przydrożnych i słuchał z zapartym oddechem. Były to głosy dziecięce. Tuż obok niego rzeczywiście zjawiała się gromadka dzieci. Głosik jednego z nich, zapewne małej dziewczynki, był tak pełny zabawnej powagi i pewności siebie, że chociaż Meaulnes nie bardzo rozumiał, o co jej chodzi, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Jedno tylko mnie niepokoi — mówiła — to kwestia koni. Nikt przecież nie wytłumaczy Danielowi, żeby nie wsiadał na tego dużego żółtego kuca!

— Naturalnie! Nikt mi tego nie zabroni — odpowiedział ironiczny głos chłopięcy. — Przecież dziś wszystko nam wolno. Nawet możemy sobie zrobić coś złego, jeśli nam się spodoba...

I głosy oddaliły się, w chwili kiedy słyszał zbliżającą się już drugą gromadkę.

— Jeśli będzie odwilż i lód stopnieje, to jutro pojedziemy sobie łódką — mówiła jakaś dziewczynka.

— Ale czy nam pozwolą? — spytała druga.

— Przecież wiesz, że całą zabawę urządzamy po swojemu.

— A jak Rudolf z narzeczoną dziś wieczorem już wróci?

— No to zrobi to, co zechcemy!...

„Widocznie będzie tu jakieś wesele — pomyślał Meaulnes. — Ale cóż to znaczy, że dzieci wszystkim rządzą? Dziwna jakaś okolica!”

Miał ochotę wyjść ze swej kryjówki i spytać dzieci, gdzie mógłby coś dostać do jedzenia i do picia. Wyprostował się trochę i zobaczył, że ostatnia grupa już się oddala. Były to trzy dziewczynki ubrane jednakowo, w krótkie sukienki do kolan i duże ładne kapelusze z wstążkami zawiązanymi pod brodą. Z każdego kapelusza zwisało białe pióro spadające miękko na szyję. Jedna z dziewczynek tłumaczyła coś towarzysze wznosząc palce do góry, a tamta nachylona do niej słuchała uważnie.

„Jeszcze się mnie przestraszą” — pomyślał Meaulnes patrząc na swoją podartą wiejską bluzę i dziwny pas uczniowski z Sainte-Agathe.

I bojąc się, żeby dzieci nie spotkały go wracając drogą, poszedł dalej między świerkami w kierunku gołębnika; nie zastanawiał się co prawda,

po co tam idzie i o co chce się spytać. Zatrzymał się wreszcie przed niskim, mchem porośniętym murem; po drugiej stronie, pomiędzy tym murem a zabudowaniami należącymi widocznie do dworu, rozciągało się obszerne podwórze, na którym pełno było różnych powozów i bryczek jak przed karczmą w dzień jarmarku. Były tam pojazdy najbardziej różnorodnego typu: eleganckie, lekkie bryczuszki na cztery osoby stały z dyszlami w powietrzu; były i landa, i staromodne ciężkie powozy, i karety z podniesionymi szybami.

Meaulnes, w strachu, żeby go ktoś nie dostrzegł, nie wychodził I ze swej kryjówki pomiędzy świerkami i obserwował nieład panujący na podwórzu, kiedy nagle zauważył nie domknięte okno w jednym z budynków, w głębi podwórza. Było to zapewne okienko stajni, prawdopodobnie kiedyś zabezpieczone okiennicami i żelaznymi prętami, teraz jednak stało otworem.

„Wejść tędy — pomyślał sobie — prześpię się na sianie i jutro wyruszę skoro świt; przynajmniej nie nastraszę tych ślicznych dziewczynek.”

Przedostał się przez mur, nie bez trudności z powodu skaleczonego kolana, i przechodząc z bryczki na bryczkę dotarł wreszcie do landa stojącego tuż pod nie domkniętym oknem; otworzył je bez hałasu jak drzwi i wszedł.

Znalazł się jednak nie w śpichrzu, jak się spodziewał, ale w obszernym, niskim pokoju, który wyglądał na sypialnię. W półmroku zimowego wieczoru dostrzegł na kominku, na stole, a nawet na fotelach jakieś wazony, jakieś porzrzucone kosztowne przedmioty, stare zbroje... W głębi pokoju zawieszono firanki prawdopodobnie kryły alkowę.

Meaulnes zamknął okno i z powodu zimna, i z obawy, żeby ktoś nie zobaczył go z podwórka. Podeszedł do firanek i rozsunał je: w alkowie stało niskie łóżko, na którym leżały niedbale rzucone różne stare książki ze złoconymi brzegami, jakieś lutnie z popękanyimi strunami, jakieś ciężkie świeczniki. Poodsuwał to wszystko w kąt łóżka i wyciągnął się na posłaniu, żeby wypocząć i zastanowić się trochę nad dziwną sytuacją, w której się znalazł.

Naokoło panowała kompletna cisza. Chwilami tylko słychać było świst zimowego wiatru.

I Meaulnes leżąc tak rozmyślał, czy mimo tych dziwnych spotkań, mimo głosów dziecięcych, które słyszał, mimo tych wszystkich powozów na podwórzu nie znajdował się w jakimś starym domostwie opuszczonym

w zimowej samotności.

Potem zdawało mu się, że w świstaniu wiatru słyszał jakąś odległą muzykę. Było to jakby wspomnienie pełne uroku i żalu. Przypominał sobie czasy, kiedy matka, wtedy jeszcze młoda, siadała po południu przy fortepianie, a on, ukryty za drzwiami wychodzącymi na ogród, stał cichutko i słuchał jej gry aż do nocy.

„Czyżby tu ktoś grał na fortepianie?” — pomyślał.

Ale był tak zmęczony, że nie mógł już odpowiedzieć sobie na to pytanie i zasnął.

Rozdział XII POKÓJ WELLINGTONA

Noc była, kiedy się obudził. Skostniały z zimna przewracał się z boku na bok, mnąc i skręcając na sobie czarną uczniowską bluzę. Mętne białawe światło przedzierało się przez zasłony alkowy. Usiadł na łóżku i wychylił głowę zza firanek. Widocznie był tu ktoś w czasie jego snu, bo okno było otwarte, i wisiały w nim dwa zielone lampiony. Ale ledwo zdążył to zobaczyć, usłyszał za drzwiami jakieś kroki i przyciszoną rozmowę. Cofnął się gwałtownie i okutym butem zawadził o jeden z brązowych świeczników, który wydał przeciągły, metaliczny dźwięk. Zaniepokojony tym leżał przez chwilę bez ruchu, wstrzymując oddech. Kroki zbliżały się i dwa cienie wśliznęły się do pokoju.

— Cicho, nie hałasuj — powiedział jeden z nich.

— Już przecież czas, żeby się zbudził — odpowiedział drugi.

— Czy już ustroiłeś jego pokój?

— No oczywiście, tak jak wszystkie.

W tej chwili wiatr poruszył otwartym oknem.

— Widzisz — mówił znów pierwszy — nawet okna nie zamknąłeś.

Już jeden lampion wiatr zgasił. Trzeba go zapalić z powrotem.

— Ee, co tam — odpowiedział drugi, nagle rozleniwiony i zniechęcony. — Po co urządzać te iluminacje od strony wsi, od strony właściwie zupełnie odludnej? Nikt tego nie zobaczy.

— Jak to nikt? Przecież jeszcze w nocy będą przyjeżdżali. Pomyśl, jak im będzie przyjemnie na drodze z daleka zobaczyć te światła.

Meaulnes usłyszał trzask zapalanej zapalki. Ten, który mówił ostatni, który, jak mu się zdawało, zarządzał przygotowaniami do uroczystości, zaczął mówić znowu, powoli i przeciągając trochę, jakby jeden z grabarzy Szekspira.

— Zawiesiłeś zielone lampiony w pokoju Wellingtona. Równie dobrze mogłeś powiesić czerwone. Tyle się na tym znasz, co i ja.

Potem chwila milczenia.

— ...Wellington to był Amerykanin? No, co? A czy zielony to jest kolor amerykański? Kto jak kto, ale tyś powinien o tym coś wiedzieć; jesteś aktorem, podróżowałeś...

— O, rzeczywiście! — odpowiedział „aktor” — podróżowałem! Takie podróżowanie! Nic przecież nie widziałem. Co tam można zobaczyć spod tej budy!

Meaulnes ostrożnie wyjrzał zza firanek.

Ten, który rozmawiał z aktorem, niski, krępy, w olbrzymim płaszczu i bez kapelusza na głowie, siedział spokojnie, z nogą na nogę założoną, i patrzył na krzątającego się towarzysza. W ręku trzymał długi kij, na którym wisiały różnokolorowe lampiony. Natomiast aktor był najędźniejszą figurą, jaką można było sobie wyobrazić: wysoki, chudy, zezowaty, z wąsami opadającymi na bezzębne usta, wyglądał na topielca wyciągniętego z wody. Był bez kurtki i szczekał zębami z zimna. Jego ruchy i sposób mówienia zdradzały najkompletniejszą pogardę dla własnej osoby.

Po chwili gorzkiego a jednocześnie komicznego zamyślenia zbliżył się do swego towarzysza i rozkładając bezradnie ręce odezwał się tonem zwierzenia:

— Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? Po prostu zrozumieć nie mogę, że takie dwa stare graty jak my wzięli do urządzania tej zabawy. Ot, co myślę!

Ale grubas bynajmniej nie zwrócił uwagi na ten wybuch szczerości, siedział ze skrzyżowanymi nogami, ziewnął, pociągnął nosem flegmatycznie, wreszcie wstał i, odwracając się plecami, ruszył w stronę drzwi, niosąc kij z lampionami oparty na ramieniu.

— No, chodźmy! Już czas przebierać się do obiadu — powiedział.

„Cygan” podążył za nim, ale przechodząc koło alkowy ukłonił się z komiczną powagą i rzekł na pół ironicznie, ze sztuczną emfazą:

— Panie Śpiący, teraz już możesz się zbudzić! Przebierz się za markiza, jeżeli nawet jesteś takim mizerakiem jak ja, i idź na bal kostiumowy, ponieważ tak sobie życzą ci młodzi ludzie i te piękne panienki. — I dodał jeszcze z wiejską dwornością składając ostatni ukłon: — Nasz towarzysz Maloyau, przydzielony do dworskich kuchni, przedstawi panu sławnego Arlekina, a sługa pański — Wielkiego Pierrota...

Rozdział XIII DZIWNY FESTYN

Gdy tylko zamknęli drzwi za sobą, Meaulnes wyszedł ze swej kryjówki. Nogi mu zziębły, stawy zdrętwiały, ale czuł się wypoczęty i kolano zdawało się goić.

„Oczywiście zejdę na obiad — pomyślał — dlaczego nie miałbym zejść? Będę po prostu jakimś gościem, którego nazwisko wszyscy zapomnieli. Zresztą nie jestem tu intruzem. Nie ma wątpliwości, że Maloyau i jego towarzysz czekali na mnie...”

Po wyjściu z ciemnej alkowy pokój oświetlony kolorowymi latarkami wydał mu się dość jasny. Był najwidoczniej przystrojony przez aktora. Na wieszadle wisały płaszcze. Na ciężkim stole z marmurowym stłuczonym blatem przygotowane było wszystko, czego mógł potrzebować, aby przedzierzgnąć się w wytwornego eleganta, chłopiec, który tej nocy jeszcze spał na sianie w opuszczonej owczarni. Na kominku koło wielkiego świecznika leżało pudełko zapalek, zapomniano tylko o podłodze: była nie zaciągnięta i Meaulnes czuł pod stopami trzeszczące ziarenka piasku; znowu miał wrażenie, że znajduje się w opuszczonym domu. Podchodząc do kominka o mało co nie potknął się o stos wielkich i mniejszych pudeł kartonowych: wyciągnął rękę przed siebie, zapalił świecę i otworzył jedno z nich, żeby zbadać jego zawartość. Były tam jakieś stroje sprzed wielu lat: surduty z wysokimi aksamitnymi kołnierzami, ozdobne kamizelki głęboko wycięte, mnóstwo białych krawatów i trzewiki lakierowane z początku zeszłego wieku. Nie śmiał tknąć niczego nawet końcem palca, ale wreszcie, oczyściwszy się trochę, wstrząsając się z zimna zarzucił na starą uczniowską bluzę jakiś płaszcz ze zmarszczonym suto kołnierzem, zdjął ciężkie podkute buty, włożył cienkie lakierowane pantofle i wyszedł z pokoju. Schodząc na dół po drewnianych schodach nie spotkał nikogo i znalazł się sam w ciemnym zakątku podwórza. Lodowaty podmuch wiartu wionął mu w twarz i szarpnął połą płaszcza.

Zrobił parę kroków naprzód; niebo nie było zupełnie ciemne, tak że mógł zorientować się w tym, co go otaczało. Znajdował się na małym podwórku, do którego przylegały dworskie zabudowania. Wszystko tu było tak stare i zniszczone, że wyglądało prawie na ruiny. Przy wejściu na schody nigdzie nie było drzwi, w kilku oknach również brakowało szyb, ale mimo tych ziejących ciemnych otworów w murach we wszystkim czuło się jakiś uroczysty i radosny nastrój. Odblask barwnego światła

splywał z otwartych okien pokoi, gdzie widocznie wszędzie od strony drogi pozapalane były lampiony. Podwórko było zamieciono i oczyszczone z chwastów. Wreszcie, kiedy natężył słuch, zdawało mu się, że z jasnych kolorowych okien, przed którymi na wietrze chwiały się gałęzie, dolatuje go jakiś śpiew, jakby dźwięk głosów dziecinnych i dziewczęcych.

Stał tak, owinięty w płaszcz, trochę pochylony, nasłuchując jak myśliwy czatujący na zwierzynę, kiedy nagle drzwi opuszczonego na pozór domu otworzyły się i wyszedł z nich jakiś młodzieniec o niezwyklej postaci.

Miał na głowie wysoki cylinder tak błyszczący, że w mroku wyglądał jak srebrny; ubrany był we frak z wysokim kołnierzem, sięgającym aż do włosów, w kamizelkę głęboko wyciętą i obcisłe spodnie ze strzemiączkami... Elegancik ten wyglądał mniej więcej na lat piętnaście; chodził na palcach, jak gdyby go unosiły gumy u spodni, lekko i z niesłychaną szybkością. Przechodząc koło Augustyna ukłonił mu się głęboko, automatycznie i zniknął w mroku kierując się w stronę głównego środkowego budynku fermy, zamku, czy opactwa, którego wieżyczkę widział wciąż Meaulnes idąc tu poprzedniego popołudnia.

Po chwili wahania bohater nasz podążył w ślad za dziwnym młodzieńcem. Przeszli przez podwórko, pomiędzy jakimiś kłombami, koło studni, obeszli jakąś sadzawkę i znaleźli się wreszcie u progu głównego budynku.

Wielkie, ciężkie drzwi dębowe, u góry łukowate i nabite ćwiekami, byty na pół otwarte. Elegancik wszedł bez namysłu. Meaulnes wśliznął się za nim i gdy tylko znalazł się na korytarzu, choć nie widział nikogo, usłyszał naokoło jakieś śpiewy, śmiechy i krzyki goniących się dzieci.

Korytarz, którym się skierował, doprowadził go do drugiego korytarza poprzecznego i Meaulnes namyślał się, czy ma iść dalej jeszcze, czy też otworzyć drzwi, zza których dolatywały go jakieś głosy, kiedy w głębi korytarza ujrzał goniące się dwie dziewczynki. Chciał je dogonić i pobiegł za nimi cichutko dzięki cienkim trzewikom, ale w świetle otwartych nagle drzwi mignęły mu tylko spod wielkich kapeluszy ze wstążkami ich młodziutkie twarzyczki zarumienione przez chłód wieczorny i zabawę... trwało to sekundę: zakreśliły się jeszcze na miejscu tak szybko, że ich lekkie spódniczki utworzyły dwa wielkie, barwne koła, spod których widać było zabawne, długie, zakończone koronką majteczki. Po tym obrocie obie jednocześnie skoczyły do pokoju i momentalnie drzwi zamknęły się za nimi.

Meaulnes, olśniony, stał jeszcze chwilę w ciemnym korytarzu. Bał się teraz, żeby go ktoś nie zobaczył. Czuł się niepewnie i miał wrażenie, że mogą go wziąć za złodzieja. Chciał już skierować się z powrotem do wyjścia, kiedy znów usłyszał jakieś kroki i głosy dziecięce. Dwóch chłopców szło w jego stronę.

— Czy już niedługo będzie obiad? — spytał śmiało Meaulnes.

— Chodź z nami — odpowiedział starszy z chłopców — zaprowadzimy cię do jadalni.

I z tą dziwną ufnością, i z tą potrzebą przyjaźni, właściwą dzieciom szczególnie w radosnych chwilach, wzięli go obaj za ręce. Były to pewno jakieś chłopskie dzieci. Na tę wielką uroczystość ubrane były z widoczną starannością: krótkie spodenki do kolan, grube wełniane pończochy i drewniaki, kurteczki aksamitne granatowe, takżeż czapeczki i białe krawaty.

— Czy ty ją znasz? — spytał jeden z chłopców.

— Wiesz — powiedział drugi, który miał dużą, zabawnie okrągłą głowę i miłe, naiwne oczy — mama mówiła mi, że ona ma czarną suknię z dużą białą krezą i że wygląda na jakiegoś ładnego Pierrota.

— Kto taki? — spytał Meaulnes.

— No, ta panna młoda, po którą Rudolf pojechał...

Zanim Augustyn zdążył coś odpowiedzieć, znalazł się wraz z chłopcami w obszernej izbie, gdzie ogień wesoło palił się na kominku, stoły zastępowały po prostu deski ułożone na kozłach i przykryte białymi obrusami. Sporo osób już siedziało i zabierało się uroczyście do obiadu.

Rozdział XIV DZIWNY FESTYN

(ciąg dalszy)

Obiad ten spożywany w wielkiej niskiej izbie przypominał Augustynowi wieczerze, które zwykle podają na wsi w przeddzień wesela krewnym, przyjeżdżającym z dalekich okolic.

Chłopcy, przyprowadziwszy Meaulnes'a, puścili jego ręce i pobiegli do sąsiedniego pokoju, skąd słychać było mnóstwo głosów dziecinnych, wrzawę i stukanie łyżek o talerze. Meaulnes, nie tracąc pewności siebie, przelał przez ławę i zasiadł obok dwóch starych wieśniaczek. Rzucił się na jedzenie z szalonym apetytem i dopiero po chwili podnosząc oczy znalazł talerza zaczął przyglądać się sąsiadom i słuchać ich rozmów.

Mówili zresztą mało. Goście widocznie ledwo się znali. Poprzyjeżdżali zapewne z różnych zapadłych wsi i z odległych miasteczek. Byli tam jacyś staruszkowie z siwymi bokobrodami, inni ogoleni zupełnie, wyglądający na byłych marynarzy. Dalej jeszcze inni, do nich podobni: mieli tak samo zniszczone twarze, tak samo ży wtoczy pod krzaczastymi brwiami i wszyscy mieli na szyi takie same krawaty wąskie jak sznurowadła... Ale po tych ostatnich od razu widać było, że nie żeglowali nigdy poza granicę ziemi rodzinnej i jeśli kiedyś zmagali się z wiatrami i ulewą, to nic na morzu, tylko w żmudnej, ale bezpiecznej podróży, w której ciężko posuwając pług przed sobą, przemierzali pola swoje tam i / powrotem...

Kobiet było mało: kilka starych wieśniaczek o twarzach okrągłych i pomarszczonych jak jabłko, w czepeczkach z rurkowanymi brzegami...

Przy stole nie było ani jednej osoby, do której Meaulnes od razu nie poczułby sympatii i zaufania. Później tak tłumaczył mi to dziwne uczucie: jeśli się w życiu popełni jakiś wielki błąd, jakiś grzech nie do darowania, myśli się czasami w chwilach wielkiej goryczy: „Są przecież na świecie tacy ludzie, którzy by mi przebaczyli!” i wyobrażamy sobie wtedy jakichś staruszków, jakiegoś dziadka i babkę pełnych wyrozumiałości, którzy w swojej dobroci z góry są przekonani, że nie mogliśmy popełnić nic złego. Otóż ci wszyscy, na których teraz Meaulnes patrzył, wydawali mu się właśnie takimi ludźmi. A reszta to była młodzież i dzieci...

Meaulnes zaczął się przysłuchiwać rozmowie dwóch staruszek, przy których siedział.

— Jeśli nawet wszystko pójdzie jak najlepiej — mówiła starsza śmiesznym, piskliwym głosem, który na próżno starała się złagodzić —

to narzeczeni nie przyjadą wcześniej, jak dopiero jutro koło trzeciej.

— Cicho bądź, bo się w końcu rozzłoszczę — odpowiedziała druga najspokojniej w świecie.

Ta ostatnia miała na głowie kapturek szydełkowej roboty.

— No, rachujmy! — zaczęła znów pierwsza, bynajmniej nie zniechęcona. — Półtorej godziny pociągiem z Bourges do Vierzon i siedem mil końmi z Vierzon do nas...

Rozmowa ciągnęła się dalej. Meaulnes nie tracił z niej ani słówka. Dzięki sprzecze dobroduszych staruszek sytuacja zaczęła się trochę wyjaśniać. Rudolf de Galais, młody dziedzic tego dworu, który był studentem czy marynarzem, a może tylko uczniem szkoły morskiej, tego Meaulnes nie mógł się dowiedzieć, pojechał do Bourges po jakąś panienkę, z którą miał się żenić. Rzecz szczególna, ten chłopiec, który zapewne był bardzo jeszcze młody i zdaje się skłonny do dziwactw, rządził całym majątkiem według własnej fantazji. Zachcianką jego było, żeby dom, do którego wprowadzi narzeczoną, wyglądał na zaczarowany zamek z bajki. I dla uczczenia przyjazdu panny młodej sam pozapraszał te wszystkie dzieci i tych poczciwych staruszków. Tyle tylko mógł się Meaulnes dowiedzieć z rozmowy, którą słyszał. Wszystko inne pozostawało tajemnicą i staruszki wracały ciągle do dyskusji na temat przyjazdu narzeczonych. Jedna twierdziła, że zjawią się nazajutrz z rana; druga spodziewała się ich dopiero po południu.

— Moja droga, zawsze jesteś taka narwana — mówiła młodsza spokojnie.

— A ty, moja Adelo, zawsze jesteś tak samo uparta. Już cztery lata jakeśmy się widziały, a nic się nie zmieniłaś — odpowiedziała druga wzruszając ramionami, ale bez cienia niecierpliwości w głosie.

I w dalszym ciągu klóciły się tak spokojnie, bez żadnej złości. Meaulnes wtrącił się do rozmowy, w nadziei, że się czegoś jeszcze dowie.

— Czy narzeczona Rudolfa naprawdę taka ładna, jak opowiadają? — spytał.

Staruszki popatrzyły na niego ze zdziwieniem. Oprócz samego Rudolfa nikt jeszcze nie widział jego narzeczonej. Wracając z Toulonu spotkał ją kiedyś samą, zrozpaczoną w parku w Bourges. Ojciec jej, ubogi tkacz, wygnał ją z domu. Była śliczna i Rudolf zdecydował od razu, że się z nią ożeni. Ta historia była dość dziwna, ale ojciec Rudolfa, pan de Galais, i jego siostra Yvonne nigdy mu się w niczym nie sprzeciwiali...

Meaulnes chciał zadać ostrożnie jeszcze kilka pytań, kiedy nagle w

drzwiach ukazała się czarująca para: dziewczeczka, może szesnastoletnia, ubrana w czarny aksamitny gorsecik i spódnicę z lekkimi falbanami i młodzieniec we fraku z wysokim kołnierzem, w obcisłych spodniach ze strzemiączkami. Przeszli przez pokój, posuwistym krokiem, wykonując jakieś staroświeckie pas. Cała gromadka dzieci szła za nimi. Po chwili zjawiała się krzycząc i śmiejąc się inna gromadka dzieci uciekających przed goniącym je ulubionym Pierrotem; rękawy miał za długie, czarny czepek na głowie, przy tym biegł niezdarnie, w ciężkich podskokach, jakby za każdym krokiem miał skakać przez jakąś przeszkodę. Śmiał się szeroko otwartymi, bezzębnymi ustami, wymachiwał pustymi rękawami. Panienki bały go się trochę, chłopcy po drodze łapali go za ręce, a dzieci, choć z wrzaskiem przed nim uciekały, były widocznie zachwycone całą tą zabawą. Pierrot spojrzał przelotnie na Meaulnes'» swymi wyblakłymi oczyma i wtedy wydało się memu przyjacielowi, że mimo zgołonych wąsów poznaje w nim towarzysza pana Maloyau, tego Cygana, który zapalał lampiony w jego pokoju.

Obiad się skończył. Wszyscy wstali od stołu.

Na korytarzu młodzież urządziła już jakieś zabawy i tańce. Z daleka słychać było dźwięki menueta... Meaulnes, z głową na pół ukrytą w wysokim kołnierzu płaszczu jak w krezie, sam sobie wydawał się kimś innym. Ogarnięty ogólną wesołością zaczął także gonić Pierrota po wszystkich pokojach i korytarzach. Miał wrażenie, że znajduje się w teatrze, gdzie pantomima odbywa się nie tylko na scenie, ale i za kulisami. Cały wieczór uganiał się tak wśród wesołego tłumu w dziwacznych strojach. Raz trafił do jakiegoś pokoju, gdzie pokazywano latarnię magiczną; dzieci klaskały radośnie... Innym razem znalazł się w kącie dużego pokoju, gdzie tańczyli, i zamienił tam śpiesznie parę słów z młodym elegantem, aby dowiedzieć się od niego, jakie kostiumy będą noszone w następnych dniach.

Wreszcie był już trochę zaniepokojony udziałem swoim w tej zabawie, do której wmieszał się bez pytania, i bał się, żeby spoza płaszczu, który go okrywał, ktoś nie dojrzał jego brudnej uczniowskiej bluzy. Skierował się więc do najbardziej spokojnej części domu. Słychać tam było tylko stłumione dźwięki fortepianu.

Wszedł do zaciszego pokoju, wyglądającego na jadalnię, oświetlonego z góry wiszącą lampą. Tu także odbywała się zabawy, ale tylko dla małych dzieci.

Jedne siedziały na niskich taboretkach i przeglądały albumy rozłożone

na kolanach; inne siedząc w kucki przy krześle rozkładały na nim z powagą różne obrazki, inne jeszcze siedziały przy kominku, nie bawiły się niczym, nic nie mówiły i tylko wsłuchiwały się w odgłosy zabawy rozlegające się w ogromnym domu...

Drzwi do przyległego pokoju były otwarte i słychać było stamtąd grę na fortepianie. Meaulnes zajrzał tam z ciekawością. Był to mały salonik, tak zwany buduar. Jakaś młoda kobieta czy dziewczyna w brązowym płaszczu zarzuconym na ramiona siedziała przy fortepianie, odwrócona plecami do drzwi, i cichutko grała jakieś stare tańce i piosenki. Na wielkiej, niskiej otomanie, tuż przy niej kilka dziewczynek i kilku chłopców siedziało słuchając grzecznie, jak zwykle słuchają dzieci, kiedy już zbliża się pora spania. Czasami jedno z nich, które przed chwilą opierało głowę na dłoniach, ześlizgiwało się teraz bez hałasu z kanapy i szło do przyległej jadalni, a na jego miejsce przychodziło inne dziecko, które już miało dosyć oglądania obrazków...

Obecnie, po tej zabawie, gdzie wszystko wydawało się urocze, ale dziwnie gorączkowe i niespokojne, po tej szalonej gonitwie za Pierrotem, w której też brał udział, Meaulnes miał wrażenie, że pogrąża się w nieskończenie spokojnym szczęściu.

Wysunął się z pokoju stąpając ostrożnie, żeby nie przeszkodzić grającej, i wrócił do jadalni; usiadł przy stole i z roztargnieniem zaczął przeglądać jedną z wielkich, czerwonych książek, które tam leżały.

Od razu któryś z malców siedzących na podłodze podszedł do niego, uczepił się jego ramienia i wdrapał mu się na kolana, żeby jednocześnie z nim oglądać książkę. Inny wpakował się z drugiej strony. I wtedy Meaulnes zapadł w dziwne marzenie, jak kiedyś w dzieciństwie. Wydało mu się, że jakiegoś pięknego wieczoru siedzi tak we własnym domu i że urocza nieznajoma, grająca na fortepianie tuż przy nim, to jego żona...

Rozdział XV SPOTKANIE

Nazajutrz z rana Meaulnes wstał jeden z pierwszych. Ubrał się stosownie do wskazówek, jakie otrzymał poprzedniego wieczoru. Włożył czarny żakiet staroświeckiego kroju, obcisły w pasie z namarszczonymi u góry rękawami, kamizelkę na krzyż zapinaną, spodnie bardzo szerokie w dole, tak że przykrywały cienkie trzewiki, wreszcie — cylinder na głowę.

Kiedy zszedł na dół, na podwórzu nie spotkał nikogo. Powietrze tego dnia było wyjątkowo łagodne, miał wrażenie, że nagle nastąpiła wiosna. Słońce grzało jak w pierwszych dniach kwietnia. Szron topniał i mokra trawa wyglądała jakby rosą pokryta. Z drzew dolatywał go nawet świergot jakiegoś ptaka i od czasu do czasu ciepły powiew wiatru muskał go po twarzy.

Jak gość, który zbudził się wcześniej od pana domu, zaczął oglądać gospodarstwo; zdawało mu się, że każdej chwili usłyszysz za sobą wesołe przyjacielskie pytanie: „Augustynie, wstałeś już? Tak wcześnie?”

Ale nikt się nie odezwał i w dalszym ciągu Meaulnes spacerował samotnie po podwórzu i ogrodzie. Tam, w środkowym budynku, nie widać było jeszcze żadnego ruchu ani w oknach, ani w wieżyczce. Otworzono tylko na oścież szerokie, łukowate drzwi wejściowe. Słońce zaglądało w okna pierwszego piętra, jak wczesnym rankiem letnią porą.

Meaulnes po raz pierwszy widział ten dwór w świetle dziennym. Szczątki muru oddzielały zaniedbany ogród od podwórza, wygracowanego i wysypanego piaskiem. Za przybudówką, gdzie znajdował się jego pokój, mieściły się stajnie, dziwnie jakoś — widocznie bez planu — stawiane: pełno było między nimi zakamarków, gdzie krzewy i dzikie wino wyrastało pierzastymi kępami. Ze wszystkich stron widać było lasy świerkowe, które otaczały prawie cały majątek; zakrywały go całkowicie od strony doliny, tylko na wschód otwierał się rozległy widok na niebieskie wzgórza, częściowo skaliste i nagie, częściowo także lasem świerkowym pokryte. Wędrując tak przez chwilę zatrzymał się Meaulnes przy małej sadzawce w ogrodzie. Oparł się o wątle ogrodzenie, które ją otaczało, i patrzył na wodę. Przy samym brzegu dojrzał cieniutką warstwę lodu, zmarszczoną jak piana pozostawiona na piasku przez cofającą się falę... Zobaczył siebie samego w fantastycznym stroju na tle czystego przezrocza, jakby się nachylał nad niebem. Wydał się sobie kim innym. Miał wrażenie, że to już nie ten niesforny uczeń, który wymknął się ze szkoły i uciekł chłopskim wózkiem, ale jakiś czarujący tajemniczy

młodzieniec ze starej ozdobnej księgi.

Zawrócił jednak w stronę domu, bo był już bardzo głodny. W wielkiej sali, gdzie jadł obiad poprzedniego wieczoru, jakaś wieśniaczka nakrywała do stołu. Gdy tylko Meaulnes zasiadł przy jednym z kubków uszeregowanych na białym obrusie, nałała mu kawy mówiąc:

— Pan dziś pierwszy!

Nie chciał się wdawać w rozmowę z obawy, żeby się nie zdradzić. Spytał tylko, o której godzinie ma się odbyć projektowany spacer łódką.

— Najwcześniej za jakie pół godziny, proszę pana. Nikt jeszcze nie schodził na śniadanie — odpowiedziała kobieta.

Wrócił jeszcze do swej wędrowki po ogrodzie i szukał miejsca, gdzie mogła znajdować się przystań. Obszedł naokoło dwór, który był dziwnie długi i rozbudowany w dwa nierówne skrzydła jak kościół. Obchodząc południowe skrzydło ujrzał nagle gęsto rosnącą trzcinę, zakrywającą cały krajobraz. Woda podchodziła tu pod same mury, tak że drewniane balkoniki umieszczone w kilku miejscach przed drzwiami zwisały tuż nad pluskającą cichutko, drobną falą jeziora.

Meaulnes wałęsał się dość długo po wybrzeżu piaszczystym jak droga holownicza. Z ciekawością zaglądał przez zakurzone szyby okien do wnętrza wielkich zaniedbanych pokoi i do zakamarków, gdzie pełno było różnych gratów, popsutych narzędzi i nadtłuczonych wazonów, kiedy nagle usłyszał szmer zbliżających się kroków po skrzypiącym żwirze alei.

Były to dwie kobiety: jedna z nich stara i pochylona, druga — wysoka, jasnowłosa dziewczyna, której strój, choć skromny i śliczny, po wszystkich wczorajszych przebraniach wydał mu się na razie dziwaczny.

Zatrzymały się chwilę patrząc na krajobraz, a Meaulnes myślał ze zdziwieniem, które gdy potem je wspominał, wydawało mu się okropnym prostactwem:

„To jest co najmniej tak zwana ekscentryczna panna, a może jakaś aktorka, którą sprowadzili na tę zabawę!”

Obie panie przeszły obok niego i Meaulnes, stojąc nieruchomo, spojrzął z bliska na dziewczynę. Potem często podczas bezsennych nocy z rozpaczą w sercu chciał przypomnieć sobie zacierające się już w pamięci rysy pięknej, ukochanej twarzy, i gdy wreszcie usnął znużony, widział szereg przesuwających się kobiecych postaci do niej podobnych. Jedna miała taki kapelusz, inna tak samo po-

y
U

chylala głowę, jeszcze inna miała jej czyste spojrzenie, inna znów — jej wysmukłą postać albo jej niebieskie oczy; ale żadna z tych kobiet nie była tą właśnie uroczą dziewczyną.

Meaulnes zdążył zobaczyć pod gęstwiną złotych włosów twarz jej o rysach tak subtelnych, że było w nich coś prawie bolesnego.

I kiedy już przeszły, popatrzył na nią jeszcze i pomyślał, że strój jej bynajmniej nie jest dziwaczny...

Zażenowany trochę i niepewny nie wiedział, czy ma iść za nimi, czy zostać, kiedy panienka zwracając się bardzo nieznacznie w jego stronę rzekła do towarzyszki:

— Myślę, że statek już zaraz tu będzie...

I Meaulnes podążył za nimi. Stara dama, choć zgarbiona i trzęsąca się trochę, wciąż śmiała się i rozmawiała wesoło. Młoda panna odpowiadała łagodnym głosem. Kiedy wreszcie znaleźli się na przystani, Meaulnes spotkał się znowu z jej czystym i poważnym spojrzeniem, w którym zdawało mu się, że czyta pytanie: „Ktoś ty? Skąd tu przyszedłeś? Nie znam cię... A jednak, wydaje mi się, że się znamy od dawna...”

Tymczasem sporo osób zeszło się już i czekało, stojąc tu i ówdzie pod drzewami. Niebawem trzy statki spacerowe zbliżyły się do brzegu. Meaulnes domyślił się, że stara pani była właścicielką tego dworu, a młoda panna jej córką, gdyż zauważył, że wszyscy mijając je kłaniali się z szacunkiem. Cóż za dziwny ranek! Jakaż dziwna ta cała przejażdżka! Zimno było pomimo jasno świecącego słońca i kobiety owijały wkoło szyi puszyste boa z piór, które wtedy były tak modne...

Stara pani pozostała na brzegu, a Meaulnes, sam nie wiedząc, jak się to stało, znalazł się na tym samym statku co młoda dziedziczka. Oparł się łokciami o burtę i przytrzymując jedną ręką kapelusz, który miotany przez gwałtowne poddmuchy wiatru latał mu w rękę, przypatrywał się jasnowłosej panience, siedzącej w bardziej zacisznym miejscu. Ona także patrzyła na niego. Odpowiadała na pytania otaczających ją towarzyszek, uśmiechała się, ale łagodne spojrzenie jej niebieskich oczu zwracało się znów w jego stronę, przy czym, jakby zmieszana trochę, lekko przygryzała dolną wargę.

Na wybrzeżu, do którego się zbliżyli, panowała wielka cisza.

Statek sunął spokojnie, słychać było tylko lekki plusk wody i stłumione warczenie maszyny. Augustowi wydawało się przez chwilę, że jest lato i że

gdy dobiją do brzegu — znajdują się w jakimś kwitnącym wiejskim ogrodzie. Piękna panienska będzie tam przechadzała się z białą parasolką w rękę. Do wieczora słyhać będzie gruchanie gołębi... Ale nagle lodowaty podmuch wiatru rozwiał te marzenia przypominając wszystkim, że już nastał grudzień.

Łódka zatrzymała się przed niewielkim laskiem świerkowym. Wszyscy skierowali się do wyjścia i stali stłoczeni, czekając, aż spuszczą łańcuchy. Z jakim wzruszeniem wspominał potem Meaulnes tę chwilę, kiedy tak stał blisko nieznajomej i patrzył na jej delikatny profil, patrzył tak długo i tak uporczywie, aż oczy zaszczyły mu łzami. I niby sekret, który by mu zwierzyła, zauważył, że miała trochę pudru na policzku...

Gdy znaleźli się na brzegu, wszystko ułożyło się jakby we śnie. Dzieci z okrzykiem radości rozbiegły się w różne strony, wszyscy rozeszli się po lesie, a Meaulnes skierował się aleją, którą podążyła jasnowłosa panna, i znalazł się przy niej tak prędko, że nie zdążył pomyśleć, co chciał powiedzieć.

— Pani jest piękna — rzekł po prostu.

Ale ona nic nie odpowiedziała i przyspieszając kroku skrzyła w boczną aleję. Tymczasem młodzież biegała urządzając jakieś gry lub kierując się tylko własną fantazją spacerowała po lesie, gdzie się komu podobało. Meaulnes wyrzucał sobie gorzko to, co w myśli nazywał swoją gburowatością, niezręcznością i głupotą. Szedł przed siebie na chybił trafił mając nadzieję, że znów spotka uroczą panienskę, i rzeczywiście ujrzał ją idącą wąską ścieżką w jego stronę, tak że już nie mogła uniknąć spotkania. Obiema rękami przytrzymała fałdy rozwiewającego się płaszcza. Zauważył, że miała głęboko wycięte czarne pantofelki, ponad którymi kostki jej nóg były tak cienkie, że chwilami gięły się, jakby miały się złamać.

Tym razem Meaulnes uklonił się jej i rzekł bardzo cicho:

— Czy pani mi wybaczy?

— Wybaczam — powiedziała poważnie. — Ale muszę iść do dzieci, ponieważ one tu dziś są pierwsze. Do widzenia.

Augustyn błagał ją, żeby została chwilę jeszcze. Płatał się w niezręcznych zdaniach, ale mówił z takim zmieszaniem, z takim wzruszeniem, że zwolniła kroku i słuchała go.

— Nie wiem nawet, kim pan jest — rzekła wreszcie.

Mówiła jakby obojętnie, akcentując jednakowo każde słowo, ale ostatnie wymówiła ciszej i łagodniej... I zaraz potem twarz jej powróciła

znów do poprzedniej obojętności, zacięła lekko usta i utkwiała w dal jasne, niebieskie oczy.

— Ja również nie znam pani imienia — odpowiedział Meaulnes. Szli już teraz nie lasem, ale wąską polną ścieżką, gdzie z daleka widać było wszystkich uczestników spaceru, zgromadzonych koło domu stojącego w polu samotnie.

— To jest „Domek Rudolfa” — rzekła panienska — muszę już iść... Zawahała się przez chwilę, popatrzyła na niego z uśmiechem i dodała: — Moje imię? Nazywam się Yvonne de Galais...

I uciekła.

Domek Rudolfa był nie zamieszkały, ale w tej chwili goście wypełniali go od strychu do piwnic. Meaulnes nie miał już zresztą czasu na oglądanie czegokolwiek: podawano pośpiesznie śniadanie, złożone z samych zimnych potraw zabranych z domu na statek; nie było to odpowiednie o tej porze roku, ale widocznie tak zdecydowały dzieci. Po śniadaniu natychmiast zaczęły zbierać się do powrotu. Meaulnes podszedł do panny de Galais, gdy tylko zobaczył, że wyszła z domku, i, odpowiadając na to, co słyszał od niej przed chwilą, powiedział:

— W myśli nazywałem panią znacznie piękniejszym imieniem.

— Jak to? Jakież to było imię? — spytała z tą samą powagą. Ale jemu nagle wydało się, że palnął jakieś głupstwo, i zmieszany się tak, że nic jej nie odpowiedział.

— Nazywam się Augustyn Meaulnes — rzekł wreszcie — jestem studentem.

— Ach, tak! — Pan studiuje? — odpowiedziała i przez chwilę rozmawiali jeszcze.

Mówili spokojnie, jakoś przyjaźnie, z tajonym szczęściem. Ale ona przybrała znów inną postawę. Nie była już chłodna i poważna jak przedtem, wydała mu się zaniepokojona. Miał wrażenie, że boi się tego, co on może jej powiedzieć, że już zawnazą jest tym przerażona. Stała koło niego spłoszona, drżąca, jak schwytna jaskółka, którą na chwilę wypuszczono z ręki i która już rozpościera skrzydła, aby pofrunąć.

— Po co? Na co to wszystko? — odpowiadała tylko na różne projekty, o których mówił jej Meaulnes. Ale kiedy wreszcie odważył się spytać, czy pozwoli mu wrócić tu, aby odwiedzić ją, odpowiedziała po prostu:

— Będę na pana czekała.

Zbliżali się tymczasem do przystani. Nagle zatrzymała się zamyślona.

— Jakież z nas dzieci! To szaleństwo! Nie trzeba, żeby pan znów

jechał ze mną na tym samym statku. Do widzenia! Niech pan ze mną nie jedzie.

Meaulnes zaskoczony stał przez chwilę i patrzył na oddalającą się dziewczynę. Wreszcie zrobił parę kroków naprzód i wtedy ona z daleka, w chwili kiedy miała zniknąć mu z oczu wśród tłumu, zatrzymała się i po raz pierwszy popatrzyła na niego, długo nie odwracając oczu. Czy tym spojrzeniem chciała go zatrzymać, zabronić zbliżyć się do siebie? A może miała mu jeszcze coś do powiedzenia?...

Po powrocie ze spaceru na spadzistej łączce za podwórzem zaczęły się wyścigi na kucach. Była to ostatnia z projektowanych zabaw. Podług wszelkich przewidywań narzeczeni mieli przyjechać znacznie wcześniej i być na wyścigach, a spodziewano się nawet, że Rudolf osobiście będzie nimi kierował.

Jednak trzeba już było zacząć bez niego. Dzieci przyprowadzały wesołe kucyki ustrojone w kolorowe wstążki lub też bardzo stare i łagodne konie; chłopcy mieli stroje dżokejskie, dziewczynki — amazonki. Dzwonek rozlegał się co chwila. Wszystkie dzieci rozmawiały, krzyczały i śmiały się jednocześnie. Zakładano się po kątach. Wyglądało to na prawdziwe wyścigi w miniaturze.

Meaulnes poznał z daleka Daniela i dziewczynki w kapeluszach | piórami, które spotkał w lesie poprzedniego dnia... Reszta zabawy uszła jego uwadze, gdyż bez ustanku szukał oczyma wśród tłumu wdzięcznego kapelusza z różami i brązowego płaszcza panny de Galais. Ale nie było jej. Wypatrywał jej jeszcze, kiedy nagle gwałtowne dzwonenie i radosne okrzyki dzieci oznajmiły koniec wyścigów. Zwyciężyła dziewczynka na starej, białej klaczy; tryumfalnie przejechała przed zgromadzeniem i pióra jej kapelusza powiewały na wietrze.

I nagle wszystko umilkło. Wszystkie zabawy się skończyły, a Rudolf nie wracał. Namysłano się przez chwilę. Naradzano się z zakłopotaniem. Wreszcie wszyscy zaczęli rozchodzić się do swoich pokoi i w pełnej naprężenia ciszy oczekiwać narzeczonych.

Rozdział XVI RUDOLF DE GALAIS

Wyścigi skończyły się za wcześnie. Było dopiero pół do piątej i prawie widno jeszcze, gdy Meaulnes znalazł się z powrotem w swoim pokoju z głową pełną myśli o tym nadzwyczajnym dniu. Usiadł przy stole, czekał beczynn timer obiadu i mającej nastąpić potem zabawy.

Znowu, tak jak pierwszego wieczoru, wiatr gwizdał za oknami. Chwilami zdawało mu się, że słyszy w tym świście jakby huczący potok, to znów szum przeciągły jakby spływającego wodospadu. Od czasu do czasu blacha przy kominku drżała dzwoniąc z cicha.

Po raz pierwszy poczuł nieokreślony niepokój, który ogarnia nas czasami pod koniec zbyt szczęśliwego dnia. Przez chwilę myślał, że najlepiej będzie napalić na kominku, ale pomimo wszystkich wysiłków nie był w stanie podnieść zardzewiałej blachy. Wtedy, nie wiedząc już co począć, zaczął porządkować w pokoju: porozwieszał ubrania na wieszakach, podniósł powywracane krzesła i poustawiał rzędem pod ścianą, jakby przygotowując wszystko do dłuższego pobytu.

Jednak myśląc, że powinien zawsze być w pogotowiu, starannie ułożył na krzesło swoje uczniowskie ubranie jakby strój podróźny i wsunął pod krzesło okute buty jeszcze zabłocone po przebytej drodze.

Potem usiadł i teraz już spokojniej patrzył na uporządkowany pokój. Od czasu do czasu widział, jak kropla deszczu spływała po szybie. Patrząc w okno wychodzące na podwórze i las, przez który przyszedł, poczuł się spokojny i szczęśliwy. Znajdował się przecież w pokoju, który sam sobie wybrał, tu, wśród nie znanego otoczenia, nie znany nikomu, tajemniczy. To, co go spotkało, przechodziło najśmielsze jego nadzieje. I czuł, jak ogarnia go głęboka radość na samo wspomnienie tego dziwnego wymownego spojrzenia dziewczyny, tam na przystani...

Kiedy tak marzył, noc zapadła i nie pomyślał nawet o zapaleniu świec w lichtarzach. Nagle wiatr szarpnął drzwiami, łączącymi jego pokój z przyległym, również wychodzącym na podwórze. Meaulnes już chciał zamknąć, gdy wtę zauważył, że pokój ten jest oświetlony stojącą na stole świecą. Wsunął głowę przez uchylone drzwi. Rzeczywiście po pokoju ktoś chodził tam i z powrotem, widocznie wszedł oknem, gdyż było otwarte. O ile mógł Meaulnes dojrzeć, był to młody chłopak, niewiele starszy od niego. Chodził wielkimi krokami nie zatrzymując się ani na chwilę, jak człowiek gnany jakimś nieznośnym cierpieniem. Na głowie nie miał kapelusza, za to z ramion zwisała mu wielka podróźna peleryna, którą co

chwila rozwiewał wiatr wpadający przez otwarte okno. He razy przechodził koło świecy, widać było błysk światła na złożonych guzikach wytworzonego surduta.

Gwizdał coś przez zaciśnięte zęby, coś jakby piosenkę żeglarską, w rodzaju tych, które dla otuchy śpiewają marynarze i dziewczyny w portowych szynkowniach...

Zatrzymał się na chwilę przy stole, otworzył jakieś pudełko i wyjął kilka arkuszy papieru... Meaulnes zobaczył wtedy przy blasku świecy jego twarz o bardzo subtelnych, prawie ostrych rysach i jasne, gęste włosy. Przestał nagle gwizdać i stał z rozchyłonymi, ustami, bardzo blady i jakby bez tchu, jakby w tej chwili uderzył go ktoś w samo serce.

Meaulnes wahał się, czy ma się cofnąć, czy też podejść do nieznanego i położywszy mu rękę na ramieniu przemówić do niego jak do przyjaciela, kiedy ten nagle podniósł głowę i zobaczył go. Patrzył na Augustyna przez krótką chwilę, potem, nie zdziwiony wcale jego obecnością, podszedł do niego i panując nad głosem rzekł:

— Panie, nie znamy się, ale jednak cieszę się, że pana widzę. Ponieważ pan tu jest, więc panu wszystko wytłumaczę... Otóż...

Wyglądał na zupełnie bezradnego. Mówiąc: „otóż”, wziął Augustyna za kłapę ubrania, jakby chciał zwrócić na siebie jego uwagę. Potem odwrócił głowę w stronę okna, jakby namyślał się nad tym, co chce powiedzieć, przymrużył oczy — i Meaulnes nagle zrozumiał, że nieznamy bliski jest płaczu.

Ale całą siłą woli opanował to dziecinne roztkliwienie i nie odwracając oczu od okna zaczął znów zmienionym głosem:

— No tak! Tak jest, wszystko skończone. Zabawa się skończyła. Może pan zejść im to powiedzieć. Wróciłem sam: moja narzeczona nie przyjedzie. Przez jakieś skrupuły, ze strachu, z braku wiary we mnie... zresztą zaraz panu wytłumaczę...

Ale nie mógł już mówić dalej. Cała twarz mu się skurczyła. Nic nie wytłumaczył. Odwrócił się gwałtownie, zrobił parę kroków w głąb pokoju i w półmroku zaczął otwierać i zamykać jakieś szuflady pełne ubrań i książek.

— Muszę się przygotować do odjazdu — rzekł. — Proszę, żeby mi nikt nie przeszkadzał.

Położył na stole kilka przedmiotów: nesesor podróżny, pistolet...

I Meaulnes, głęboko wzruszony całą tą sceną, wyszedł nie śmiejąc powiedzieć ani słowa, nie żegnając go nawet uściśnieniem ręki.

Na dole zdawało się, że wszyscy już coś przeczuwali. Prawie wszystkie panienki przebrały się w codzienne suknie. W dużej jadalni goście zasiedli do obiadu, ale jedli pospiesznie, podawano nieporządnie, jakby przed wyjazdem.

Pomiędzy wielką jadalnią a pokojami na górze i stajniami panował bezustanny ruch. Ci, którzy zjedli, zbierali się gromadkami i żegnali z pozostającymi.

— Co się dzieje? — spytał Meaulnes jakiegoś wiejskiego chłopca, który w kapeluszu filcowym na głowie, z serwetą przyczepioną do kamizelki, pospiesznie kończył obiad.

68

■

Jr Lik

— Jedziemy — odpowiedział tamten. — Jakoś się to nagle zdecydowało. O piątej wszyscy byliśmy tu zgromadzeni. Czekaliśmy do ostatniej chwili. Narzeczeni nie mogą już przyjechać. Ktoś powiedział: „Może byśmy tak już pojechali...” i wszyscy zaczęli przygotowywać się do wyjazdu.

Meaulnes nie odpowiedział. Było mu już teraz wszystko jedno. Czy brakowało jeszcze czegoś do jego dziwnej przygody? Czyż tym razem nie miał już wszystkiego, czego pragnął? Zaledwie zdążył przypomnieć sobie całą poranną rozmowę. Teraz pozostawało mu tylko — wyjechać, aby powrócić niezadługo, ale już inaczej, bez żadnego podstępu...

— Jeśli chcesz jechać z nami — mówił dalej chłopak, który był mniej więcej w tym samym wieku co Meaulnes — to śpiesz się. Już zaraz zaprzęgamy.

■ Augustyn wybiegł, zostawiając na stole nietknięty talerz z jedzeniem. Zapomniał nawet o tym, co miał powiedzieć gościom. W ogrodzie i na podwórzu panowały głębokie ciemności. W oknach nie było już kolorowych lampionów. Ale jednak, ponieważ ten obiad pomimo wszystko wyglądał na zakończenie wesela, niektórzy z gości, mniej delikatni, a może po prostu trochę podchmieleni, zaczęli śpiewać. Meaulnes idąc słyszał, jak rozległy się ich rubaszne piosenki w tym parku, gdzie dotychczas wszystko było jak z bajki, tajemnicze i pełne czaru. Był to początek ogólnego rozprężenia. Przeszedł koło sadzawki, w której przeglądał się z rana. Jakże wszystko wydawało mu się już inne... zwłaszcza kiedy chwilami dolatywały go urywki piosenki:
A skąd to wracasz, moja córuniu?

Wianek twój znoszony,
Włos twój potargany...
Albo inaczej jeszcze:
Mam czerwone buty...
Chłopcze, do widzenia,
Mam czerwone buty,
Zostaną wspomnienia!...

Kiedy już zbliżał się do drzwi swego samotnego pokoju, ktoś schodząc ze schodów potrącił go lekko w ciemności i rzekł:

— Zegnam pana!

Owijając się w pelerynę, jakby mu było bardzo zimno, zniknął. Był to Rudolf de Galais.

Świeca, którą Rudolf zostawił u siebie na stole, paliła się jeszcze. Meaulnes znalazł w pokoju wszystko bez zmiany, tylko na widocznym miejscu zobaczył ćwiartkę papieru, na której napisane były te słowa:

„Narieczona moja zniknęła, dając mi znać, że nie może zostać moją żoną, że jest szwaczką, nie księżniczką. Nie wiem, co począć. Wyjeżdżam. Życie zbrzydło mi. Niech Yvonne mi przebaczy, że się z nią nie pożegnałem, ale ona też nic już nie może poradzić...” Świeca właśnie dopalała się, płomień zaczął chwiać się, nagle błysnął raz jeszcze silniej i zgasł. Meaulnes wrócił do swego pokoju i zamknął drzwi za sobą. Pomimo ciemności odnalazł wszystko, co ułożył za dnia, kiedy było jeszcze jasno i kiedy się czuł tak szczęśliwy, zaledwie parę godzin temu. Sztuka po sztuce brał do ręki cały swój nędzny, ale wierny uczniowski ekwipunek, począwszy od ciężkich, podkutych butów aż do paska z miedzianą klamrą. Rozebrał się i ubrał z powrotem w swoje rzeczy, ale czynił to z roz-targnieniem i w ciemności omylił się kładąc kamizelkę. Resztę pożyczonego ubrania ułożył na krześle.

Pod oknami na podwórzu zaczął się ruch i zgiełk. Każdy ciągnął i popychał co sił swój pojazd, chcąc wydostać go z nieprawdopodobnej plątaniny, co było nie lada sztuką. Od czasu do czasu ktoś wdrapywał się na siedzenie jakiejś bryczki i podnosił w górę latarkę. Światło wpadało przez okno na krótką chwilę do pokoju, który teraz wydawał się Augustynowi tak znajomy, tak swojski, miał wrażenie, że każda rzecz patrzy na niego przyjaźnie, staje się żywą prawie... I tak wreszcie, zamykając starannie drzwi za sobą, opuścił to miejsce, do którego zapewne nigdy już nie miał po-

DZIWNY FESTYN

(dokońc/.cnic)

Pomimo ciemności cały rząd bryczek sunął już w stronę lasu. Na przedzie szedł człowiek z latarką w rękę, w koźlej skórze, prowadząc za uzdę pierwszego konia.

Augustynowi pilno było przyczepić się do kogoś. Pilno mu było teraz do wyjazdu. Bał się zostać przypadkiem sam w nieznanym dworze, bo wtedy niechybnie wykryłoby się wszystko.

Przejeżdżając przed środkowym budynkiem zatrzymano się, bo ostatnie bryczki okazały się przeciążone i trzeba było inaczej rozsadzić pasażerów. Wszyscy musieli wstawać, przesuwano siedzenia na przód lub w tył wozów. Dziewczęta poowijane w chustki podnosiły się z trudnością, derki spadały im z kolan i, kiedy nachylały się ku latarkom, widać było niepokój na ich twarzach.

W jednym z powożących Meaulnes poznał chłopca, który przed chwilą obiecywał, że go weźmie ze sobą.

— Czy mogę tu wsiąść? — krzyknął.

— A dokąd jedziecie? — spytał tamten nie poznając go.

— W stronę Sainte-Agathe.

— To poproście Maritaina o miejsce.

I nasz Augustyn bezradnie zaczął szukać między spóźnialsłymi tego nieznanego Maritaina. Wreszcie skierowano go do kuchni, gdzie siedziała jeszcze niewielka gromadka, popijając i śpiewając.

— O, ten to lubi się bawić — powiedzieli mu po drodze — będzie tu siedział do trzeciej z rana!

Meaulnes przez chwilę pomyślał o młodej dziewczynie, niespokojnej, przepelnionej smutkiem i podnieceniem, która przez pół nocy jeszcze będzie musiała słuchać śpiewu tych pijanych chłopów. W którym pokoju mogła być teraz? Gdzie było jej okno w tym wielkim tajemniczym dworze? Ale nic już nie przyszłoby mu z czekania. Trzeba było jechać. Kiedy znów znajdzie się w Sainte-Agathe, wszystko się jakoś wyjaśni, nie będzie już

wtedy uczniakiem, który uciekł ze szkoły, będzie mógł znowu myśleć o młodej dziedzicze.

Wozy i bryczki odjeżdżały jedne za drugimi, koła ich skrzypiały po zwirze szerokiej, wjazdowej alei. Widać je było niewyraźnie, jak skręcały pełne opatulonych kobiet, dzieci zasypiających, po-
zawijanych w szale. Jeszcze jedna duża bryczka, jeszcze wóz drabiniasty, gdzie siedziało mnóstwo kobiet gniojących się jak śledzie, a bezradny Meaulnes stał wciąż

na progu. Widział, że została już tylko jedna wielka landara, którą miał powozić jakiś chłop w bluzie.

— Może pan tu sięść — odpowiedział na prośbę Meaulnes'a — jedziemy w tę stronę.

Z trudnością otworzył Augustyn drzwiczki starej karocy, której szyby zatrzęsły się i zawiasy mocno zaskrzypiały. Na ławeczce w kącie spało dwoje małych dzieci, chłopczyk i dziewczynka. Hałas i chłodny powiew powietrza zbudził je, rozejrzały się niepewnie, przeciągając się trochę, wreszcie wzdrygając się wtuliły się znowu w kąt i zasnęły z powrotem.

Powóz ruszył z miejsca. Meaulnes starał się cicho zamknąć drzwiczki i ostrożnie usadowił się w drugim kącie. Wlepił oczy w szybę, wyteżając wzrok, aby przyjrzeć się jeszcze miejscu, które porzucił, i drodze, którą raz już przebył. Pomimo ciemności zdawał sobie sprawę, kiedy przejeżdżali przez podwórze i przez ogród, kiedy mijali schodki, które prowadziły do jego pokoju, i kiedy znaleźli się już poza ogrodzeniem parku i wjechali w las. Widział niewyraźnie, jak wśród mroku pnie świerków przydrożnych przesuwają się za szybami.

„Może spotkamy Rudolfa de Galais” — myślał z bijącym ser-

Nagle na wąskiej drodze pojazd gwałtownie skręcił w bok, jakby dla wyminięcia jakiejś przeszkody. Pomimo ciemności rozeznacć można było w masywnym kształcie zagradzającym przejazd jakiś wóz z budą; zapewne stał tu przez cały czas trwania uroczystości we dworze.

Wyminąwszy go konie ruszyły kłusa. Meaulnes zmęczony już był wyteżaniem wzroku w ciemności, nie mógł nic dojrzeć za cem.

szybami, kiedy nagle w lesie coś błysnęło i rozległ się wystrzał. Konie poderwały się do galopu i Meaulnes nie zdawał sobie sprawy, czy woźnica nie miał siły wstrzymać, czy też popędzał je naumyślnie.

Chciał otworzyć drzwiczki, ale brakowało klamki przy nich, a nie mógł spuścić szyby, tylko wstrząsnąć nią gwałtownie. Dzieci rozbudziły się i przestraszone tuliły się bez słowa do siebie. I kiedy tak mocował się z opornym oknem, ujrzał nagle na zakręcie drogi jakąś biegnącą białą postać. Był to wczorajszy Pierrot, ten Cygan w przebraniu maskaradowym, dziki i oszalały, biegnący z bezwładnym ludzkim ciałem na rękach. Potem wszystko zniknęło.

W pędzącej wciąż wśród nocy karecie dzieci znowu zasnęły. Meaulnes nie miał nikogo, komu mógłby zwierzyć się z tajemniczych zdarzeń tych dwóch dni. Wreszcie, myśląc wciąż o tym, co widział i słyszał, zmęczony,

przygnębiony, zasnął także jak duże, smutne dziecko...

...Ciemno było jeszcze, kiedy Meaulnes został zbudzony nagłym zatrzymaniem się karety i mocnym stuknięciem w szybę. Woźnica z trudnością otworzył drzwiczki, przez które wtargnął lodowaty podmuch wiatru, mrozący do kości, i krzyknął:

— Trzeba wysiadać. Już świta. My tu skręcamy w boczną drogę. Pan ma już niedaleko do Sainte-Agathe.

Meaulnes, zdrętwiały jeszcze, półświadomym ruchem wyciągnął rękę po czapkę, która spadła pod nogi śpiących dzieci w najciemniejszy kąt, i nachylając się wygramolił się z landary.

— No, to do widzenia — rzekł człowiek siadając z powrotem na kozioł. — Ma pan już tylko sześć kilometrów drogi... Widzi pan, tu napisane, na kamieniu.

Meaulnes, który się nie mógł jeszcze całkowicie rozbudzić, ruszył niepewnym krokiem i usiadł ciężko na przydrożnym kamieniu, krzyżując ręce na piersiach i pochylając głowę, jakby znowu miał zasnąć.

— Oho! Panie — zawołał woźnica — co to, to nie! Nie można tak spać na dworze, za zimno. Niech no pan wstanie i rozrusza się!

Meaulnes wstał jak pijany i z rękami w kieszeniach, przygarbiony, wolno począł iść w stronę Sainte-Agathe. Za nim stara kareta, ostatni świadek jego tajemniczej przygody, skręcała z szosy na boczną, trawą porośniętą drogę, kołysząc się miękko. Po chwili widział już tylko kapelusz woźnicy tańczący ponad żywopłotami.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział I WIELKA GRA

Wobec gwałtownych wichrów zimowych, śniegów, częstych deszczów — wszelkie poszukiwania były na razie wykluczone, tak że pomiędzy mną a Meaulnes'em nie było nawet mowy o odnalezieniu tajemniczej krainy przed nadejściem wiosny. Nie można było zająć się tym poważnie podczas krótkich dni lutego, przeważnie wietrznych i dżdżystych, w czasie wolnych czwartkowych popołudni, które zwykle kończyły się już koło piątej ponurym, lodowatym deszczem.

Nic nie przypominałoby nam przygody Meaulnes'a, gdyby nie dziwny fakt, że od czasu jego powrotu nie mieliśmy już przyjaciół. Podczas pauz urządzano zawsze te same zabawy, ale Jasmin Delouche nigdy już nie odzywał się do Augustyna. Wieczorami, jak tylko klasa była wymieciona, podwórko opróżniało się szybko, jak wtedy kiedy jeszcze byłem sam, i patrzyłem na mego towarzysza, chodzącego tłem i z powrotem od ogrodu do szopy i od podwórka do sali jadalnej.

W czwartki z rana siadywaliśmy obaj w jednej z klas i czytaliśmy dzieła Russa albo Paul-Louis Couriera, które wynaleźliśmy w bibliotece, pomiędzy podręcznikami angielskiego i zeszytami nut przepisywanych ręcznie drobnym, starannym pismem. Po południu często uciekaliśmy przed jakimś gościem i znów wracaliśmy do szkoły... Słyszeliśmy czasami starszych uczniów, zatrzymujących się niby to przypadkiem przed bramą: uderzali w nią bawiąc się w jakieś niezrozumiałe dla nas gry wojskowe i odcho-

dzili... Ten smutny tryb życia trwał do końca lutego. Zacząłem już nawet przypuszczać* że Meaulnes o wszystkim zapomniał, kiedy nagle pewna nieoczekiwana przygoda przekonała mnie, że się myliłem i że pod powierzchnią tego monotonnego zimowego życia przygotowywały się niezwykle wydarzenia.

Było to właśnie pewnego czwartku wieczorem, pod koniec miesiąca. Wtedy to doszła do nas pierwsza wieść o tej przygodzie, dopłynęła do nas pierwsza fala z tej dziwnej krainy, o której już nigdy nie mówiliśmy. Siedzieliśmy wszyscy razem w jadalni; dziadkowie już wyjechali, byliśmy sami z Millie i z ojcem, który nie podejrzewał wcale głuchej niechęci, dzielącej całą klasę na dwa wrogie obozy.

O ósmej wieczorem Millie otwierając drzwi, żeby przez nie wyrzucić

okruszyny z obiadu, krzyknęła: „Ach!” tak głośno, że wszyscy podeszliśmy do niej i wyjrzelśmy na dwór. Na progu leżała warstwa śniegu. Ponieważ było bardzo ciemno, zrobiłem parę kroków przed domem, żeby przekonać się, czy dużo śniegu napadało. Czułem, jak lekkie, puszyste płatki muskały mnie po twarzy i od razu topniały. Nie pozwolono mi zostać dłużej, zawróciłem i Millie zamknęła pośpiesznie drzwi za mną.

O dziewiątej wybieraliśmy się na górę do naszego pokoju i matka wzięła już lampkę do ręki, kiedy usłyszeliśmy wyraźnie dwa uderzenia w bramę, choć dzieliła ją od nas cała szerokość podwórza. Millie postawiła z powrotem lampę na stole i czekaliśmy tak nad słuchując.

Nie było nawet mowy o tym, żeby pójść zobaczyć, co się tam działo. Zanim zdążyłoby się przejść przez podwórze, lampa byłaby zgasała i szkło mogło się stłuc. Milczeliśmy przez chwilę, wreszcie ojciec powiedział: „To pewno było...”, kiedy nagle pod oknem jadalni, wychodzącym, jak już wspomniałem, na ulicę Kolejową, rozległ się ostry gwizdek, tak głośny i przeciągły, że chyba słyhać go było aż przy kościele. I prawie jednocześnie za oknami, ledwie stłumione przez szyby, rozległy się gwałtowne wrzaski; mieliśmy wrażenie, że ci, którzy tak krzyczeli, stali oparci wprost o zewnętrzną framugę okien.

— Dawajcie go tu! Dawajcie!

Po drugiej stronie domu odpowiedziały te same krzyki. Ci

■

znowuż musieli chyba przejść przez pole starego Marcina: pewno wdrapali się na niski murek dzielący je od naszego podwórza.

— Dawać go tu! — krzyczały nieznajome, a raczej jakby umyślnie zmienione głosy po kilka na raz z różnych stron jednocześnie: jakby z dachu szopy, na który musieli wleźć po stosie drzewa opartym o tylną ścianę, to znowu jakby z muru pomiędzy wozownią a bramą, na którym można było usiąść okrakiem, to ze strony sztachet od ulicy, bo tam także łatwo można było się wdrapać... Wreszcie z tyłu od strony ogrodu nadciągała jakaś spóźniona banda wrzeszcząc również jak tamci, ale tym razem wołali już:

— Naprzód, do ataku!

I słyszeliśmy, jak te krzyki rozlegały się po pustych klasach; widocznie pootwierali okna.

Meaulnes i ja znaleźliśmy tak dobrze wszystkie zakątki starego

domostwa, że przed oczami mieliśmy dokładnie, jakby na planie, wszystkie miejsca, gdzie mogli znajdować się nieznani napastnicy.

Przestraszyliśmy się tak naprawdę tylko w pierwszej chwili. Gdy usłyszeliśmy gwizdek, jednocześnie wszystkim nam przyszło na myśl, że musiało to być najście Cyganów czy innych włóczęgów. Właśnie od dwóch tygodni spotykało się na mieście koło kościoła jakiegoś nieznanego draba z młodym chłopakiem, który miał całą głowę owiazaną szmatami. Było też u stelmacha i u kowala kilku nowych, nietutejszych robotników.

Ale kiedy tylko usłyszeliśmy krzyki, byliśmy pewni, że to nie kto inny, tylko mieszkańcy, i to przypuszczalnie młodzi mieszkańcy, naszego miasteczka. Byli tam na pewno i mali chłopcy, bo ich piskliwe głosy wzbijały się wyraźnie ponad krzykami gromady, atakującej nasz dom jak piraci ze wszystkich stron osaczający okręty.

— No, wiecie państwo! — krzyknął wreszcie ojciec.

A Millie spytała półgłosem:

— Ale cóż to ma znaczyć?

I nagle wszystkie głosy, i te z wozowni, i te od ulicy, i spod okna, umilkły. Za oknem dały się słyszeć jeszcze dwa gwizdki. Krzyki tych, którzy siedzieli na dachu szopy, i tych którzy przyszli od ogrodu, stopniowo ucichły zupełnie; słyszeliśmy tylko szmer i przyciszone kroki gromadki posuwające; się wzdłuż zewnętrznej ściany jadalni, pośpiesznie, ale cichutko stąpającej po świeżym śniegu.

Widocznie ktoś ich spłoszył. Myśleli zapewne, że o tej porze, kiedy wszyscy śpią, uda im się atak na samotny dom, stojący już trochę poza miastem. Ale ktoś im przeszkodził w zamierzonej kampanii.

Ledwie mieliśmy czas oprzytomnieć po tym dziwnym zdarzeniu, które nas zaskoczyło jak ofensywa poprowadzona z wzorową szybkością, i zbieraliśmy się znów do odejścia, kiedy usłyszeliśmy znajomy głos, wołający za furtką:

— Panie Seurel! Panie Seurel!

Był to Pasquier, rzeźnik. Zabawny ten gruby człowieczek stał chwilę na progu, oskrobując i wycierając drewniaki, otrzepując ubranie ze śniegu, wreszcie wszedł. Miał filuterną i tajemniczą minę jak ktoś, kto daje do zrozumienia, że udało mu się odkryć jakiś niezwykły sekret.

— Byłem właśnie na podwórzu, które wychodzi na plac Czterech Dróg — zaczął. — Chciałem zamknąć kozy w oborze, nagle co widzę? Jakichś dwóch drabów stoi tam, na śniegu. Stoją, jakby czegoś pilnowali

czy na coś czatowali; tak mniej więcej od strony krzyża... Podchodzę bliżej... ledwo dwa kroki się zbliżyłem, hop! Już nogi za pas i galopem polecieli w stronę pańskiego domu. No, rozumie się, nie namyślałem się ani chwili, wziąłem latarkę i mówię do siebie: trzeba pójść opowiedzieć to wszystko panu Seurel.

I znowu zaczyna tę samą historię: „Byłem właśnie na podwórzu...” Na to już ojciec częstuje go kieliszkiem likieru i dopytuje się o dalsze szczegóły, których pan Pasquier jednak nie jest w stanie nam dostarczyć.

Nic nie widział po drodze do naszego domu. Wszystkie oddziały, widocznie uprzedzone przez tych dwóch wywiadowców, zniknęły jak kamfora. A czy mogli to być...

— To mogli być Cyganie — twierdził nasz gość. — Już chyba z miesiąc siedzą w mieście i czekają lepszej pogody, żeby dać przedstawienie na placu. Już to się u nich nie obejdzie bez jakiego głupiego figla!

Ostatecznie z tego wszystkiego nic więcej nie mogliśmy się dowiedzieć. Staliśmy tak, skłopotani, podczas gdy pan Pasquier popijając likier znowu zaczął powtarzać swoją historię. Wreszcie Meaulnes, który dotychczas uważnie przysłuchiwał się rozmowie, podniósł stojącą na ziemi latarkę rzeźnika i rzekł:

— Trzeba pójść zobaczyć.

Otworzył drzwi i wszyscy trzej — pan Seurel, Pasquier i ja poszliśmy za nim.

Millie, która jak wszystkie osoby porządne i drobiazgowy, nie była z natury ciekawa, teraz, uspokojona już odejściem napastników, powiedziała:

— Idźcie, jak chcecie; ale zamknijcie drzwi za sobą i weźcie klucz. Ja idę spać. Zostawię lampę zapaloną.

Rozdział II ZASADZKA

Szliśmy po śniegu nie mówiąc ani słowa; Meaulnes przodem. Okratowana latarka, którą trzymał, rzucała na ziemię wachlarz światła... Ledwo wyszliśmy za bramę, gdy zza budynku, gdzie mieściła się waga gminna, stojącego tuż koło naszego ogrodzenia, wyskoczyły, jak spłoszone kuropatwy, dwie zakapturzone postacie. Czy były to kpiny z nas, czy też podniecenie tą dziwną zabawą, czy może nerwowy strach, że będą złapani — nie wiem, ale słyszeliśmy, że biegnąc powiedzieli coś do siebie z chichotem.

Meaulnes w tej chwili upuścił latarkę i zawołał:

— Leć za mną, Franek!

I pozostawiając za sobą obu starszych ludzi, którzy nie mogli za nami nadążyć, rzuciliśmy się w pogoń za dwoma cieniami: tamci okrążywszy zrazu dolną część miasta drogą zwaną Vieille Planche nagle zdecydowanie zawrócili w stronę kościoła. Biegli równomiernie, niezbyt prędko, tak że bez trudności mogliśmy dotrzymać im kroku, nie tracąc ich z oczu. Minęli ulicę kościelną, gdzie wszystko było ciche i spokojne, i wpadli w krętę, wąską uliczkę za cmentarzem. W dzielnicy tej, zwanej Petits-Coins, mieszkali robotnicy, szwaczki i tkacze. Znaliśmy ją bardzo mało i nigdy nie by-

/

liśmy tu w nocy. W dzień było tam pusto: wyrobnicy szli do pracy, tkacze zamykali się w warsztatach; a teraz, podczas cichej, śnieżnej nocy, miejsce to wydawało się bardziej jeszcze opuszczone, bardziej uśpione niż inne dzielnice miasteczka. Nie było więc żadnej nadziei, żeby przyszedł nam tu ktoś z pomocą.

Pomiędzy tymi domkami, postawionymi bez planu jak pudełka, znałem tylko jedną drogę: była to droga, którą się szło do szwaczki, zwanej Niemową. Trzeba było najpierw zejść z dość stromej górkę, wybrukowanej miejscami dużymi płaskimi kamieniami, i potem, po przejściu między kilkoma starymi domami i koło jakichś opustoszałych stajen, dochodziło się do dość obszernego, zamkniętego placu, który był właściwie podwórzem opuszczonego już dziś od dawna folwarku. Kiedy byłem z matką u Niemowy, która rozmawiała z Millie bez słów, poruszając nerwowo palcami i pojękując żałośnie, widziałem tylko przez okno stary mur, odgradzający z tej strony miasteczko od pól, i na głucho zamkniętą zawsze bramę tego gołego, pozbawionego słomy podwórza, dokąd żaden

wóz już nie zajeżdżał.

Tą właśnie drogą pobiegli dwaj nieznajomi. Na każdym zakręcie baliśmy się, że stracimy ich z oczu, ale ku memu wielkiemu zdziwieniu zdążyliśmy zawsze przebiec już część następnej uliczki, zanim tamci zniknęli za zakrętem... Mówię ku memu wielkiemu zdziwieniu, bo zrozumiałem, że oni musieli zwalniać biegu, żebyśmy mogli zdążyć za nimi.

Wreszcie, nie namyślając się ani chwili, wpadli w uliczkę prowadzącą do Niemowy. Krzyknąłem do Meaulnes'a:

— Już ich mamy! Stąd nie ma wyjścia!

Właściwie to oni nas mieli... Zaprowadzili nas tam, gdzie sami chcieli. Kiedy już byli przy samym murze, odwrócili się zdecydowanym ruchem w naszą stronę i jeden z nich gwizdnął; był to ten sam gwizdek, który słyszeliśmy już dwa razy tego wieczoru.

W tej samej chwili ze dwunastu chłopaków wylazło z kątów opuszczonego podwórza, gdzie najwidoczniej na nas czatowali. Wszyscy mieli głęboko zsunięte kaptury i dół twarzy ukryty w szaliku owijającym szyję...

Kim byli — wiedzieliśmy już z góry, ale byliśmy zdecydowani nie mówić o tym nic panu Seurel, który nie mieszał się do naszych spraw. Był tam Delouche, Denis, Giraudat i reszta kompanii. Poznawaliśmy ich sposoby walki i stłumione głosy. Ale jedna rzecz była niepokojąca, i widziałem, że Meaulnes był tym prawie przerażony: między nimi znajdował się ktoś, kogo nie znaliśmy, a kto wydawał się ich wodzem.

Nie dotknął nawet Meaulnes'a: patrzył, jak walczyli jego żołnierze, którzy mieli zresztą sporo roboty; rzucali się z pasją na wielkiego chłopaka, a ten, choć już mocno zdyszany, tarzał ich jednak po śniegu szarpiąc na nich ubranie. Dwóch dobrało się do mnie i przytrzymało mnie z całej siły; broniłem się jak wariat. Trzymali mi ręce skrzyżowane za plecami, przykucnąłem na ziemi i tak ze zgiętymi kolanami siedząc na piętach śledziłem przebieg walki z ciekawością i nie bez strachu.

Meaulnes właśnie pozbył się czterech chłopców uczeponych do jego bluzy: kręcąc się gwałtownie w kółko strącił ich po prostu z siebie i cisnął w śnieg. Nieznajomy stał wyprostowany i patrzył na walkę z uwagą, ale spokojnie, powtarzając od czasu do czasu:

— No, jazda! Odwagi... Nie dajcie się! Go on, my boys...

Widocznie on kierował bitwą. Skąd się wziął? Jak i gdzie mógł

ich ćwiczyć do tej walki? To wszystko było dla nas tajemnicą. Miał, tak jak oni wszyscy, twarz prawie całkowicie zakrytą szalikiem, ale kiedy Meaulnes wreszcie oswobodzony od napastników groźnie podszedł do niego i nieznajomy podniósł trochę kaptur, żeby móc lepiej się bronić — zauważyłem, że głowę miał obwiązaną szmatami jak bandażem.

W tej chwili krzyknąłem do Augustyna:

— Uważaj! Z tyłu jest drugi!

Nie miał już nawet czasu się obejrzeć: przy płocie, do którego stał plecami, wyrósł jak spod ziemi jakiś olbrzymi drab i zarzucając błyskawicznym ruchem swój szalik wkoło szyi mego przyjaciela obalił go na plecy. Jednocześnie czterej przeciwnicy Meaulnes'a, którzy przez ten czas wygrzebali się ze śniegu, zjawili się gotowi do pomocy; zdołali mu związać ręce i nogi, podczas gdy młody człowiek z obwiązaną głową szukał czegoś w jego kieszeniach. Ten, który się zjawił ostatni i szalikiem jak lassem przewrócił Meaulnes'a, zapalił małą świeczkę i zasłaniał ją dłonią, a młody wódz co chwila wyciągał z kieszeni Augustyna jakiś papier i przybliżając go do płomienia oglądał uważnie. Wreszcie natrafił na plan pokryty napisami, nad którym Meaulnes pracował od czasu swego powrotu, i z radością krzyknął:

— Już mam! Jest ten plan! Jest przewodnik! Zobaczymy, czy ten pan rzeczywiście był tam, gdzie ja myślałem!

Milczący towarzysz zgasił świecę. Każdy z chłopców podniósł czapkę lub pasek leżący na ziemi i wszyscy zniknęli w jednej chwili zostawiając nas samych. Mogłem teraz spokojnie oswobodzić z więzów mego przyjaciela.

— Niedaleko zajedzie z tym
planem — rzekł Meaulnes podnosząc się. MMMM

I poszliśmy powoli w stronę domu; Meaulnes utykał troszkę. Na drodze do kościoła spotkaliśmy pana Seurel i starego rzeźnika.

— Nic nie widzieliście? — spytali. — My też nic.

Dzięki głębokiej ciemności na szczęście nic nie zauważyli. Pan Pasquier pożegnał się z nami, a ojciec poszedł czym prędzej się położyć.

A my tymczasem, kiedy byliśmy już w pokoiku na górze, zasiedliśmy przy lampie i zabraliśmy się do zaszywania i cerowania naszych podartych ubrań dyskutując szeptem o tym, co nas spotkało, jak dwaj towarzysze broni po pierwszej przegranej bitwie.

Rozdział III CYGAN W SZKOLE

Nazajutrz przebudzenie było bardzo przykre.

O pół do dziewiątej, kiedy pan Seurel miał już dać znak na wejście do klasy, przybiegliśmy zdyszani, żeby stanąć w pogotowiu. W długim szeregu uczniów czekających przed drzwiami na krytyczne spojrzenie pana Seurel Meaulnes był zwykle pierwszy — ale tym razem, ponieważ byliśmy już spóźnieni, wśliznęliśmy się byle gdzie. Zdziwiony byłem, że w milczeniu usuwano się z drogi robiąc nam miejsce w środku szeregu, i podczas gdy pan Seurel opóźniając trochę wejście do klasy obserwował jeszcze Meaulnes'a, wysunąłem z ciekawością głowę, patrząc w prawo i w lewo, żeby zobaczyć naszych wczorajszych napastników.

Wzrok mój padł najpierw na tego właśnie, o którym bez ustanku myślałem, ale nigdy nie spodziewałem się zobaczyć go tutaj. Stał na zwykłym miejscu Meaulnes'a, pierwszy w szeregu; jedną nogą na kamiennym stopniu u wejścia, ramieniem i bokiem tornistra oparty o framugę drzwi. Twarz jego subtelna i bardzo blada, lekko zaznaczona piegami, była zwrócona w naszą stronę z wyrazem pogardliwej trochę ciekawości i rozbawienia. Głowę i cały bok twarzy miał owiązane białą szmatą. Poznałem w nim od razu wodza całej bandy, tego domnianego Cygana, który zeszłego wieczora skradł nam plan.

Ale trzeba było już iść do klasy i zajmować miejsca. Nowy uczeń usiadł koło słupa, na lewym końcu długiej ławki, na której Meaulnes zajmował pierwsze miejsce z prawej. Giraudat, Delouche i tamci trzej z pierwszej ławki zsunęli się trochę, żeby zrobić mu miejsce, jakby już wszystko z góry było umówione...

Zimą często zjawiali się w szkole jacyś przygodni uczniowie: marynarze zatrzymani przez zamarznięcie kanału, młodzi czeladnicy, jacyś podróżni, którym śniegi nie pozwalały jechać dalej, przychodzili przez dwa dni, tydzień czasami, rzadko kiedy dłużej. Przez pierwszą godzinę budzili wielkie zainteresowanie, wkrótce jednak nikt już nie zwracał na nich uwagi i ginęli w tłumie zwyczajnych uczniów.

Ale ten nie dał tak prędko zapomnieć o sobie. Dziś jeszcze pamiętam tego dziwnego chłopca i wszystkie niezwykle skarby, które mieściły się w jego plecaku. Były to najpierw pióra z widokami, które wyjął, by pisać dyktando. Przez szkiełko wprawione w koniec ozdobnej obsadki, zmrużywszy jedno oko, można było zobaczyć bazylikę w Lourdes lub inną jakąś nie znaną nam budowlę. Jedną z obsadek zatrzymał dla siebie, a inne

powędrowały dalej podawane z rąk do rąk. Potem przyszła kolej na chiński piórnik pełen cyrkli i różnych ciekawych przyrządów, które znów poszły w obieg, tajemniczo, w milczeniu podawane pod pulpitemi, żeby pan Seurel niczego nie spostrzegł.

Wreszcie nieznajomy zaczął wyciągać z plecaka książki zupełnie nowe, których tytuły nieraz korciły mnie pomiędzy rzadkimi ozdobnymi tomami naszej biblioteki; były tam: Klatka s drozdami, Skała mew, Mój przyjaciel Benedykt... Nie wiadomo skąd pochodziły te książki, może były kradzione... Niektórzy uczniowie oglądali je pod pulpitem, przewracając kartki jedną ręką, pisząc dyktando drugą — inni bawili się cyrkłami, to znów korzystając z chwili, kiedy pan Seurel, który dyktując chodził od katedry do okna, odwrócony był właśnie plecami — przymykali jedno oko i przykładając sobie obsadkę do drugiego oglądali mętny i podziurawiony widoczek paryskiej Notre Dame. A nieznajomy, którego delikatny profil rysował się na tle szarego słupa, śledził z piórem w ręku, uśmiechając się porozumiewawczo, całą tę cichą zabawę.

Jednak po pewnym czasie niepokój ogarnął całą klasę. Przedmioty, wędrując z rąk do rąk, dochodziły wreszcie do Augustyna, który pogardliwym ruchem, nie patrząc na nie, odkładał je na bok. Wkrótce powstał z nich okazały stos, dość symetrycznie ułożony i różnobarwny; przypominał przedmioty leżące u stóp niewiasty przedstawiającej Wiedzę na alegorycznych kompozycjach. Niemożliwe było, żeby pan Seurel nie myślał o tym, jak dowiedzieć się czegoś o wczorajszych nocnych zdarzeniach: obecność Cygana mogła ułatwić mu to zadanie. Istotnie, w chwilę potem zatrzymał się nagle zdziwiony przed Meaulnes'em.

—A to wszystko czyje? — spytał wskazując na „to wszystko” grzbietem książki, którą trzymał w ręku.

—Nie mam pojęcia — odpowiedział Meaulnes dość gburawo, nie podnosząc głowy.

Ale teraz nieznajomy uczeń odezwał się:

—To moje — powiedział.

I z gestem wielkiego pana, swobodnym i pełnym wdzięku, któremu stary nauczyciel nie potrafił się oprzeć, dodał:

— Ale oddaję to wszystko do pańskiej dyspozycji, może pan profesor zechce to obejrzeć.

Wtedy już w mgnieniu oka, bez hałasu, jakby się bali naruszyć ten

nowy, nieoczekiwany porządek, który zapanował w klasie, wszyscy uczniowie zaczęli się z zaciekawieniem przeciskać coraz bliżej do pana Seurel, którego głowa lekko kędzierzawa i do połowy łysa nachylała się nad tymi skarbami, i otaczali bladego młodzieńca dającego potrzebne objaśnienia ze spokojem pełnym cichego tryumfu. Tymczasem Meaulnes, milczący, osamotniony w swojej ławce, rozłożył przed sobą brulion i marszcząc brwi zagłębił się w jakimś trudnym zadaniu.

Kwadrans pauzy zastał nas jeszcze przy tych samych zajęciach. Dyktando nie było skończone i w klasie panował nieład. Właściwie dzisiaj pauza trwała już od samego rana.

O pół do jedenastej, kiedy uczniowie wysypali się na podwórko, widoczne było od razu, że jest tu nowy kierownik zabaw.

Ze wszystkich gier, które tego dnia urządzał Cygan, pamiętałem już tylko jedną, najbardziej dziką. Był to rodzaj turnieju, w którym starsi uczniowie byli końmi, a młodsi siedzieli im na grzbietach. Podzieleni na dwie grupy, wpadali jedni na drugich z dwóch przeciwległych końców podwórza, starając się siłą uderzenia obalić przeciwnika, a jeźdźcy, używając szalików zamiast lasa lub wyciągniętych ramion zamiast lanc, usiłowali zrzucić na ziemię przeciwników. Byli tacy, którym wróg uchylał się od ciosu, wtedy tracili równowagę i obaj, koń i jeździec, przewracali się w błoto. Niektórzy spadali ze swych wierzchowców, ale „koń” łapał ich jeszcze za nogi w powietrzu i zapaleni do walki kawalerzyści znowu włączili na grzbiet swego rumaka. Nieznajomy z obwiązaną głową siedział na karku ogromnego Delage'a, który miał niepomiernie długie ręce i nogi, rude owłosienie i odstające uszy. Szczupły jeździec i obwiązaną głową zaśmiewając się kierował swym koniem z pewną złośliwością i podniecał do walki obie strony.

Meaulnes, stojąc na progu klasy, z początku patrzył z niechęcią na rozpoczynającą się zabawę. Ja stałem koło niego niezdecydowany.

— To spryciarz — rzeki przez zęby trzymając ręce w kieszeniach. — Przyszedł tu od samego rana, to był jedyny sposób, żeby go nie posadzili. A pan Seurel dał się nabrać!

Stał tak dość długo z głową na wietrze klnąc komedianta, pchającego do niebezpiecznej walki tych wszystkich chłopców, którym do niedawna on sam przewodził. A ja, potulne dziecko, potakiwałem mu jak zwykle.

Wobec nieobecności pana Seurel bitwa nie ustawała i chłopcy tłukli się po wszystkich kątach. Najmłodsi uczniowie rzucali się po prostu jeden na drugiego; rozpędzali się i przewracali się w błoto, zanim jeszcze zdążyli

zderzyć się z przeciwnikiem... Wkrótce na środku podwórza pozostało tylko jakieś rozjątrzone kłębowisko ciał, ponad którym raz po raz dostrzegałem biały bandaż nowego wodza.

Wtedy już duży Meaulnes nie mógł wytrzymać. Z głową pochyloną naprzód, z rękami na udach, krzyknął:

— Jazda, Franek!

Zdziwiony tą nagłą decyzją skoczyłem mu jednak bez namysłu na plecy i w sekundę znaleźliśmy się już w samym wirze bitwy, podczas gdy większość wojowników uciekała w przerażeniu krzycząc:

— Patrzcie! Meaulnes! Duży Meaulnes!

A on, kręcąc się wkoło między 'pozostałymi, zachęcał mnie do walki:

— Ściągnij go! Łap! Rzuć tego, jak ja wczoraj!

Upojony, pewny zwycięstwa łapałem w locie szamocących się chłopaków, którzy tracąc równowagę spadali z ramion starszych i staczali się w błoto. Działo się to z błyskawiczną szybkością; wkrótce został już tylko nieznamy siedzący na karku Delage'a, ale ten ostatni, nie mając widocznie ochoty do walki z Meaulnes'em, energicznym ruchem wyprostował się zmuszając tym swego jeźdźca do stanięcia na własnych nogach.

Trzymając jeszcze rękę na ramieniu swego wierzchowca, jak prawdziwy jeździec nie puszczając uzdy swego konia, tajemniczy młodzieniec patrzył przez chwilę na Augustyna, trochę ze zdziwieniem, ale i z ogromnym zachwytem.

— To rozumiem! — powiedział.

Ale właśnie w tej chwili rozległ się dzwonek i rozproszył uczniów, którzy już gromadzili się wkoło nas w oczekiwaniu jakiejś ciekawej sceny. I Meaulnes zły, że nie udało mu się powalić na ziemię nieprzyjaciela, odwrócił się na pięcie i rzucił przez plecy:

— Zobaczymy na przyszły raz.

Lekcje były tego dnia — jak przed wakacjami — do samego końca przerywane przez ciągle rozmowy, prześmieszki, a nowy uczeń-Cygan był osiłą wszystkiego.

Opowiadał, jak z powodu zimna, podczas którego nie mogli nawet marzyć o urządzeniu wieczornych przedstawień na placu, bo nikt by nie przyszedł, zdecydowali, że on tu będzie chodził na lekcje, a jego przyjaciel zajmie się przez ten czas egzotycznymi ptakami i tresowaną kozą. Potem opowiadał o swoich podróżach po różnych okolicach, jak to czasami podczas ulewy dudniącej w marny blaszany dach trzeba wychodzić z budy

i pchać koła grzęzące w błocie. Uczniowie z ostatnich ławek podchodzili bliżej, żeby lepiej słyszeć, co mówił. Ci, którzy nie mieli tak romantycznych zainteresowań, korzystali z tego, żeby grać się przy piecu. Ale ich również wkrótce ogarniała ciekawość, zbliżali się chociaż o krok do słuchającej gromadki nastawiając uszu i jedną rękę trzymali wciąż opartą o piec, żeby im nikt nie zabrał miejsca.

— Az czego żyjecie? — spytał pan Seurel, który słuchał tego wszystkiego z chłopięcą trochę ciekawością i ciągle zadawał jakieś pytania.

Młodzieniec zawahał się, jakby w ogóle po raz pierwszy musiał się zastanowić nad tą błahą kwestią.

— No, ja sędzę, chyba z tego, co zarobiliśmy zeszłej jesieni — rzekł. — To Ganache prowadzi rachunki.

Nikt nie zapytał się, kim był Ganache, ale mnie zaraz stanął przed oczyma wysoki drab, który wieczorem podszedł z tyłu zdradziecko do Meaulnes'a i obalił go na ziemię.

VT KTÓRYM BĘDZIE MOWA O TAJEMNICZEJ KRAINIE

Po południu znów powtórzyły się te same zabawy. Aż do końca lekcji panował ten sam nieporządek, przemykanie coraz to nowych przedmiotów z rąk do rąk. Cygan przyniósł tym razem inne drogocenne rzeczy: muszelki, jakieś gry, piosenki, wreszcie małą mapeczkę, która cichutko drapała pazurkami wewnątrz jego myśliwskiej torby... Pan Seurel co chwila przerywał wykład, żeby spojrzeć, co też ten chłopak znowu ciekawego wyciągnął... Była już czwarta, a jeden tylko Meaulnes skończył zadanie.

Wszyscy wychodzili bez pośpiechu. Mieliśmy wrażenie, że teraz godziny nauki i pauzy nie różniły się bardzo między sobą jak dawniej: nie było między nimi tej ostrej granicy, która regulowała życie szkolne tak jak następujące po sobie pory dnia i nocy. Zapomnieliśmy nawet oznajmić panu Seurel przed czwartą, na kogo dzisiaj przypada kolej zamiatania klasy, a o tym nie zapominaliśmy nigdy, bo był to sposób przypomnienia nauczycielowi, że już czas kończyć lekcje.

Los chciał, żeby dziś właśnie była kolej Meaulnes'a, a ja z rana uprzedziłem już nieznajomego, że każdy nowy bywa z urzędu naznaczany na drugiego zamiatacza w pierwszy dzień przyjścia do szkoły.

Meaulnes wyszedł z klasy na chwilę, żeby przynieść sobie chleba na podwieczorek, nieznajomy za to długo nie wracał i przybiegł wreszcie, kiedy robiło się już prawie ciemno.

— Zostań w klasie — powiedział mi przyjaciel. — ja go przytrzymam,

a ty odbierzesz ten plan, który mi ukradł.

Usiadłem więc przy oknie czytając jeszcze coś w ostatnim blasku dnia i spod oka patrzyłem na nich, jak w milczeniu odsuwali ławki: duży Meaulnes ponury, z zaciętym wyrazem twarzy, z bluzą zapiętą pod samą brodę i ściągniętą paskiem — tamten delikatny, o nerwowych ruchach, z głową obwiązaną, jakby był ranny. Miał na sobie nędzne palto, miejscami podarte, czego w ciągu dnia nie zauważyłem. Pełen niezwykłego zapału podnosił i odsuwał ławki z szalonym pośpiechem, uśmiechając się przy tym trochę. Mogłoby się wydawać, że jest to jakaś nadzwyczajna gra, której my nie rozumiemy.

Wreszcie, w pewnej chwili, znaleźli się koło siebie w najciemniejszym kącie pokoju, mieli już odsunąć ostatnią ławkę. Teraz mógł właściwie Meaulnes jednym pchnięciem przewrócić swego przeciwnika nie ryzykując, żeby ktokolwiek usłyszał ich albo zobaczył przez okno. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Augustyn nie korzystał z tej wyjątkowej okazji. Tamten podszedł już do drzwi i mógł przecież każdej chwili się wymknąć pod pozorem, że robota już skończona, i gdzie go potem szukać! Plan i te wszystkie informacje, które Meaulnes tak długo i mozolnie zbierał, to wszystko przepadłoby bezpowrotnie...

Każdej sekundy spodziewałem się, że mój przyjaciel jakimś jednym ruchem, spojrzeniem da mi znak rozpoczęcia walki, ale ten wielki chłopak ani drgnął, chwilami tylko uporczywie i jakby pytająco wpatrywał się w bandaż owijający głowę Cygana, który w mroku zalegającym już prawie całkowicie pokój wydawał się poplamiony czymś czarnym.

Odsunęli ostatnią ławkę i nic się nie stało.

Ale w chwili kiedy obaj, idąc z powrotem przez klasę, mieli jeszcze zamieść podłogę przed samym progiem, Meaulnes, schylając głowę i nie patrząc wcale na naszego wroga, rzekł półgłosem:

— Krew przeszła przez bandaż i ubranie ma pan całe podarte.

Tamten patrzył na niego przez chwilę nie tyle zdziwiony tym, co słyszał, ile wzruszony, że Meaulnes to powiedział.

— Oni mi chcieli wyrwać plan przed chwilą — oznajmił — kiedy się dowiedzieli, że mam tu przyjść zamiatać klasę, zrozumieli, że będę chciał pogodzić się z wami, i zbuntowali się. Ale go sobie nie dałem wydrzeć — dodał z dumą, podając Augustynowi starannie złożony cenny papier.

Meaulnes wolno obrócił się w moją stronę.

— Słyszysz? — rzekł. — On bił się za nas, zranili go, a my tu

zastawialiśmy sidła na niego!

Potem, przestając używać formy „pan*“, tak niezwyklej wśród uczniów w Sainte-Agathe:

— Jesteś prawdziwym kolegą! — rzekł wyciągając do niego rękę.

Tamten schwycił podaną dłoń i wzruszony milczał przez chwilę, jakby mu dech zapało... Ale wkrótce mówił dalej, z pełną podniecenia ciekawością:

— Więc jednak chcieliście mnie przyłapać! Jakie to zabawne! Domyślałem się tego i tylko mówiłem sobie: dopiero będą zdziwieni, jak mi ten plan odbiorą i zobaczą, że jeszcze go dopełniłem.

— Dopełniłeś?

— Poczekajcie... Niezupełnie...

I nagle porzucił ten ton wesoły, podszedł do nas bliżej i rzekł powoli i poważnie:

— Słuchaj, Meaulnes! Już czas, żebym ci to powiedział: ja także byłem tam, gdzie ty był. Byłem na tej niezwyklej zabawie. Tak mi się też wydawało, kiedy tutejsi chłopcy mówili mi o twojej tajemniczej przygodzie, że musiałeś trafić do tego opuszczonego majątku. Żeby się o tym ostatecznie przekonać, świsnąłem ci plan... Ale jestem w tym samym położeniu co i ty: nie wiem, jak się nazywa dwór, nie mógłbym tam trafić, bo nie znam całej drogi stąd...

Z jakim wzruszeniem, z jaką namiętą ciekawością, z jakim uczuciem serdecznej przyjaźni zwróciliśmy się teraz do niego. Meaulnes zasypywał go pytaniami... Wydawało się nam, że przez większą natarczywość wydobędziemy z naszego nowego przyjaciela nawet i te wiadomości, których jak twierdził, udzielić nam nie mógł...

— Zobaczycie, zobaczycie — powtarzał chłopak jakby już trochę zmieszany — zaznaczyłem wam na planie parę rzeczy, których brakowało... Więcej nic nie mogłem zrobić...

Wreszcie, widząc podziw i entuzjazm, który w nas budził:

— Och, wolę was o tym z góry przedzić — rzekł ze smutkiem i dumą w głosie — nie jestem takim chłopcem jak ci wszyscy. Trzy miesiące temu chciałem się zastrzelić i dlatego mam bandaż na głowie...

— I dziś przy tej walce rana znów zaczęła krwawić — rzekł ^ Meaulnes przyjaźnie.

Ale tamten nie zwracając na to uwagi mówił dalej z lekką emfazą:

— Chciałem umrzeć. Ponieważ mi się to nie udało, żyję teraz tylko „na niby”, jak dziecko, jak Cygan. Porzuciłem wszystko; nie mam już ani

ojca, ani siostry, ani domu, ani ukochanej... Nikogo, tylko towarzyszy zabawy.

— Ci towarzysze już cię zdradzili! — rzekłem.

— Tak — odpowiedział gwałtownie — to wina niejakiego Delouche. On się domyślił, że teraz będę chciał sprzymierzyć się z wami. Zdemoralizował mi chłopaków, a tak już byli świetnie zorganizowani! Widzieliście wczoraj ten atak, jak to szło! Jak to było poprowadzone! Od dzieciństwa nie udało mi się tak świetnie coś urządzić...

Zamyślił się przez chwilę i potem dodał, jakby chciał ostudzić nasz zapał:

— Jeśli teraz przyszedłem tu do was, to dlatego, że dziś z rana przekonałem się, że lepsza może być zabawa z wami niż z całą tamtą bandą. Szczególniej ten Delouche mi się nie podoba. To śmieszne, żeby udawać dorosłego mężczyznę, kiedy się ma siedemnaście lat! Nic mnie bardziej nie złości... Czy sądzicie, że dałoby się go przyłapać!

— No pewnie — rzekł Meaulnes — ale czy długo jeszcze z nami tu zostaniesz?

— Nie wiem. Chciałbym bardzo. Taki jestem samotny. Mam tylko jednego Ganache'a...

I nagle opuściło go całe dotychczasowe podniecenie, cała wesołość; zdawało się przez chwilę, że ogarnia go znów tik głęboka rozpacz, jak wtedy, kiedy postanowił odebrać sobie życie.

— Bądźcie moimi przyjaciółmi — rzekł nagle. — Widzicie: znam waszą tajemnicę i broniłem jej przed tamtymi. Mogę wam wskazać drogę, której nie znacie. — I dodał niemal uroczyście: — Bądźcie moimi przyjaciółmi i wtedy, kiedy może będę znów o krok od piekła, jak już raz byłem... Przysięgnijcie mi, że odpowiecie mi zawsze, jak na was zawołam, jak na was zawołam tak (i wydał dziwny przeciągły okrzyk: — Hu-uu, hu-uu!...). Ty, Meaulnes, przysięgnij pierwszy!

I przysięgliśmy obaj — bo wszystko, co było uroczyste i niezwykle, miało dla naszej dziecinnej wyobraźni nieodparty urok.

— W zamian za to — rzekł — dam wam adres domu w Paryżu, gdzie panią z tego dworu zwykle spędza święta wielkanocne, czasem Zielone Świątki, cały czerwiec i często parę tygodni w ciągu zimy.

W tej chwili od strony bramy jakiś nieznajomy głos zawołał coś przeciągle, po kilka razy. Domyśliliśmy się, że był to Ganache, który widocznie nie śmiał wejść czy też nie wiedział, którądy można dostać się przez podwórze. Niespokojnym, dziwnie natarczywym głosem wołał to

bardzo głośno, to znów prawie że cicho:

— Hu-uu!... Hu-uuuL.

— Powiedz, powiedz prędko! — zawołał Meaulnes do młodego Cygana, widząc, że drgnął i już poprawiał na sobie ubranie, jakby do wyjścia.

Dał nam szybko jakiś adres w Paryżu, który [»wtórzyliśmy obaj półgłosem, i pobiegł przez ciemne podwórze w stronę furtki, skąd wzywał go głos towarzysza, a my zostaliśmy sami z uczuciem nieopisanego niepokoju w sercu.

Rozdział V ZŁODZIEJ

Tej nocy, około trzeciej, wdowa Delouche, właścicielka karczmy stojącej w środku wsi, wstała, żeby rozpałić ogień w kuchni. Szwagier jej, Dumas, który razem z nimi mieszkał, wyjeżdżał gdzieś o czwartej z rana i zbiedzona kobiecina, chcąc przygotować mu kawę, niezdarnie krzątała się koło paleniska. Miała jedną rękę wykrzywioną i trochę bezwładną na skutek jakiegoś dawnego oparzenia. Trzeba było przynieść sobie drewek do rozpałki z komórki na podwórzu; komórka ta służyła jednocześnie za kurnik. Było zimno. Pani Delouche narzuciła starą wełnianą chustkę na nocny kaftanik; jedną ręką trzymając zapaloną świecę, drugą (tą kaleką) zasłaniała płomień od wiatru i zakasawszy fartuch przeszła ostrożnie przez podwórko zawalone pustymi butelkami i starymi skrzyniami. Ale ledwie otworzyła drzwi komórki, raptem z ciemności wyskoczyło jakieś indywiduum, które jednym machnięciem czapki nie tylko zgasiło świecę, lecz przewróciło przerażoną babinę i momentalnie zniknęło. Kury podniosły wrzask nieopisany.

Kiedy po chwili pani Delouche zdołała oprzytomnieć i rozejrzeć się, skonstatowała, że brakowało jej około tuzina najpiękniejszych kuraków.

Dumas nadbiegł słysząc krzyki bratowej i stwierdził, że nicpoń musiał otworzyć sobie furtkę na podwórze wytrychem i uciec tą samą drogą, bo furtka była jeszcze otwarta. Jako człowiek przyzwyczajony do kłusowników i innych rabusiów, zapalił natychmiast latarkę od swego wozu, trzymając ją jedną ręką, w drugą wziął nabitą fuzję i ruszył śladami złodzieja; ślady te były zresztą bardzo niewyraźne (złodziej widocznie miał na sobie pantofle o miękkiej podeszwie) i prowadziły na drogę kolejową, potem gubiły się przed ogrodzeniem jakiejś łąki. Zmuszony tym do zatrzymania się, Dumas przystanął, podniósł głowę i w tej chwili usłyszał z daleka na drodze odgłos odjeżdżającego pędem wozu...

Tymczasem Jaśmin Delouche, syn wdowy, wstał również i narzuciwszy śpiesznie pelerynę z kapturem zaczął poszukiwania na swoją rękę. Wszystko spało, wszystko tonęło w mroku i tej głębokiej ciszy, która jest zwiastunką nadchodzącego pierwszego blasku dnia. Kiedy doszedł do placu Czterech Dróg, usłyszał — tak samo jak i jego wuj — daleko już, pewno koło górkę zwanej Riaudes, odgłos kół turkoczących na drodze i oddalających się z wielką szybkością. Opowiadał nam to potem ze zwykłą sobie fanfaronadą, tym nieznośnym swoim akcentem z okolic Montluçon:

— Ci to drapnęli w stronę dworca, ale nie powiedziane, że nie nakryje

innych na mieście.

Zawrócił wtedy z drogi i poszedł w stronę kościoła, zawsze wśród tej samej ciszy nocnej.

Na placu, w cygańskiej budzie, paliło się światło. Pewno ktoś był chory. Chciał już podejść i spytać, co się stało, kiedy nagle zobaczył od strony uliczki Petits Coins jakiegoś człowieka zbliżającego się szybko, ale bez szelestu; kiedy nieznajomy już był niedaleko, Jasmin zobaczył, że miał na nogach miękkie płócienne pantofle, zwane espadrilles. Był to Ganache; Jasmin poznał go, więc wszedł nagle w krąg światła i spytał półgłosem:

— No i cóż się u was stało?

Ale tamten, z błędnym wzrokiem, rozczochrany, bezzębny, zatrzymał się i spojrział na niego wykrzywiając usta w żalonym grymasie spowodowanym przerażeniem i dusznością.

— Kolega chory — odpowiedział. — Wczoraj wieczorem bił się i stara rana znowu zaczęła krwawić... Chodziłem właśnie teraz po siostrę...

Jasmin Delouche, coraz bardziej zaintrygowany całą sprawą, rzeczywiście spotkał wracając do domu zakonnicę szybko idącą przez plac.

Z rana kilku mieszkańców Sainte-Agathe wyszło na próg domu z zapuchniętymi i podkrążonymi oczyma po bezsennej nocy. Wszędzie rozbrzmiewał ten sam okrzyk oburzenia. Było to tak, jakby ktoś podsypał prochu w całym miasteczku.

U Giraudatów około drugiej w nocy słyszano, że jechał jakiś wóz, który zatrzymał się na drodze i na który ładowano coś miękkiego, jakby worki. W domu były same kobiety i bały się wyjść, ale kiedy z rana zajrzały do gospodarstwa, przekonały się, że tymi workami były ich własne króliki i drób. Millie w czasie pierwszej pauzy znalazła na ziemi przed drzwiami do pralni kilka wypalonych zapalek. Wywnioskowaliśmy z tego, że złodzieje zaglądali i do nas, ale nie mogąc zorientować się w rozkładzie mieszkania musieli odejść z kwitkiem... U państwa Perreux, u Boujardonów i u starego Clément byli już pewni, że skradziono również świnie, ale rano znaleźli je ryjące najspokojniej w świecie w sąsiednich ogródkach; skorzystały po prostu z otwartych w nocy drzwi chlewu i z ogólnego zamieszania, żeby wyjść sobie na spacer... Prawie wszędzie zginęło po parę sztuk drobiu, ale nic poza tym. Co prawda pani Pignot, właścicielka piekarni, która nie miała wcale żywego inwentarza, opowiadała wszystkim z wielkim krzykiem, że zginęła jej kopystka i funt

farbki, ale fakt ten nigdy nie został stwierdzony i nie wpisano go do protokołu...

Niepokój, podniecenie, gadanie o złodziejach trwały jeszcze przez całe rano. W klasie Jaśmin opowiedział swoją nocną przygodę:

— O, to spryciarze! — mówił. — Ale jakby wujek którego z nich złapał na drodze, to by zastrzelił jak zająca! Tak powiedział!

I dodał patrząc na nas:

— Całe szczęście, że nie spotkał tego Ganache, jeszcze byłby do niego strzelił. To wszystko jedna hołota, mówi, i Des-saigne też tak powiada.

Jednak nikomu nawet do głowy nie przyszło niepokoić naszych przyjaciół. Dopiero nazajutrz wieczorem Jaśmin zwrócił uwagę wujowi, że Ganache, tak samo jak nieuchwytny złodziej, miał na nogach espadrilles. Obaj byli zdania, że warto zakomunikować tę wiadomość policji. Postanowili więc pod wielkim sekretem, że pójdą na posterunek i powiedzą o tym komendantowi.

W ciągu następnych dni młody Cygan, którego rana wciąż jeszcze trochę krwawiła, nie pokazywał się wcale.

Wieczorem wychodziliśmy obaj na plac przed kościołem, żeby chociaż popatrzeć na światło lampy palącej się za czerwoną firanką, w okienku budy. Niespokojni, podnieceni, staliśmy tak nie śmiąc podejść bliżej do nędznego cygańskiego wozu: wydawał się nam jakby przedstonkiem tajemniczej krainy, do której zgubiliśmy drogę...

Rozdział VI KŁÓTNIA ZA KULISAMI

Wszystkie zdarzenia i niepokoje ostatnich dni pochłonęły nas do tego stopnia, że wprost nie zauważyliśmy, jak nadszedł marzec i powietrze stało się łagodniejsze. Ale na trzeci dzień po tej całej awanturze, kiedy z rana wyszliśmy na dwór, poczułem nagle, że już jest wiosna. Rozkoszny powiew jak strumień letniej wody przepływał ponad murami; cichy nocny deszcz zmoczył liście piwonii; ziemia w ogrodzie miała silny, ożywczy zapach i z drzewa stojącego tuż przy oknie dolatywał niepewny głos ptaszka, widocznie dopiero uczącego się śpiewu.

Meaulnes podczas pierwszej przerwy radził, żeby nie tracąc czasu wybrać się na sprawdzenie planu poprawionego przez Cygana. Ledwie zdołałem mu wytłumaczyć, żeby lepiej rozmówić się jeszcze z naszym nowym przyjacielem, żeby poczekać, aż pogoda zupełnie się ustali... chociaż do czasu, kiedy zakwitną śliwy w Sainte-Agathe. Rozmawialiśmy tak stojąc na ulicy, oparci plecami o niski murek, z rękami w kieszeniach, z odkrytą głową; chwilami zawiąło ostrym podmuchem, który nas mroził jakby w zimie, to znowu musnął nas jakiś ciepły powiew budzący w nas nieokreślone, bezgraniczne pragnienia. Ach, bracie! Towarzyszu mój, wędrowniku! Jakże przekonani byliśmy wtedy, że szczęście jest bliskie, że wystarczy tylko wybrać się w drogę, żeby je osiągnąć...

O pół do pierwszej, podczas śniadania, usłyszeliśmy przeciągłe bicie w bęben od strony placu. W jednej chwili byliśmy już przy furcie z serwetami w rękę. To Ganache ogłaszał, że „wobec pięknej pogody odbędzie się o godzinie ósmej wielkie przedstawienie na placu przed kościołem. Na wszelki wypadek rozstawiony będzie namiot, jako schronisko przed ewentualnym deszczem”. Następnie został ogłoszony długi program rozmaitych atrakcji, ale z tego wszystkiego usłyszeliśmy tylko parę słów niesionych w naszą stronę silnymi podmuchami wiatru: „pantomima... piosenki... popisy na koniu...”, wszystko jeszcze przerywane miarowo energicznym biciem w bęben.

Wieczorem, podczas obiadu, pod oknami znów usłyszeliśmy bęben oznajmiający tak głośno, że aż drżały szyby, iż wkrótce rozpocznie się przedstawienie. Istotnie, po chwili słychać było, jak ludzie idąc w stronę placu rozmawiali po drodze, a my obaj siedzieliśmy przy stole jak na rozżarzonych węglach.

Była już blisko dziewiąta, kiedy nareszcie usłyszeliśmy

za drzwiami wycieranie nóg i przyciszone śmiechy: to nauczycielki przyszyły po nas. Dołączyliśmy się do całej bandy i szliśmy wśród zupełnej ciemności w stronę placu. Już z daleka zobaczyliśmy, że kościół był oświetlony jakby przez wielkie ognisko. Przed namiotem dwa zapalone kinkiety kołysały się na wietrze.

Wewnątrz ustawione były ławki amfiteatralnie jak w cyrku. Pan Seurel, nauczycielki, Meaulnes i ja usiedliśmy w pierwszym, najniższym rzędzie. Widzę jeszcze teraz tych ludzi stłoczonych w ciasnym kole, miejscami niknących w cieniu; przypominam sobie siedzącą między nimi panią Pignot, piekarkę, Fernandę, właścicielkę sklepiku, znajomych chłopców, dziewczyny z miasteczka, pomocników kowala, wieśniaków okolicznych i innych jeszcze obcych ludzi.

Przedstawienie trwało już dość długo; na arenie tresowana kózka posłusznie ustawiała kopytka na czterech odwróconych szklankach, potem na dwóch, wreszcie na jednej. Ganache kierował jej ruchami łagodnie, machając lekko pałeczką i spoglądał ukradkiem w naszą stronę swymi dziwnymi oczami bez wyrazu, z ustami rozchylonymi jakby przez wieczny jakiś niepokój.

Wreszcie dojrzeliliśmy naszego przyjaciela siedzącego na taborecie koło przejścia z areny do stojącej z tyłu budy; ubrany był w czarny obcisły trykot i czoło miał wciąż obandażowane.

Wkrótce potem wybiegł na arenę kucyk w ozdobnej uprzęży. Poganiany przez młodego Cygana, obiegił kilka razy dookoła i zatrzymywał się zawsze przed nami, jeżeli chodziło o wybranie spośród publiczności najsympatyczniejszej albo najodważniejszej osoby; natomiast stawał przed panią Pignot za każdym razem, kiedy kazano mu znaleźć spośród gości największego kłamczucha, osobę najbardziej skąpą albo nawet najbardziej zakochaną.

I zaraz wkoło niej pełno było śmiechów, pokrzykiwań, jakiegoś zabawnego gęgania, jak w stadzie gęsi wystraszonych przez psa.

W czasie antraktu młodzieniec z bandażem podszedł do pana Seurel, który chyba nie byłby bardziej dumny, gdyby rozmawiał z samą Sarą Bernhardt, a my chłoniliśmy z przejęciem wszystkie jego słowa: o ranie, już teraz zagojonej, o tym przedstawieniu, przygotowywanym w ciągu długich zimowych miesięcy, o ich wyjeździe, który nie nastąpi przed końcem miesiąca, bo mają zamiar dać jeszcze kilka nowych, urozmaiconych widowisk. Całość miała zakończyć się wielką pantomimą.

Pod koniec antraktu młody Cygan opuścił nas i kiedy przeciskał się przez gromadkę stojącą u wyjścia z areny, zauważyliśmy, że stał tam Jaśmin Delouche. Kobiety i dziewczyny usuwając się trochę na bok uprzejmie przepuszczały nieznanego młodzieńca: jego czarne ubranie, rana ukryta pod bandażem, cała jego powierzchowność niezwykła, pełna jakiegoś rycerskiego uroku, wywierała na nich widoczne wrażenie. Natomiast Jaśmin ubrany, jak gdyby właśnie wracał z podróży, rozmawiał o czymś z panią Pignot przyciszonym głosem, ale z wielkim ożywieniem; pierwsze palce obu rąk zatknął za kamizelkę; pomimo pyszałkowatej miny robił raczej wrażenie zażenowanego... Kiedy młody Cygan przeszedł obok niego, powiedział do pani Pignot coś, czego nie dosłyszeliśmy, ale co zapewne było obelgą rzuconą pod adresem naszego przyjaciela. Musiała to być nawet jakaś niespodziewana groźba, bo młodzieniec, zamiast udać, że tego nie słyszy, obejrzał się i popatrzył na Delouche'a, który jakby dla dodania sobie tupetu i zyskania aprobaty zaczął trącać sąsiadów łokciami i chichotać z cicha... Wszystko to zresztą trwało parę sekund i zapewne nikt oprócz mnie tego nie zauważył. Nasz przyjaciel zniknął za kotarą zasłaniającą wejście do budy. Publiczność wróciła na swoje miejsca w przekonaniu, że zaraz rozpocznie się druga część przedstawienia, i na widowni zapanowała cisza. Ale właśnie w chwili kiedy szept ustawał, zza kulis doleciał odgłos gwałtownej kłótni. Nie słyszeliśmy większości słów, ale poznaliśmy oba głosy — głos tego dużego nieznanego draba i głos naszego przyjaciela; pierwszy, jakby się z czegoś tłumaczył, drugi — karzący, pełen oburzenia i smutku.

— Cztowieku! Na litość! — usłyszeliśmy — dlaczegoś mi nie powiedział..

Nie mogliśmy uchwycić dalej ani słowa, choć nastawialiśmy uszu wraz ze wszystkimi. Nagle oba głosy zniżyły się do szeptu. Słyszeliśmy jednak, że kłótnia trwała w dalszym ciągu, tylko po cichu. Wreszcie łobuzy z ostatnich rzędów zaczęły krzyczeć:

— Światło! Kurtyna!

I rozległo się niecierpliwie tupanie nogami.

Rozdział VII CYGAN ZDEJMUJE OPASKĘ

Wreszcie między rozchylonymi zasłonami ukazała się twarz Pierrota, pomarszczona, upstrzona pieczętkami z laku, uśmiechnięta, to znów wytrzeszczonymi oczyma wyrażająca przerażenie. Cała postać zgięta w pałąk, jakby pod wpływem silnego bólu żołądka, robiła wrażenie wielkiej, niezdarnie zeszytej z paru kawałków lalki. Pierrot stąpał na palcach, ostrożnie i cicho, z rękami ukrytymi w nadmiernie długich rękawach, które wlokły się po ziemi.

Nie pamiętam już dzisiaj treści tej pantomimy. Pamiętam tylko, że Pierrot nie mógł utrzymać się na nogach mimo rozpaczliwych wysiłków i niemal zaraz po ukazaniu się na arenie upadł na ziemię. Parę razy dźwigał się, ale na próżno, padał znowu. Przewracał się ciągle: zaczepiał rękawami o kilka krzeseł jednocześnie, ciągnął za sobą ogromny stół, który wniesiono za nim na arenę, wreszcie upadł tuż przed pierwszym rzędem, rozciągając się jak długi u stóp widzów. Dwie osoby z publiczności? największymi trudnościami stawiały go z powrotem na nogi. Za każdym razem, kiedy się przewracał, wydawał nieznośny pisk wyrażający jednocześnie strach i zadowolenie. Na zakończenie zwałił się z wysokiej piramidy krzeseł: spadał dziwnie powoli, nie przerywając swego przenikliwego, tym razem tryumfalnego, choć żalosego pisku, któremu towarzyszyły okrzyki przerażonych kobiet.

Z drugiej części pantomimy przypominam sobie, choć nie wiem już, jak to się zaczęło, że biedny, walący się wciąż Pierrot wyciągnął z rękawa małą płócienną laleczkę wypchaną trocinami i odgrywał z nią całą jakąś tragikomiczną scenę. Wreszcie zaczął nią potrząsać tak, że trociny wylatywały jej przez usta. Potem śmiesznie pokrzykując karmił ją niby, pakując w nią łyżką jakąś papkę, i w chwili kiedy wszyscy z uwagą śledzili losy wypatroszonej i umorusanej córki nieszczęsnego Pierrota, schwycił ją za jedną rękę i z rozmachem cisnął prosto w Jasmina Delouche; lalka musnęła go po uchu i padła rozplaszczając się na obfitym łonie pani Pignot, tuż pod brodą. Piekarka wrzasnęła i gwałtownie cofnęła się całym tułowiem, wszystkie sąsiadki odruchowo poszły za jej przykładem i nagle ławka załamała się. Pani Pignot, smętna wdowa Delouche i dwadzieścia bab siedzących razem z nimi znalazło się w jednej chwili na ziemi z nogami w powietrzu, wśród krzyków, śmiechów i oklasków publiczności, a tymczasem pajac, który również rozplaszczył się na ziemi, wstał i ukłonił się widzom mówiąc:

— Mam zaszczyt podziękować państwu! Panie!... Panowie!...

Ale w tej samej chwili, podczas ogólnej wrzawy, milczący dotychczas Meaulnes, który wydawał mi się od pewnego czasu coraz bardziej czymś zaabsorbowany, wstał, schwycił mnie silnie za ramię, jakby się już dłużej nie mógł opanować, i zawołał:

— Popatrz na Cygana! Popatrz! Poznałem go nareszcie!

Nagle, zanim nawet zdążyłem spojrzeć na niego, zrozumiałem wszystko, jakby ta myśl już od dawna kielkowała we mnie i czekała tylko tej chwili, żeby dotrzeć do mojej świadomości.

Nieznamy młodzieniec stał przed wejściem do budy, tuż przy zapalonym kinkiecie; zdjął już z głowy opaskę, na ramiona zarzucił pelerynę. W świetle dymiącego płomienia, jak niegdyś przy płomieniu świecy, tam, w pokoju opuszczonego dworu, rysowała się wyraźnie jego delikatna, rasowa, wygolona twarz. Był blady, usta miał lekko rozchylone. Pospiesznie przewracał kartki jakiejś czerwono oprawnej książeczki wyglądającej na kieszonkowy atlasik. Gdyby nie szeroka szrama przekreślająca czoło i niknąca w gęstwinie włosów, byłby tym, opisywanym już przez Augustyna, nieszczęsnym panem młodym z tajemniczej krainy.

Widoczne było, że zdjął z głowy bandaż po to właśnie, żebyśmy go poznali. Ale ledwie Meaulnes krzyknął i pokazał mi go, cofnął się szybko do budy uśmiechając się przy tym tylko do nas porozumiewawczo, ale ze smutkiem jak zwykle.

— A ten drugi — rzekł Meaulnes w najwyższym podnieceniu — że też nie poznałem go od razu! To ten Pierrot, co gonił dziewczynki, tam, na zabawie!...

I pospiesznie zaczął przechodzić przez ławki w kierunku kulis, ale Ganache zastawił już przejście łączące namiot z budą i pogasił światła; musieliśmy wyjść razem ze wszystkimi pchając się między ciasno ustawionymi rzędami ławek, w półmroku drepcząc niecierpliwie na miejscu.

Gdy tylko wydostaliśmy się na dwór, Meaulnes podbiegł do budy, wskoczył na stopnie i zastukał do drzwi, ale wszystko było na glucho zamknięte. I tutaj j i w wozie ze zwierzętami było ciemno i cicho, jakby już wszyscy udali się na spoczynek.

Rozdział VIII POLICJA!

Trzeba było zawrócić i iść razem ze wszystkimi wracającymi ciemnymi ulicami miasteczka w kierunku szkoły. Teraz już rozumieliśmy wszystko. Ta wysoka biała postać, którą Meaulnes widział w lesie wyjeżdżając z tajemniczego dworu, to był Ganache, który wyratował nieszczęsnego narzeczonego i uciekł z nim razem. Rudolf zgodził się na to dziwne wędrownicze życie, pełne przygód, zabaw, niebezpieczeństw. Wydawało mu się, że powraca niejako do czasów dziecińczych. Ukrywał przed nami dotychczas swoje nazwisko i udawał, że nie zna drogi do tego majątku, bo pewno bał się, że będzie musiał wrócić do rodziców. Ale dlaczego teraz przyszło mu do głowy dać się nam poznać, dlaczego teraz pozwalał nam na odkrycie całej prawdy?

Ileż projektów zaczął od razu robić Meaulnes, podczas gdy cała gromada widzów powoli rozchodziła się po miasteczku, każdy w swoją stronę! Postanowił, że zaraz nazajutrz (bo miał to być czwartek) pójdzie do Rudolfa i że obaj pojedą zaraz „tam”. Cóż to za podróż będzie po roztopach! Rudolf wszystko mu wytłumaczy, wszystko się ułoży i cała czarodziejska przygoda rozpocznie się znowu tam, gdzie się przerwała...

Ja szedłem obok niego i nieogarnięte uczucia rozpieierały mi serce. Wszystko składało się na jedną wielką, nieskończoną wprost radość: począwszy od oczekiwania następnego dnia do tryumfu z powodu dokonanego, tak ważnego odkrycia, do szczęścia, jakie — zdawało się — przypadło nam w udziale. I przypominam sobie, że w nagłym porywie wspaniałomyślności względem wszystkich podszedłem do najbrzydszej córki rejenta i podałem jej ramię, choć zazwyczaj, gdy mnie do tego zmuszano, uważałem to za największe poświęcenie.

Gorzkie wspomnienia! Próżne, zniweczone nadzieje! Nazajutrz, od ósmej rano, kiedy znaleźliśmy się obaj na placu przed kościołem, w wyglansowanych bucikach, z wyczyszczonymi specjalnie klamrami pasków, w nowych czapkach, jak na jakie święto, Meaulnes, który dotychczas nie uśmiechnął się nawet spoglądając na mnie — nagle krzyknął i rzucił się w kierunku pustego placu. Na miejscu, gdzie zeszłego wieczoru stała buda i wozy ze zwierzętami, nie było nic prócz zbitego garnka i paru gałganków. Cyganie odjechali...

Zawiał lekki wiatr, który wydał się nam lodowaty. Miałem wrażenie, że nagle zabrakło nam siły na stąpienie po nierównym, wyboistym placu,

pełnym kamyków, że lada chwila potknę się i upadnę. Meaulnes, półprzytomny, rzucił się, jakby chciał biec raz do Vieux-Nançay, potem w stronę Saint-Loup des Bois. Przykładał rękę do oczu i patrzył w dal, widocznie w nadziei, że nasi przyjaciele może dopiero co odjechali. Ale co mieliśmy robić? Ślady dziesięciu przynajmniej wozów splątane były na placu, a dalej, na twardej drodze, zupełnie się zacierały. Staliśmy bezradni, zrozpaczeni.

A kiedy wreszcie wracaliśmy przez budzące się, pełne wesołości miasteczko, czterech żandarmów, widocznie uprzedzonych z wieczora przez Delouche'a, zajechało na koniach przed kościół i zawróciwszy skierowało się w cztery strony, czterema głównymi ulicami, jak żołnierze posłani na rekonesans. Ale było już za późno. Ganache, złodziej, który pokradł drób i króliki, uciekł wraz ze swym towarzyszem. Policjanci nie znaleźli już nikogo. Ani jego, ani tych, którzy kupili kradziony towar i ładowali na wozy poduszone ptactwo... Rudolf uświadomiony lekkomyślną groźbą Ja- smina widocznie zrozumiał nagle, z czego żyli obaj z towarzyszem, w czasach kiedy kasa była pusta. Wstyd i rozpacz go ogarnęły i zdecydował, że trzeba uciekać czym prędzej, przed zjawieniem się policji. Ale teraz, wiedząc, że nie będzie zmuszony wrócić do ojczystego domu, chciał przed odjazdem odkryć sam swoją tajemnicę.

Jednej rzeczy do końca nie mogłem zrozumieć: jak mógł Ganache kraść, gdzie się tylko dało, a jednocześnie chodzić po siostrę i sprowadzić ją do chorego przyjaciela? Ale czyż nie taką była cała historia tego biedaka? Złodziej i włóczęga, ale zarazem także pocziwe stworzenie...

Rozdział IX

W POSZUKIWANIU ZAGINIONEJ DROGI

Kiedy wracaliśmy do domu, słońce rozpraszało już lekką mgłę poranną. Gospodynie wychodziły na próg, żeby coś wvtrzepać albo po prostu, żeby pogadać; w polach i lasach, wszędzie, w całym miasteczku rozpoczyna się najbardziej promienny, wiosenny poranek, jaki pamiętam.

Wszyscy starsi uczniowie mieli przyjść tego dnia już koło ósmej, ażeby korzystając z wolnego czasu przygotować się trochę do zbliżających się egzaminów. Kiedy wróciliśmy do szkoły, Meaulnes pełen niepokoju i żalu, nad którymi nie był w stanie zapanować, ja — przygnębiony i milczący, zastaliśmy klasę zupełnie pustą...

Wesoły promień słońca kładł się na zniszczonej, zakurzonej ławce, ślizgał się po podartej mapie półkul ziemskich.

Jakże tu siedzieć nad książką i myśleć o naszym zmartwieniu, kiedy wszystko wzywało nas na dwór: gonitwy ptaków wśród gałęzi, tuż za oknem, ucieczka kolegów do pobliskich pól i lasów, a szczególnie gorączkowe pragnienie wypróbowania nowego planu

iaa

/ H

dopełnionego przez Cygana, ostatniego klucza, który nam pozostał po stracie tyłu nadziei... To było ponad nasze siły! Meaulnes chodził tam i z powrotem po pokoju, wyglądał przez okno do ogrodu, to znów przez drugie w stronę miasteczka, jakby czekał na kogoś, kto na pewno się i tak nie zjawi.

— Wiesz — rzeki po chwili — ja myślę, że to nie jest wcale tak daleko, jak nam się zdaje... Rudolf przekreślił mi na planie cały duży kawał drogi, który sobie zaznaczyłem. Może to dowodzi, że klacz nadłożyła drogi, wtedy kiedy usnąłem...

Siedziałem na brzegu stołu, jedną nogą dotykając podłogi, drugą machając w powietrzu, zniechęcony, ponury.

— Jednak — odpowiedziałem — z powrotem jechałeś całą noc tą starą karetą.

— Wyjechaliśmy o dwunastej — rzekł Meaulnes z ożywieniem. — O czwartej z rana wysiadłem w miejscu położonym o jakie sześć kilometrów na zachód od Sanite-Agathe, a ja właśnie wyjechałem drogą na dworzec, na wschód! Trzeba więc liczyć co najmniej

o te sześć kilometrów mniej z Sainte-Agathe do tego majątku. Naprawdę, zdaje mi się, że z lasu gminnego nie będzie chyba więcej jak dwie mile...

— A właśnie tych dwóch mil nie masz na planie.

— Tak, to prawda; a jeszcze wyjście z lasu też będzie o jakie półtorej mili stąd, ale jak iść dobrym krokiem, to by się do południa zaszło...

W tej chwili zjawił się Moucheboeuf. Miał irytujący sposób udawania wzorowego ucznia, nie przez pilność w nauce, ale właśnie przez wyyskiwanie różnych okazji w rodzaju dzisiejszej.

— Dobrze wiedziałem — rzekł z tryumfującą miną — że was obu tu zastanę. Tamci wszyscy wybrali się do lasu gminnego. Na czele Jaśmin Delouche, który już tam wypatrzył wszystkie gniazda!

I chcąc się nam przypochlebić zaczął opowiadać o tym, co mówił Delouche przy tej okazji, jak wyśmiewał się z nas, z pana Seurel...

— Jeśli oni są w lesie, to pewno ich spotkam — rzeki obojętnie Meaulnes — bo właśnie tam idę. Będę z powrotem koło wpół do pierwszej.

Moucheboeuf po prostu zbaraniał.

A ty nie idziesz? — spytał mnie Augustyn naciskając już klamkę i zatrzymując się na progu. Chwila ta wystarczyła, żeby przez uchylone drzwi do pokoju wtargnęło ciepłe tchnienie ogrzanego słońcem powietrza, odgłosy pokrzykiwań i nawoływań, szczebiot ptaków, dźwięczne stuknięcia kubła o brzeg studni i, gdzieś z daleka, trzaśnięcie bata...

— Nie — odpowiedziałem, choć pokusa była silna — nie mogę iść ze względu na pana Seurel. Ale ty pośpiesz się. Będę na ciebie czekał i niecierpliwością.

Meaulnes zrobił nieokreślony gest i wyszedł pośpiesznie, pełen nadziei.

Koło dziesiątej zjawił się pan Seurel. Nie miał na sobie codziennej alpagowej kurtki, natomiast włożył swoje „rybackie” palto z obszernymi kieszeniami zapinanymi na guziki, słomiany kapelusz i skórzane, lakierowane sztylpy, w które wciśnięte były nogawki spodni. Zdaje mi się, że wcale nie był zdziwiony tym, że nie zastał nikogo w klasie. Nie chciał nawet wcale słuchać Moucheboeufa, który mu trzy razy z rzędu powtarzał, że chłopcy powiedzieli: „Jak mu się podoba, to niech tu po nas przyjdzie!”

— Pochowajcie wasze rzeczy — rozkazał — tylko weźcie czapki, to pójdziemy ich tam przyłapać. Czy ty zajdziesz tak daleko, Franku?

Zapewniłem ojca, że znajdę, i wyszliśmy.

Zdecydowano, że Moucheboeuf poprowadzi pana Seurel i będzie służył za przynętę, czyli że wiedząc mniej więcej, gdzie mogą być chłopcy, miał od czasu do czasu głośno wołać:

— Hop, hop! Giraudat! Delouche! Gdzie jesteście? Czy macie co? Czy są gniazda?

Ja miałem ku wielkiej mojej radości iść wschodnim brzegiem lasu, na wypadek, gdyby chłopcy uciekali tamtędy.

Otóż w planie poprawionym przez Cygana i któremu tyle razy przyglądaliśmy się obaj, wyglądało tak, jakby z tej właśnie strony jakaś ścieżka czy droga polna szła prosto w kierunku tajemniczego majątku. Gdybym ją właśnie dziś odkrył!... Zacząłem wreszcie już wmawiać sobie, że koło południa będę znał drogę do utraconej krainy...

Cóż to był za rozkoszny spacer!... Ledwie znaleźliśmy się za młynem, rozstałem się z moimi towarzyszami, którzy wyglądali, jakby wybierali się na wojnę: z panem Seurel (który, zdaje się, nawet miał jakiś stary pistolet w kieszeni) i z tym zdrajcą Mouche-boeufem.

Poszedłem na przełaj i niedługo znalazłem się na brzegu lasu, sam wśród pól, chyba po raz pierwszy w życiu, jak żołnierz, który zgubił gdzieś swoją kompanię.

„Może już jestem — myślałem sobie — blisko tego szczęścia, które Meaulnes raz ujrzał i za którym tak tęskni. Mam przed sobą cały ranek, żeby zbadać brzeg lasu, najbardziej uroczne miejsce w całej okolicy.” Mój towarzysz także wybrał się na poszukiwania. Szedłem jakby łożyskiem wyschniętego strumyka, potem schylałem się pod niskimi gałęziami drzew, których nazw nie jestem pewny, ale sądzę, że były to olchy; przedostałem się wreszcie przez jakieś ogrodzenie, do którego doprowadziła mnie leśna ścieżka, i znalazłem się na szerokiej porębie pokrytej już świeżutką trawą. Idąc deptałem od czasu do czasu po pokrzywach i po młodych pędach waleriany.

Miejscymi stapałem po białym, sypkim piasku. W ciszy, która mnie otaczała, co chwila słyszałem śpiew jakiegoś ptaka i wyobrażałem sobie, że to słowik, choć na słowika było za wcześnie, w dodatku słowiki śpiewają tylko wieczorem... Ptak powtarzał uporczywie ciągle tę samą melodię składającą się z kilku nut. Był to może po prostu tylko głos tego wiosennego poranka, słowa tajemnicze szeptane w cieniu gałęzi, jakieś rozkoszne wezwanie do wędrowni. Niewidzialny, uparty ptaszek towarzyszył mi bezustannie.

Po raz pierwszy w życiu znalazłem się i ja na drodze wielkich przygód. Tu już nie chodziło o zbieranie pod okiem pana Seurel muszelek pozostawionych przez wodę ani storczyków, których nie zna nauczyciel, ani o szukanie na łące u starego Marcina prawie wyschniętego źródła, tak ukrytego pod wysokimi trawami, że nigdy nie mogliśmy znaleźć go od razu... Teraz szukałem czegoś znacznie bardziej tajemniczego. Wszystko było jak opowieść w bajkach o zaginionej drodze, na którą królewicz wyczerpany długą wędrówką nie mógł już natrafić. A droga znajdzie się niespodziewanie, kiedy zatopieni w piękności tego poranku zapomnimy, że może minęła już godzina jedenasta, a może nawet dwunasta... I nagle, kiedy rozchyłonymi dłońmi z wahaniem, ostrożnie rozsuwamy przed twarzą splecione gałęzie, widzimy jakby długi, ciemny tunel wśród gęstwiny, a na końcu małą, jasną plamkę.

Ale gdy tak upajałem się marzeniami, znalazłem się nagle na otwartej łące: nie wiedząc sam jak i kiedy, doszedłem do końca lasu, który zawsze wyobrażałem sobie nieskończenie dalekim. I oto tutaj, po prawej ręce, między stosami naciętego drzewa, stoi domek leśnika. Dwie pary pończoch suszą się na brzegu otwartego okna. Pamiętam, kiedy dawniej chodziliśmy do lasu, mówiliśmy patrząc na maleńki otwór w końcu długiej, ciemnej alei: „to tam jest domek leśnika, tam mieszka Baladier”... ale nigdy nie doszliśmy tak daleko. Czasami słyszało się, że ktoś mówi! o jakiejś nadzwyczajnej wyprawie: „był aż przy domku Baladiera!”

A ja tym razem doszedłem do domku leśnika i nic nie znalazłem...

Gorąco, którego dotychczas nie czułem, i obolała po długim marszu noga zaczęły mi dokuczać, i myślałem już o tym, jak to ciężko będzie wracać samemu przez las, kiedy nagle usłyszałem wołające mnie głosy pana Seurel, Moucheboeufa i jeszcze kilka innych.

Zjawili się sześciu chłopców, z których tylko jeden, zdrajca Moucheboeuf, miał tryumfującą minę. Byli między nimi Giraudat, Auberger, Delage. Dzięki systemowi Moucheboeufa udało się przyłapać kilku, siedzących już na dzikiej czereśni, która stała na polance; inni uganiali się za gniazdami w lesie. Giraudat, ten głuptyś z zapuchniętymi oczyma, schował już pisklęta za pazuchę, pod koszulę. Dwóch jego towarzyszy uciekło słysząc pana Seurel: to pewno byli Delouche i ten mały Coffin. Zaczęli najpierw wykrzykiwać jakieś złośliwości pod adresem Moucheboeufa, nazywając go „Mouchevache”, i echo roznosiło to po lesie, ale on, pewien swego, choć urażony, odpowiedział tylko:

— Lepiej byćście pozłazili, pan Seurel tu jest, wiecie...

A wtedy raptownie wszystko umilkło, w jednej chwili rozbiegli się po lesie, który dobrze znali, tak że nie warto było ich gonić. Dużego Meaulnes'a nikt nie widział, nikt nie słyszał jego głosu i dano spokój wszelkim poszukiwaniom.

Było już dobrze po dwunastej, kiedy zawróciliśmy wszyscy w stronę Sainte-Agathe, powoli, z opuszczonymi głowami, zmęczerni, bladzi. Przy wyjściu z lasu, kiedy na twardej drodze tupiąc nogami strącaliśmy błoto z obuwia, słońce mocno już przypiekało. Powietrze nie było tak świeże i pełne blasku jak z rana: zaczęły się już odgłosy popołudnia. W pobliskim folwarku piał kogut — jakoś żałośnie. Zatrzymaliśmy się na chwilę przy ludziach, którzy właśnie wrócili do pracy po śniadaniu; stali oparci o płot, a pan Seurel mówił:

— To łobuzy! Na przykład ten Giraudat: wsadził sobie pisklęta za koszulę! One tam będą robić, co im się będzie chciało... Takie paskudztwo!

Robotnicy śmieli się, a mnie się wydawało, że to ze mnie. Śmieli się kiwając głowami, ale nie bardzo oburzali się na chłopców, których zresztą dobrze znali. Kiedy pan Seurel stanął znów' na czele gromadki, żeby nareszcie wracać do domu, powiedzieli nawet:

— Przechodził tędy jeden z nich, ten wysoki, już pan wie który... Pewno po drodze, jak wracał, spotkał wóz z Les Granges i podwieźli go; wysiadał właśnie tam, gdzie droga skręca do Les Granges, zabłocony był! Obszarpany! Myśmy mu mówili, że widzieliśmy, jak pan szedł z rana do lasu, ale że pan jeszcze nie wrócił. A on poszedł sobie w stronę Sainte-Agathe.

Istotnie, niedaleko stąd, przy moście, zastaliśmy Meaulnes'a siedzącego na belce i czekającego na nas; widać było, że był bardzo zmęczony. Na pytanie pana Seurel odpowiedział, że także poszedł na poszukiwanie chłopców, którzy zwagarowali. A mnie, kiedy po cichu chciałem się czegoś od niego dowiedzieć, rzekł tylko poruszywszy głową ze zniechęceniem:

— Nic. Nic...nic, co by wyglądało na tamtą drogę.

Po śniadaniu w zamkniętej klasie, pustej i ciemnej wśród tego radosnego, cichego dnia usiadł przy pulpicie, ułożył głowę na rękach i zasnął ciężkim, smutnym snem.

Pod wieczór, po namyśle, jakby miał zdecydować się na jakiś ważny krok, napisał długi list do matki. To wszystko, co pamiętam z tego ponurego wieczoru, który zakończył dzień naszej porażki.

WIELKIE PRANIE

Za wcześnie cieszyliśmy się nadejściem wiosny.

W poniedziałek po południu wytaszczyliśmy na podwórze duży stół, krzesła i zabraliśmy się do odrabiania lekcji na świeżym powietrzu jak w środku lata. Ale zaraz zrobiło się ciemno, kropla deszczu kapnęła mi na zeszyt i pospiesznie wróciliśmy do klasy. Siedząc w dużym, ciemnym teraz pokoju w milczeniu patrzyliśmy przez okno na chmury pędzące po szarym niebie.

Wtedy Meaulnes, który także patrzył na deszcz z ręką opartą o zasuwkę okna, rzekł, jakby już nie mógł zapanować nad wzbierającym w nim żalem:

— O! jeszcze o wiele prędzej chmury pędziły, jak jechałem tą bryczką z Belle-Etoile, tam na drodze...

— Na jakiej drodze? — spytał Jasmin.

Ale Meaulnes nic nie odpowiedział.

— A ja lubiłbym tak jechać, w ulewny deszcz bryczką pod parasolem — powiedziałem, żeby zagadać to pytanie.

— I czytać sobie po drodze jak w domu — rzekł jeden z chłopców.

— Wtedy nie padało, a nie chciało mi się czytać — odezwał się znowu Meaulnes — rozglądałem się po okolicy.

Ale kiedy teraz Giraudat spytał, o jaką okolicę chodziło, Meaulnes znów zamilkł. A Jasmin powiedział:

— Aha, wiem... Zawsze ta sławna historia!...

Powiedział to tonem pojednawczym i zarazem takim, jakby był trochę we wszystkim wtajemniczony. Ale mu się nie udało: nie zmieniło to wcale sytuacji i nie dowiedział się nic więcej. Tymczasem ściemniało się już na drodze, a deszcz nie ustawał. Chłopcy zaczęli się rozchodzić; podciągali bluzy mocno do góry i ukrywając pod nimi głowy biegli tak skuleni pod zimną ulewą.

Padło aż do następnego czwartku, a ten czwartek był jeszcze smutniejszy od poprzedniego. Cały krajobraz skąpany był w lodowatej mgle, jak w najgorsze dni zimowe.

Millie, która także dała oszukać się pięknej pogodzie, poprzedniego tygodnia zarządziła wielkie pranie, ale nie można było wcale marzyć o rozwieszeniu bielizny na płocie w ogrodzie; powietrze było tak zimne i wilgotne, że nawet na strychu prawie wcale nie wysychała.

Podczas rozmowy z panem Seurel przyszło matce do głowy > że korzystając z dnia wolnego od lekcji można by rozwiesić bieliznę na sznurach w klasie, napaliwszy uprzednio porządnie w piecu. Żeby

zaoszczędzić palenia w kuchni i w jadalni, można by przy tym ugotować obiad i wszyscy siedzielibyśmy cały dzień w nagrzanym klasie.

W pierwszej chwili — byłem jeszcze takim dzieckiem! — ta odmiana wydawała mi się bardzo zabawna.

Smutna to była zabawa! Całe ciepło pieca wsiąkło w moką bieliznę, i w pokoju było zupełnie zimno. Na dworze padał wciąż drobny, gęsty, zimowy deszcz. Koło dziewiątej z rana spotkałem się z Meaulnes'em w tej ponurej klasie, sam znudzony i smutny. Wyszliśmy trochę na dwór i opierając głowę o prety sztachet od ulicy patrzyliśmy w milczeniu na pogrzeb idący z jakiejś dalszej wioski przez plac Czterech Dróg. Kondukt zatrzymał się, zdjęli trumnę z wozu, na którym leżała, i postawili ją pod krzyżem, pod tym samym krzyżem, gdzie niedawno pan Pasquier widział „wywiadowców” armii zorganizowanej przez Cygana. Gdzież on był teraz, ten młody wódz, który tak świetnie prowadził atak... Proboszcz i organista wyszli, wedle zwyczaju, naprzeciw pogrzebu i smutne ich pieśni dolatywały do nas z daleka. Wiedzieliśmy, że ten pogrzeb pozostanie jedyną rozrywką w ciągu długiego ponurego dnia, który był jak mętna woda, płynąca wolno korytem.

— A teraz — rzekł nagle Meaulnes — idę spakować swoje rzeczy. Wiesz, Franku, pisałem do matki zesłego czwartku, że chcę przenieść się na dokończenie nauki do Paryża. Dziś już jadę.

Stał wciąż patrząc w stronę miasteczka i opierając ręce o prety na wysokości twarzy. Nie spytałem się nawet, czy matka jego, która była bogata i pozwalała mu na wszystkie zachcianki, i na tę ostatnią się zgodziła. Nie spytałem też, dlaczego nagle zachciało mu się jechać do Paryża.

Ale czułem w nim jednak żal, że opuszcza to kochane miasteczko, skąd wyruszył na spotkanie swojej przygody. Ogarnęła

tio

mnie nagle gwałtowna rozpacz, której w pierwszej chwili sobie nie uświadomiłem.

— Już niedługo Wielkanoc — rzekł z westchnieniem Meaulnes chcąc mi wytłumaczyć swoją decyzję.

— Jak tylko ją tam znajdziesz, to mi napiszesz, prawda? — spytałem.

— Napiszę, obiecuję ci. Przecież jesteś moim towarzyszem, moim bratem...

I położył mi rękę na ramieniu.

Powoli zaczynałem rozumieć, że to wszystko się kończy z chwilą,

kiedy on ma studiować w Paryżu; nigdy już nie będę miał tu przy sobie mojego drogiego przyjaciela.

Pozostawała jeszcze nadzieja spotkania się w tym domu paryskim, gdzie on miał odnaleźć utracony ślad swej przygody... Ale tymczasem Augustyn był tak smutny, że i ta nadzieja wydawała mi się bardzo słaba!

Meaulnes powiedział moim rodzicom o swoich projektach; pan Seurel bardzo się zdziwił, ale dał się łatwo przekonać jego argumentom. Millie, jako dobra gospodyni, głównie zmartwiła się tym, że matka Augustyna zobaczy nasz dom w stanie niezwyklego zupełnie nieporządku. Rzeczy zostały spakowane, niestety, bardzo prędko: wydostaliśmy ze skrytki pod schodami odświeżone buty Meaulnes'a, z szafy bieliznę, potem książki, zeszyty, wszystko, co może stanowić własność osiemnastoletniego chłopca.

O dwunastej, własnymi końmi, przyjechała pani Meaulnes. Poszli z Augustynem na śniadanie do „Cafe Daniel” i, kiedy tylko konie podjadły i wypoczęły, zabrała go nic nikomu nie tłumacząc. Staliśmy, żegnając ich jeszcze na progu, i wkrótce powóz zniknął za zakrętem.

Millie wytarła starannie trzewiki przed drzwiami i weszła do jadalni, żeby doprowadzić tam wszystko do porządku. A ja znalazłem się po raz pierwszy od tak dawna sam na całe długie czwartkowe popołudnie z uczuciem, że tym starym powozem odjechało już na zawsze całe moje pacholeństwo.

Co tu robić?

Pogoda poprawiła się trochę. Wyglądało tak, jakby słońce miało się pokazać.

W pustym domu trzaskały jakieś drzwi. Potem znów zapadła cisza. Od czasu do czasu ojciec przechodził przez podwórze i wracał z kubłem pełnym węgla, który dokładał do pieca w klasie. Widząc białe płachty wiszące na sznurach nie miałem najmniejszej ochoty wracać do tego nieszczęsnego pokoju zamienionego na suszarnię, gdzie zostałbym sam z perspektywą zbliżających się egzaminów, jedynej rzeczy, którą teraz powinienem się zajmować.

Dziwne: z uczuciem żalu i nudy, którego doznawałem, łączyło się inne jeszcze wrażenie, jakby — wyzwolenia. Meaulnes wyjechał, cała jego historia ostatecznie nie udała się i była skończona; wydawało mi się teraz, że przynajmniej opuści mnie ta wieczna troska, ten niepokój, to ciągle podniecenie, które nie pozwalało mi żyć normalnie, postępować tak jak wszyscy. Skoro Meaulnes wyjechał, przestałem być towarzyszem jego

przygód, bratem tego tropiciela śladów... Stawałem się znów takim samym chłopcem jak inni. I to było łatwe; żeby to osiągnąć, wystarczyło mi po prostu iść za wrodzonymi skłonnościami.

Najmłodszy Roy przechodził właśnie błotnistą drogą i kręcił w powietrzu sznurkiem, na którym uwiązane były trzy kasztany; cisnął swoją zabawkę i kasztany upadły na podwórzu, tuż koło mnie. Było mi tak nudno i smutno, że trzy razy z rzędu bezmyślnie odrzucałem mu sznurek przez ogrodzenie.

Ale jemu prędko sprzykrzyła się ta dziecinna rozrywka i pobiegł w stronę wozu jadącego właśnie drogą z Vieille-Planche. Zręcznie wdrapał się z tyłu na wóz, który się nawet nie zatrzymał. Poznałem od razu wóz i konia Delouche'ów. Jasmin sam powoził, a grubas Boujardon stał za nim: wracali z łąk.

—Jedź z nami, Franek! — krzyknął Jasmin, który już pewno wiedział o wyjeździe Meaulnes'a.

A niech tam! Pojadę. Nie uprzedzając nikogo wlałem na trzęsący wóz i razem z nimi stałem opierając się trochę o jedną z bocznych desek.

Pojechaliśmy do starej Delouche.

Siedzimy teraz w ciasnym pokoiku od tyłu, za dużą izbą w karczmie, gdzie poczciwa matka Jasmina odgrywa rolę jednocześnie właścicielki, kelnerki i sklepikarki. Biały promień słońca wpada przez okno, kładzie się na puszkach stojących na półkach i na beczkach z octem. Boujardon usiadł na oknie, zwrócony w naszą stronę i śmiejąc się swoim grubym głosem napycha sobie usta jakimiś sucharami. Otwarte, napoczęte pudełko postawił sobie tuż pod ręką, na beczce. Mały Roy aż pokrzykuje z radości. W krótkim czasie wytworzył się między nami nastrój jakiejś niewybrednej, niesmacznej poufałości. Jaśmin i Boujardon będą teraz moimi przyjaciółmi, już to widzę. Życie moje, zmieniło się raptownie. Wydaje mi się, że Meaulnes wyjechał już od dawna i że cała jego przygoda to jakaś stara historia, smutna wprawdzie, ale już skończona. -

Mały Roy wynalazł zaczętą butelkę likieru. Delouche częstuje nas wszystkich wódką, ale jest tylko jedna szklanka i pijemy każdy po kolei. Podają mnie pierwszemu, z pewnym ugrzecznieniem, tak jakbym nie był przyzwyczajony do tego wiejskiego i myśliwskiego obyczaju. Czuję się trochę skępowany. I kiedy zaczynają mówić o Augustynie, przychodzi mi ochota powiedzenia tego, co wiem o jego historii; to rozproszy moje zażenowanie i doda mi pewności siebie. W czym mogłoby to zaszkodzić, skoro wszystko, co mogło dziać się tutaj, właściwie już się skończyło?...

Czy źle opowiedziałem tę historię? Nie wywiera wcale tego wrażenia, jakiego się spodziewałem.

Moi towarzysze, jak prawdziwi wieśniacy, którzy niczemu się nie dziwią, nie dadzą zaimponować sobie byle czym.

— No więc co? To było po prostu wesele! — orzekł Boujardon. Delouche widział w Preveranges daleko ciekawsze.

A ten dwór? Na pewno znajdzie się ktoś w okolicy, kto o nim coś słyszał. A ta panienska? Meaulnes może się z nią ożenić, jak wróci z wojska.

— Lepiej byłby Meaulnes zrobił, żeby nam był to wszystko opowiedział i pokazał swój plan zamiast zwierzać się z tym wszystkim jakiemuś Cyganowi! — odezwał się jeden z chłopców.

Zaplątany w całe to niefortunne opowiadanie chcę skorzystać z okazji, zaciekawic ich nareszcie i decyduję się powiedzieć, kim był ten Cygan, skąd się tu wziął, jakie dziwne były jego losy, ale Boujardon i Delouche wcale już nie chcą mnie słuchać.

— To on wszystko popsuł — mówią. — To przez niego Meaulnes tak się zmienił, Meaulnes, który był takim dobrym kolegą! To on wymyślił wszystkie te głupie historie, te awantury, ataki po po nocy i dyrygował nami jak jakąś bandą sztubaków!

— Wiesz — rzekł wreszcie Jaśmin patrząc na Boujardona i kiwając głową — miałem wtedy rację, żem poszedł dać znać policji. On tu niejedno już zrobił i to jeszcze nie byłby koniec!

Jestem niemal skłonny podzielić ich zdanie. Może byłoby rzeczywiście wszystko inaczej się ułożyło, gdybyśmy z całej tej historii nie robili takiej tragicznej tajemnicy... Tak, wpływ Rudolfa de Galais był zgubny...

Ale kiedy tak zamyśliłem się nad tą sprawą, nagle w sklepie wszczął się jakiś hałas. Jaśmin Delouche w jednej chwili schował butelkę z wódką za beczkę, grubas Boujardon złazi z okna, następuje przy tym na leżącą zakurzoną flaszkę, która toczy się na środek izby, i chcąc ją popchnąć sam dwa razy o mało co się nie przewraca. Mały Roy popycha ich z tyłu, żeby prędzej wychodzili, i aż dusi się ze śmiechu.

Nie rozumiejąc nawet dobrze, o co chodzi, uciekam z nimi, lecimy przez podwórze i pakujemy się po drabinie na strych pełny siana. Słyszę za nami jakiś głos kobiecy wymyślający nam od łobuzów, wałkoniów i tak dalej.

— Nie spodziewałem się, że ona tak wcześniej wróci — rzekł Jaśmin szeptem.

Teraz dopiero rozumiem, że dostaliśmy się do karczmy po kryjomu jak

złodzieje i że po prostu kradliśmy tam likier i sucharki. Czuję się upokorzony jak ten podróżny, który na bezludnej wyspie przemawiał do mały biorąc ją za człowieka. Chcę już tylko jak najprędzej wydostać się ze strychu, tak mi to wszystko zbrzydło. Zresztą już się ściemniło...

Wyprowadzają mnie jakąś tylną furtką, potem przez jakiś ogródek, koło sadzawki, znajduję się wreszcie na błotnistej ulicy i — widzę światła z „Café Daniel” odbijające się w kałużach.

Nie jestem dumny z tego wieczoru. Przechodzę przez plac Czterech Dróg i przed oczami staje mi nagle uśmiechająca się do mnie surowa i braterska twarz — jeszcze jeden pożegnalny ruch ręką i powóz znika za zakrętem...

Zimny podmuch wiatru szarpnął mnie za bluzę i podmuch ten przypomina mi całą minioną zimę, tak tragiczną i tak piękną. Już znowu cała sprawa nie wydaje mi się tak prosta. W klasie, gdzie Millie czeka na mnie z obiadem, ostre przeciągi ostudzają niewystarczające ciepło pieca, wzdrygam się z chłodu słuchając w milczeniu wymówek za popołudniową włączkę. Pragnąłbym wrócić do dawnego trybu życia, ale tymczasem nie mogę nawet zasiąść na swym zwykłym miejscu przy stole, bo stołu wcale dzisiaj nie nakryto, każdy siada byle gdzie i je trzymając talerz na kolanach. W smętnym milczeniu zabieram się do placka, który miał być nagrodą za cały dzień czwartkowy spędzony w klasie, ale placek się nie udał, przypalił się na rozżarzonych fajerkach żelaznego pieca.

Wieczorem, kiedy już znalazłem się sam w naszym pokoju, rozebrałem się i położyłem czym prędzej, żeby nie dać się opanować żalowi i wyrzutom sumienia, które mnie nurtowały. Ale budziłem się dwukrotnie i zdawało mi się, że wśród nocy słyszę trzeszczenie łóżka, na którym zwykle Meaulnes przewracał się raptownie we śnie, to znowu jego lekkie kroki, tam na strychu...

Rozdział XII LISTY

W ciągu całego życia dostałem od Meaulnes'a tylko trzy listy. Leżą jeszcze dotychczas u mnie, w szufladzie komody. Za każdym razem, kiedy je odczytuję, ogarnia mnie taki sam smutek jak niegdyś, kiedy je odebrałem.

Pierwszy z nich przyszedł już w trzy dni po wyjeździe Augustyna.

„Mój drogi Franku,

Dzisiaj, zaraz po przyjeździe, poszedłem odszukać ten dom. Nic nie widziałem. Nie było tam nikogo. Nigdy nikogo tam nie będzie.

Dom, o którym mówił Rudolf, to nieduża, jednopiętrowa willa. Pokój panny de Galais musi być na pierwszym piętrze. Te okna na górze są najbardziej zasłonięte przez drzewa, ale idąc chodnikiem widzi się je doskonale. Wszystkie story są zapuszczone i trzeba być szaleńcem, żeby się spodziewać, że nagle w jednym z nich może ukazać się twarz Yvonne de Galais.

To jest właściwie bulwar... Drobny deszcz padał poprzez gałęzie drzew już prawie zielonych. Słychać ciągle ostry dzwonek przejeżdżających tramwajów.

Blisko dwie godziny chodziłem tak wzdłuż tego domu, pod oknami. Jest tam niedaleko winiarnia, do której wstąpiłem na kieliszek wina, żeby mnie nie wzięli za złodzieja, który czeka na sposobną chwilę. I potem znowu wróciłem do tego beznadziejnego czekania.

Noc już zapadała. Po trochu wszędzie zapalały się światła, tylko nie w tym domu. Na pewno nikogo tam nie ma. A przecież Wielkanoc już niedaleko.

Kiedy już miałem odejść, jakaś panienka, a może młoda kobieta — nie umiałbym tego określić — przyszła i usiadła przed domem, na ławce mokrej od deszczu. Była czarno ubrana, miała tylko rodzaj białej krezki koło szyi. Kiedy odszedłem, ona jeszcze tam była, siedziała nieruchomo pomimo wieczornego chłodu i czekała nie wiadomo na co, na kogo...

Widzisz, że w Paryżu jest więcej takich wariatów jak ja.

Augustyn”

Czas mijał. Na próżno czekałem na list od Meaulnes'a w poniedziałek świąteczny i przez wszystkie dni następne, dni, które są tak spokojne po gorączkowych przygotowaniach Wielkiego Tygodnia, iż wydaje się, że teraz trzeba już czekać lata. W czerwcu przyszedł czas egzaminów wraz ze straszliwym upałem, który stał nieporuszony nad całą okolicą, bez jednego

orzeźwiającego podmuchu. Nawet noc nie przynosiła ochłody, nie było więc ani chwili wytchnienia od tej męczarni. W ciągu tego nieznośnego miesiąca dostałem drugi list od Augustyna.

Czerwiec 189...

„Drogi przyjacielu,

Ostatnia nadzieja stracona. Dowiedziałem się o tym wczoraj wieczorem. Teraz dopiero ogarnia mnie rozpacz, której na razie nie mogłem sobie uświadomić.

Co wieczór siadywałem tam na ławce rozmyślając, czekając — mimo wszystko.

Wczoraj noc była bezgwiezdna i duszna. Ludzie rozmawiali na ulicy, pod drzewami. Ponad listowiem, czarnym w cieniu, a zielonym w świetle, jaśniały okna drugiego i trzeciego piętra. Tu i ówdzie jakieś okno otwierało się szeroko. Widzałem lampę zapaloną na stole i wkoło niej niewielki krąg światła rozpraszający trochę upalny czerwcowy mrok. Widzałem prawie całe wnętrze niektórych pokoi... Ach, gdyby to czarne okno Yvonne nagle się rozjaśniło, myślę, że miałbym odwagę pobiec na górę, zastukać i wejść...

Ta pani, o której ci pisałem, także tam była; czekała pod oknami jak ja. Myślałem, że ona może coś wiedzieć o tym domu, i zwróciłem się do niej z pytaniem.

«Wiem — odpowiedziała — że dawniej jedna panienka z bratem przyjeżdżała tu na wakacje. Ale słyszałam, że ten młody człowiek uciekł z domu rodziców i że wszelki ślad o nim zaginął, a panna wyszła za mąż. Dlatego tu teraz pusto i dom zamknięty.»

Wstałem i odszedłem. Ale już parę kroków dalej potknąłem się i o mało nie upadłem. W nocy — a była to noc poprzednia — kiedy już nareszcie kobiety i dzieci ucichły na podwórku i można było zasnąć, mimo woli zacząłem przysłuchiwać się dorożkom na ulicy. Przejeżdżały rzadko, ale kiedy jedna się oddaliła, czekałem już na drugą: słyszałem z daleka dzwonek, stukanie kopyt po bruku... To wszystko powtarzało mi ciągle: pusto w tym mieście, miłość twoja stracona, czarna noc bez końca, upał, męka...

Seurel, przyjacielu, ciężko mi bardzo...

Augustyn"

Mało zwierzeń było bądź co bądź w tych listach. Meaulnes nie pisał mi, ani dlaczego milczał tak długo, ani jakie były obecnie jego zamiary.

Miałem wrażenie, że chciał po prostu zerwać ze mną, bo skoro jego romantyczna historia była skończona, wolał pewno ostatecznie przekreślić całą swoją przeszłość. Przysłał mi tylko kilka słów powinszowania, kiedy zdałem egzaminy. We wrześniu dowiedziałem się przez jednego z kolegów, że Meaulnes spędził letnie wakacje u matki w La Ferte d'Angillon. A my byliśmy tego roku zaproszeni do wuja Florentin z Vieux-Nançay i spędziliśmy cały ten czas u niego. Tymczasem Augustyn wrócił do Paryża, i nie widziałem go ani razu.

Późną jesienią, przy końcu listopada, kiedy z ponurą gorliwością zabrałem się znów do pracy przygotowując się do zdawania dyplomu bez uczęszczania do Ecole Normale, w nadziei, że już następnego roku będę mógł dostać posadę nauczyciela, otrzymałem trzeci, ostatni list od Augustyna. Pisał:

„Przechodzę jeszcze czasem pod tym oknem. Czekam jeszcze bez cienia nadziei W sercu, po wariacku. Pod koniec każdej z tych zimnych niedziel jesiennych, kiedy już noc ma zapaść, nie mógłbym powrócić do domu, nie mógłbym zamknąć okiennic w swoim pokoju, gdybym choć na chwilę tam nie poszedł mimo nocnego chłodu.

Jestem jak ta wariatka z Sainte-Agathe, która ciągle wychodziła na próg, zasłaniała oczy od światła i patrzyła w stronę dworca, czy jej syn, który dawno już nie żył, czasami nie wraca.

Siedząc tak drżący z zimna, nieszczęśliwy na ławce wyobrażam sobie często, że nagle ktoś łagodnie bierze mnie za ramię... Odwracam się — to ona: «Spóźniłam się trochę» — mówi po prostu. I w jednej chwili wszystkie cierpienia rozpraszają się jak mgła. Wchodzimy do naszego domu. Futro jej jest przesycone mroźnym powietrzem, woalkę ma trochę mokrą, wnosi do pokoju cały smak i zapach tej mgły zimowej. Podchodzi do kominka, a ja patrzę na jej jasne włosy przysypane szronem, na jej śliczny, słodki profil nachylony nad ogniem...

Niestety! Okna w jej pokoju zawsze są zasłonięte białą firanką, a gdyby nawet teraz dziewczyna z utraconej krainy tu była, gdyby je otworzyła nagle, nie miałbym jej już nic do powiedzenia.

Nasza historia skończona. Ta zima jest martwa jak grób. Może, kiedy umrzemy, śmierć da nam dopiero klucz, rozwiązanie, ciąg dalszy i zakończenie tej całej nieszczęsnej sprawy.

Wiesz, Seurel, prosiłem cię kiedyś, żebyś o mnie myślał. Ale teraz mówię ci przeciwnie: lepiej o mnie zapomnieć, lepiej o wszystkim zapomnieć.

A. M.”

I nastąpiła znów zima, równie ponura i martwa, jak poprzednia pełna była tajemniczego życia. Plac przed kościołem pusty. Smutne podwórko szkolne od czwartej opuszczone przez uczniów... Klasa, gdzie pracowałem teraz sam i bez zapалу... W lutym dopiero po raz pierwszy spadł śnieg przykrywając jakby raz na zawsze zeszłoroczną romantyczną historię, przysypując zagubione drogi, zacierając wszelkie ślady... I starałem się postąpić tak, jak prosił mnie Meaulnes — zapomnieć o wszystkim.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział I KĄPIEL W RZECE

Palić papierosy, moczyć włosy pocukrzoną wodą, żeby się kręciły, całować się po kątach z pensjonarkami, wyśmiewać się z przechodzących ulicą zakonnic, to były ulubione zajęcia wszystkich łobuzów z okolicy. Zresztą koło dwudziestki takie łobuzy często stają się zupełnie przyzwoitymi chłopcami. Rzecz ma się gorzej, o ile chłopiec w tym wieku ma już twarz sinawą i zwiędniętą, jeśli interesuje się podejrzanymi historiami o kobietach z całej okolicy, jeśli na przykład o Gilbercie Poquelin opowiada niestworzone głupstwa, po prostu dlatego tylko, żeby się ludzie śmieli. Ale przecież i w takim wypadku sprawa nie jest beznadziejna...

Tak właśnie rzecz się miała z Jaśminem Delouche. Chodził w dalszym ciągu na kursy, nie wiem po co, bo było widoczne, że nie miał żadnej nadziei na zdanie egzaminów, a wszyscy życzyli sobie, żeby już wreszcie dał spokój nauce. W godzinach wolnych od lekcji uczył się od wuja mularstwa. I tak się jakoś złożyło, że właśnie Jasmin Delouche, Boujardon i jeszcze jeden kolega, Denis, syn pisarza, bardzo cichy i spokojny chłopiec, byli jedynymi starszymi uczniami, z którymi lubiłem utrzymywać stosunki, bo ci jeszcze pamiętali czasy Meaulnes'a.

Delouche zresztą zawsze szczerze pragnął być moim przyjacielem. Właściwie cała rzecz była w tym, że on, który był wrogiem Augustyna, chciał po prostu stać się tym, czym był Meaulnes w szkole, a w każdym razie może żałował, że swojego czasu nie został jego prawą ręką. Nie był tak ociążały, tak pozbawiony sprytu jak Boujardon i mam wrażenie, że zdawał sobie sprawę z niezwykłości, jaką Meaulnes wnosił w nasze życie. Często słyszałem, jak mówił: „Duży Meaulnes na pewno by tak zrobił”, albo: „tak mówił duży Meaulnes”.

Poza tym Jasmin był nie tylko w porównaniu z nami mężczyzną, ale i właścicielem skarbów, które świadczyły o jego wyższości: miał na przykład psa, mieszańca, niewyraźnej dość rasy, o długiej białej sierści, któremu nadał dziwną nazwę Becali; pies ten aportował kamienie rzucone mu nieraz bardzo daleko, choć poza tym nie wykazywał wcale talentów myśliwskich. Jasmin był również właścicielem starego roweru kupionego gdzieś okazyjnie i na który pozwalał nam czasem wsiąść na chwilę po skończonych lekcjach, choć na ogół wołał wieczorami uczyć na nim

jeździć miejscowe dziewczęta. Największym wreszcie jego atutem był biały, na wpół ślepy osioł, którego można było zaprzęgać do każdego wózka.

Był to właściwie osioł Dumasa, ale wuj chętnie pożyczał go Jaśminowi, zwłaszcza latem, kiedy jeździliśmy kąpać się do rzeki. Matka Jasmina dawała nam wtedy butelkę limoniady, którą kładliśmy pod siedzenie, pomiędzy wyschnięte spodenki kąpielowe. Wybieraliśmy się tak w osmiu, w dziesięciu, z panem Seurel na czele, jedni na piechotę, drudzy na wózku ciągnionym przez osła, który zostawiało się zwykle na folwarku w Grand Fons, bo droga stamtąd do rzeki była stroma i wyboista.

Pamiętam z najdrobniejszymi szczegółami jeden taki spacer, kiedy to osioł wiół nasze kostiumy kąpielowe, limoniadę i pana Seurel, a my wszyscy szliśmy piechotą za wózkiem. Było to w sierpniu. Właśnie skończyły się egzaminy; uwolnieni już od tej zmory, mieliśmy wrażenie, że całe lato, wszystka radość do nas należą, i szliśmy drogą śpiewając, nie wiedząc nawet, dlaczego tak cieszy nas to piękne czwartkowe popołudnie.

Znalazł się jednak cień na tym sielskim obrazku. W pewnej chwili spostrzeżliśmy idącą przed nami Gilbertę Poquelin. Była to wysoka, zgrabna dziewczyna o słodkim a jednocześnie trochę wyzywającym wyrazie twarzy, jak to czasem bywa u podlotków przekształcających się już w dorosłe panny. Miała na sobie dość krótką spódnicę i wysokie trzewiki. Zeszła z szerokiej drogi i skrzyła w bok ścieżką; pewno szła po mleko. Mały Cofin od razu szepnął Jaśminowi, żeby pójść za nią.

— Już nieraz się z nią całowałem... — odrzekł tamten. I zaczął opowiadać o niej i o jej przyjaciółkach różne dość podejrzanе historie, podczas gdy cała gromada skręcała za nimi ścieżką zostawiając pana Seurel samego na drodze w wózku. Kiedy jednak odeszliśmy już kawałek, chłopcy zaczęli zwalniać kroku. Było widoczne, że Delouche nie miał wcale zamiaru zaczepiać dziewczyny w obecności całej bandy, tym bardziej że szła prędko nie oglądając się i była już daleko przed nami. Skończyło się na kilku wymownych gwizdkach, pianiach kogucich dla zwrócenia jej uwagi i jak niepyszni musieliśmy zawrócić. Trzeba było teraz biec pomimo upału, żeby dogonić wózek. Nikt z nas już nie śpiewał.

Rozebraliśmy się pod wierzbami rosnącymi na brzegu. Chroniły nas one co prawda od wzroku przechodniów, ale niestety nie od gorących promieni słonecznych. Po kąpieli ubieraliśmy się stojąc na wypalonym przez słońce gorącym i zeschniętym błocie wybrzeża i marzyliśmy o

butelce limoniady od pani Delouche, którą położyliśmy dla ostudzenia w małym basenie, gdzie zbierała się woda z rzeki, odprowadzona z głównego łożyska. Były tam zawsze na dnie jakieś oślizłe wodne rośliny i obrzydliwe stworzenia podobne do stonóg, ale pomimo to woda była tak przezroczysta i świeża, że nieraz widzieliśmy, jak rybacy przyklękali i pili ją, opierając się przy tym oburącz o kamienne brzegi.

Niestety i tym razem zdarzyło się to samo co zwykle... Kiedy już ubrani po kąpieli usiedliśmy kołem na trawie i wydostawszy dwa obfuczone grube kieliszki, które woziliśmy ze sobą, zabieraliśmy się do ochłodzonej w basenie limoniady, okazało się, że było jej za mało, zwłaszcza że najpierw wypadało poczęstować pana Seurel; ostatecznie każdy z nas łyknął tylko trochę drapiącej w gardło piany, która bardziej rozdrażniła, niż gasiła pragnienie. Skończyło się na tym, że wszyscy po kolei poszliśmy do basenu, którym dotychczas gardziliśmy, i zbliżyliśmy spragnione wargi do chłodnej powierzchni wodnej. Ale nie wszyscy chłopcy byli przyzwyczajeni do tego wieśniaczego obyczaju. Wielu z nich, a do tych należałem i ja, po prostu nie umiało napić się tym sposobem: jedni nie lubili

wody, inni drżeli ze wstrętu na myśl o możliwości połknięcia stonogi, jeszcze inni nie umiając obliczyć odległości dzielącej ich od gładkiej, nieruchomej tafli zanurzyli w niej od razu połowę twarzy, przez co nabierali wody do nosa; inni wreszcie z tych wszystkich powodów razem wziętych. A jednak mieliśmy wrażenie, że to właśnie znajome miejsce nad rzeką zawierało najrozkoszniejsze zapasy świeżości z całego świata... I teraz jeszcze, kiedykolwiek, gdziekolwiek usłyszę słowo „studnia” lub „basen”, zawsze przypominam sobie to właśnie źródółko.

Wracaliśmy wśród podnoszących się wieczornych oparów, nie zastanawiając się z początku, któredy iść. Ścieżka prowadząca od rzeki do głównej drogi była właściwie łożyskiem strumyka, który wysychał całkowicie podczas upałów; pełno tam było dziur i grubych korzeni drzew nadbrzeżnych, przejście było nader niewygodne. Część chłopców poszła właśnie tędy dla zabawy. Ale Jaśmin, ja i kilku innych podążyło rozsądnie za panem Seurel piaszczystą dróżką biegnącą równolegle do tamtej, wzdłuż sąsiedniej posiadłości. Słyszeliśmy rozmowę i śmiechy kolegów idących poniżej nas, niewidzialnych w cieniu, a tymczasem Delouche zaczął opowiadać jedną ze swoich historii „dorosłego mężczyzny”. Ponad koronami drzew tworzących żywopłot unosił się rój wieczornych owadów, które widać było teraz wyraźnie na wyblakłym tle

nieba wkoło delikatnego wzoru utworzonego przez liście. Czasami z głośnym burczeniem spadał na ziemię jakiś chrząszcz. Piękny, spokojny letni wieczór... Wracalem także pełen spokoju z tej skromnej wyprawy, bez żadnych wielkich nadziei, ale i bez pragnień... I tym razem znowu Jaśmin przerwał ten stan błęgiego ukojenia.

Kiedy dochodziliśmy już do szczytu wzgórza, do miejsca, gdzie leży kilka wielkich kamieni, o których mówiono, że są pozostałością po starym zamku obronnym. Jaśmin zaczął opowiadać o różnych majątkach, które zwiedzał, a w szczególności o pewnej bardzo pięknej, ale zaniedbanej, prawie, opuszczonej posiadłości, w okolicach Vieux-Nançay; nazywała się Les Sablonnières. Mam dotychczas w pamięci jego dziwny akcent, podobny do akcentu wszystkich mieszkańców wybrzeża rzeki Allier, polegający na przesadnym, pompatycznym zaokrągleniu pewnych słów, a zacierananiu innych; Jaśmin opowiadał nam, że kilka lat temu widział

12) |
w tamtejszej kaplicy, będącej już prawie ruiną, płytę nagrobną z takim napisem:

TU SPOCZYWA KAWAI.HR DE ('.AI.AIS WIERNY SWEMU BOGU.
SWEMU KKÓLOWŁ SWEJ MILEJ.

— Aha, no... cóż jeszcze? — rzekł na to niepewnym głosem i wzruszając lekko ramionami pan Seurel, który obawiał się trochę, żeby rozmowa nie zeszała na zbyt swobodne tory, a pragnął jednocześnie pozwolić nam rozmawiać jak dorosłym mężczyznom.

I Jaśmin zaczął nam opisywać ten majątek i dwór, tak jakby tam spędził całe życie.

Mówił, że wuj jego Dumas i on sam od dawna już zaciekawieni byli szarą wieżyczką sterczącą ponad jodłowym lasem, którą widać było z drogi, kiedy się wracało z Vieux-Nançay. Okazało się, że był tam cały kompleks zniszczonych, wałących się już prawie zabudowań gospodarskich, które można było zwiedzić w czasie nieobecności właścicieli. Oprowadził ich kiedyś po całej posiadłości jakiś gajowy, którego spotkali po drodze i podwieźli. Ale podobno od tego czasu większość budynków rozebrano, zostało ich zaledwie kilka, w tym dwór. Mieszkał tam zawsze sam właściciel, już prawie całkowicie zrujnowany — stary oficer na emeryturze — i jego córka.

Jaśmin mówił... mówił... Słuchałem uważnie, czując, ale nie uświadamiając sobie jeszcze, że chodzi tu o coś bardzo mi znajomego, kiedy nagle trącił mnie łokciem, jakby mu teraz nagle przyszła do głowy

myśl, na którą nigdy przedtem nie wpadł, i powiedział po prostu — z tą właśnie prostotą, z jaką stają się wszystkie rzeczy nadzwyczajne:

— Słuchaj no, czy to czasem nie tam był Meaulnes, wiesz, duży Meaulnes? Pamiętasz tę jego wyprawę? Ależ tak, na pewno — ciągnął dalej, bo nic mu nie odpowiedziałem — przypominam sobie teraz, że gajowy mi mówił o młodym dziedzicu tego majątku, że to dziwak, który ma zawsze jakieś niesłychane pomysły...

Ale ja już nie słuchałem. Byłem przekonany, że Jaśmin miał rację i że teraz, kiedy Meaulnes już nas opuścił, teraz, z dala od niego, z dala od wszelkiej nadziei, otworzyła się przede mną nagle, tak po prostu i bez trudności droga do nieznannej krainy.

Rozdział II U WUJA FLORENTIN

O ile dotychczas byłem nieśmiałym, marzycielskim, skrytym dzieckiem, o tyle teraz, kiedy wiedziałem, że ode mnie zależy wyjście z tej ważnej sprawy, nabrałem stanowczości i pewności siebie.

Zdaje mi się, że właśnie tego wieczoru, od tego dnia, przestałem zupełnie cierpieć na kolano.

W Vieux-Nanęay mieszkała rodzina pana Seurel, między innymi wuj Florentin, kupiec, u którego spędzaliśmy koniec września. Byłem już wolny od egzaminów, nie miałem nic na głowie, nie chciałem więc czekać ani chwili i postanowiłem zaraz wybrać się do wuja. Nie miałem jednak zamiaru pisać do Augustyna, dopóki nie będę wiedział, że mogę donieść mu coś pewnego. Po co ludzi go próżną nadzieją, jeżeli istotnie wszystko przepadło, po co narażać go na gorsze niż dotąd cierpienia?

Vieux-Nanęay wydawało mi się przez długi czas najmiłszym, najrozkoszniejszym miejscem na świecie; tam najbardziej lubiłem jeździć pod koniec wakacji, a zdarzało się to dość rzadko, tylko, o ile znalazł się w okolicy niezbyt drogi powóz do wynajęcia. Wiem, że były kiedyś jakieś nieporozumienia z tą częścią rodziny, i może to dlatego Millie zawsze wynajdywała tyle trudności, kiedy chodziło o wyjazd do Vieux-Nanęay. Ale ja niewiele sobie robiłem z tych waśni rodzinnych!... I gdy tylko tam przyjechałem, czułem się zupełnie swobodnie między wujami, ciotkami i kuzynami; zajmowało mnie i bawiło mnie, i zachwycało tam mnóstwo rzeczy.

Mieszkaliśmy zwykle u wuja Florentin i ciotki Julii, którzy mieli chłopca w moim wieku — Firmina, i osiem córek, z których najstarsze — Maria-Ludwika i Karolina — miały wówczas zapewne siedemnaście i piętnaście lat. Wujostwo byli właścicielami dużego sklepu naprzeciw kościoła, sklepu, gdzie wszystko bez wyjątku można było dostać i którego klientelą było nie tylko całe miasteczko, ale i obywatelstwo okoliczne, nawet z odległych majątków.

Sklep ten, obszerny i bogato zaopatrzony, miał wiele okien wychodzących na szosę i duże oszklone drzwi wejściowe od strony placu, naprzeciw kościoła. Jedno tylko było w nim dziwne, ale nie był to fakt zbyt rzadki w tej ubogiej na ogół okolicy: nie było tam podłogi, tylko klepisko.

Z tyłu za sklepem znajdowało się sześć pokoi, | których każdy pełen był innego towaru. Był pokój z kapeluszymi, z narzędziami ogrodniczymi,

pokój z lampami... nie wszystkie już nawet dobrze pamiętam. Kiedy byłem dzieckiem wszystko to zachwycało mnie do tego stopnia, iż miałem wrażenie, że nigdy po prostu nie będę mógł nasycić się widokiem wszystkich tych cudów. I myślałem wtedy, że tylko tutaj mogą być prawdziwe wakacje!

Zycie całej rodziny koncentrowało się w wielkiej kuchni, której drzwi otwierały się wprost na sklep. Tutaj, zwłaszcza pod koniec września, schodzili się myśliwi dostarczający wujowi zwierzyny na sprzedaż i przy ogniu wesoło trzaskającym na kominie popijali już od samego rana, podczas gdy dziewczynki, które wcześniej wstawały, biegały, hałasowały, śmiały się, pożyczaly sobie chichocząc i piszcząc jakąś pachnącą wodę, którą zwilżały włosy. Na ścianie wisiały stare fotografie w ramach — różne pożółkłe już „grupy szkolne”, gdzie po długim szukaniu, bo trudno go było poznać w mundurze, znajdowałem podobiznę ojca wśród gromady kolegów z Ecole Normale.

Spędzaliśmy cały ranek tutaj albo też na podwórzu, gdzie wuj zawsze sadził dale i hodował z zamiłowaniem perlice; tam również zajmowano się paleniem kawy siedząc na skrzyniach od mydła; tutaj otwierało się wszystkie paki z różnymi ciekawymi przedmiotami, starannie pozawijanymi w papiery; często nawet nie znałem nazwy tych przedmiotów.

Przez cały dzień w sklepie pełno było okolicznych chłopów, stangretów i pobliskich majątków i innych klientów. Przed oszklonymi drzwiami, w mgłę jesiennej, stały bryczki i wozy nieraz z da lekich bardzo okolic. Siedząc w kuchni słuchaliśmy rozmów w sklepie, chcąc zawsze dowiedzieć się czegoś nowego.

Wieczorem, po ósmej, szło się z sianem do koni, które stały przy żłobach w stajni parując silnie całą powierzchnią spracowanego ciała. I wtedy cały sklep należał już do nas!

Maria-Ludwika, która była najstarszą z siostr, ale jedną z najmniejszych wzrostem, składała materiały porozrzucane w sklepie i prosiła nas zawsze, żebyśmy jej przy tym zajęciu dotrzymywali towarzystwa. Wpadaliśmy więc tam całą bandą w świetle lamp palących się przed karczmą, bawiliśmy się młynkami do kawy, fikaliśmy kozły przez kontuar; czasami Firmin przynosił ze strychu jakąś starą, pokrytą grynszpanem trąbkę i tańczyliśmy do upadłego na twardym klepisku.

Czerwienię się jeszcze teraz na myśl, że nieraz mogła panna de Galais zjawić się tutaj i zastać nas tak zbytujących jak dzieciaki... Ale stało się

inaczej. Kiedyś pod wieczór, jednego z tych gorących dni sierpniowych, kiedy właśnie rozmawiałem sobie spokojnie z Marią-Ludwiką i Firminem, ujrzałem ją po raz pierwszy...

Od razu po przyjeździe do Vieux-Nançay zacząłem rozpytywać się wuja o dobra Les Sablonnières.

— To już właściwie nie są żadne dobra — odpowiedział mi. — Wszystko sprzedali, a nabywcy, myśliwi, porozbierali stare budynki, żeby mieć większe tereny do polowania. Główny dziedziniec pałacowy wygląda jak pustynia; zarósł wrzosem i żarnowcem. Dawni właściciele zachowali sobie tylko mały parterowy domek i część folwarku. Pewno będziesz miał okazję widzieć tu pannę de Galais: sama przyjeżdża po sprawunki domowe, czasem konno, czasem bryczką, ale zawsze tym samym koniem; nazywa się Belisaire... Śmieszna stara szkapa!

Byłem tak zmieszany, że nie wiedziałem już, o co mam się pytać, żeby się jeszcze czegoś więcej dowiedzieć.

— Ale oni byli jednak bogaci? — rzekłem.

— No tak. Pan de Galais dawał wielkie przyjęcia dla syna, straszego dziwaka, który miał zawsze jakieś niesłychane pomysły. Nie wiedział już, jakie rozrywki mu wymyślać. Sprowadzali pan ny z Paryża... mnóstwo młodzieży z różnych okolic... Majątek był zadłużony, wszystko bliskie ruiny, pani de Galais już jedną nogą na tamtym świecie, a jeszcze ojciec myślał o tym, żeby się chłopak bawił, i dogadzał jego zachciankom. Jeszcze zeszłej zimy, nie, poprzedniej, urządzili wspianiałą zabawę kostiumową. Połowa gości była z Paryża, połowa z okolicy. Nakupili czy powynajmowali mnóstwo wspianiałych ubrań, konie, statek parowy. Wszystko dla tego Rudolfa. Mówili, że się żeni i że to ma być zaręczynowe przyjęcie. Ale chłopak był przecie za młody! I wszystko się urwało: chłopak uciekł z domu, nigdy się nie dowiedzieli, co się z nim stało... Dziedziczka umarła, a panna została sama z ojcem, z tym starym kapitanem.

— A czy nie wyszła za mąż? — spytałem wreszcie.

— Nie — odpowiedział wuj. — O niczym nie słyszałem. Czy może byłbyś kandydatem?

Mocno zmieszany wyznałem mu najkrócej i najdyskretniej, jak umiałem, że najserdeczniejszy mój przyjaciel, Augustyn Meaulnes, byłby może pretendentem do jej ręki.

— No — rzekł wuj uśmiechając się — jeśli mu nie zależy na posagu, to trzeba przyznać, że dobrze by się ożenił... Może by pomówić o tym z

panem de Galais? Czasem tu jeszcze stary przyjeżdża po naboje. Zawsze go częstuję moją nalewką.

Ale błagałem wuja, żeby się na razie wstrzymał. Sam również nie spieszyłem się zbyt z pisaniem do Augustyna. Te wszystkie pomyślne okoliczności zgromadzone tak niespodzianie niepokoiły mnie trochę i ten niepokój nakazywał mi chwilowo milczenie, przynajmniej do czasu, aż sam zobaczę pannę de Galais.

Nie czekałem długo. Nazajutrz przed obiadem, kiedy zmrok zapadał i chłodna, raczej jesienna już niż letnia mgła wraz z nocą ogarniała ziemię, zaszliśmy z Firminem do pustego sklepu, gdzie zastaliśmy Marię-Ludwikę i Karolinę. Mówiłem im już, w jakim celu przyjechałem tym razem tak wcześnie do Vieux-Nançay. Teraz, oparci o gładką powierzchnię kontuaru, opowiadaliśmy sobie nawzajem wszystko, co wiedzieliśmy o tajemniczej pannie (a trzeba przyznać, że wiadomości nasze były bardzo skąpe), kiedy nagle usłyszeliśmy turkot na drodze.

To właśnie ona — szepnęli.

Chwilę potem przed oszklonymi drzwiami sklepu zatrzymał się dziwny pojazd. Był to staroświecki wózek chłopski o zaokrąglonych bokach zdobnych w rzeźbioną galeryjkę, jakich nigdy nie widziałem w naszych okolicach, zaprzężony w starego siwka, który miał głowę ciągle schyloną, jakby wciąż skubał trawę na drodze, a na koźle ujrzałem — mówię to z całą prostotą, ale ze świadomością tego, co mówię — ujrzałem chyba najpiękniejszą dziewczynę, jaka kiedykolwiek istniała na świecie.

Nie widziałem nigdy połączenia takiego wdzięku z taką powagą. W obcisłym kostiumie wydawała się aż prawie za szczupłą. Na plecach zarzucony miała obszerny brązowy płaszcz, który zdjęła wchodząc do sklepu. Była najpoważniejszą wśród panien, najbardziej dziewczęcą wśród kobiet. Obfite, złote włosy zdawały się ciążyć nad kształtnym czołem, nad delikatną, prześlicznie narysowaną twarzą. Na przeczystej, białej skórze słońce zostawiło drobny ślad: dwa maleńkie piegi... Dostrzegłem tylko jedną wadę w tej całej doskonałej piękności: w chwilach, kiedy ogarniał ją smutek, zniechęcenie, czy nawet w chwilach głębokiej zadumy, na twarzy jej występowały czerwone plamy, jak u niektórych chorych, których stan jest już bardzo poważny, choć nieraz otoczenie nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale kiedy się to widziało, cały zachwyt nad jej urodą zamieniał się w przejmujące uczucie litości, tym bardziej żalodne, że było tak niespodziewane.

Takie były moje pierwsze wrażenia, kiedy patrzyłem na nią, jak

wysiadła z wysoki-go wózka, i kiedy wreszcie Maria-Ludwika przedstawiła mnie jej ze swobodą, zachęcając po cichu do rozmowy.

Podsunęli jej krzesło jbite ceratą; usiadła opierając się lekko o ladę. Widać było, że zna dobrze i że lubi stary sklep. Ciotka Julia, której dano znać o przyjeździe gościa, natychmiast zjawiała się, zaraz zaczęła rozi-iową stojąc z rękoma skrzyżowanymi na brzuchu; mówiła rozsądnie, jak przystało na prawdziwą wieinia- czkę-kupcową, a rozmowa ta opóźniała chwilę, której pragnąłem, ale przed którą drżałem — chwilę, kiedy i ja będę mógł rozmawiać z panną de Galais...

Okazało się to bardzo proste.

— Więc podobno już niedługo będzie pan nauczycielem? — zaczęła zwracając się do mnie.

Nad naszymi głowami ciotka zapalała wiszącą porcelanową lampę, która słabo rozświetlała sklep. Patrzyłem na słodką, dziecinną twarz dziewczyny, na jej oczy niebieskie i czyste i aż dziwny wydawał mi się ten jej głos, taki zdecydowany, taki poważny. Kiedy przestawała mówić, oczy jej gubiły się gdzieś i czekając na odpowiedź lekko przygryzała dolną wargę.

— Ja też chciałabym uczyć dzieci — rzekła — gdyby ojciec mi pozwolił. Uczylabym małych chłopczyków, jak matka pana...

I uśmiechnęła się chcąc dać mi do zrozumienia, że słyszała już dużo o mnie od moich krewnych.

— Bo wieśniacy zawsze są ze mną mili, uprzejmi — ciągnęła dalej — bardzo ich wszystkich lubię. Ale cóż w tym dziwnego? Z nauczycielkami zawsze się kłóca i mają do nich różne pretensje. Ciągłe historie, to o jakieś pióro zgubione, to znów, że zeszyty za drogie, albo że dzieci za mało się uczą... A ja bym jakoś dała sobie z nimi radę. Staralabym się ich jakoś przekonać i lubiliby mnie na pewno mimo wszystko. A to byłoby jednak znacznie trudniejsze.

i Nie uśmiechała się już. Zamilkła, przybrała znów pozę zamyśloną i dziecinną i jej czyste niebieskie oczy zapatrzyły się gdzieś w dal.

A my wszyscy troje milczeliśmy także, zażenowani jej swobodą mówienia o rzeczach drażliwych, o których tylko w książkach mówi się tak ładnie. Milczenie trwało przez chwilę, potem rozmowa znów się nawiązała.

Zauważyłem, że ta śliczna, młoda dziewczyna mówiła chwilami jakby z goryczą, jakby z żalem do czegoś, co spotkało ją w życiu:

— Uczylabym chłopców, żeby byli dobrzy i rozsądni — mówiła. —

Tak jak ja to rozumiem. Nie rozbudzałabym w nich pragnienia przygód, bujania po świecie i gonienia nie wiedzieć za czym, jakby na pewno pan robił, gdyby pan nimi kierował! Uczylabym ich, żeby szukali tego szczęścia, które jest nieraz blisko, a może na to nie wygląda...

Maria-Ludwika i Firmin byli zaskoczeni tym, co mówiła, tak samo jak i ja. Nie odzywaliśmy się wcale. Panna de Galais spostrzegła to; umilkła nagle prz gryzając wargę i opuszczając głowę na chwilę, ale zaraz podniosła ją znowu i uśmiechnąwszy się, jakby nic sobie z nas nie robiąc, ciągnęła dalej:

— Może, na przykład, jest na świecie taki młodzieniec, taki wariat, który szuka mnie nie wiedzieć gdzie, a ja siedzę sobie tu, w sklepie pana Florentin, spokojnie, pod tą lampą, i moje stare konisko czeka na mnie przed drzwiami... Żeby taki młodzieniec mnie tu teraz zobaczył, nie chciałby chyba wierzyć oczom własnym?

Patrząc na jej uśmiech ośmieliłem się nagle i poczułem, że teraz właśnie powinienem coś powiedzieć.

— A może ja właśnie znam tego młodego wariata? — rzekłem śmiejąc się także.

Żywo spojrzała na mnie.

W tej chwili rozległ się dzwonek i jakieś dwie babiny z koszami weszły do sklepu.

— Chodźcie do jadalni, tam będzie spokojniej — rzekła ciotka otwierając drzwi kuchenne. — Pan de Galais też tu jest, rozmawia właśnie z mężem.

Weszliśmy do kuchni. Przez całe lato, nawet w czasie upałów, paliły się z trzaskiem tam na kominku wielkie szczapy sosnowego drzewa. Teraz, tak jak w sklepie, zapalona była stara porcelanowa lampa zawieszona u pułapu. Obok wuja, przy kieliszku wina, siedział stary człowiek o łagodnej, porytej szerokimi bruzdami twarzy, milczący i pochylony, jakby przygnieciony przez wiek i wspomnienia.

Wuj Florentin wstał i uklonił się panience.

— Franek! — zawołał do mnie swoim silnym, zdrowym głosem wieśniaka, tak donośnie, jakby dzieliła nas rzeka czy też kilka hektarów pola — właśnie ułożyliśmy z panem de Galais, że urządzimy zabawę nad rzeką, w przyszły czwartek po południu. Jedni sobie zapolują, inni będą ryby łowić, ci sobie potańczą; można się będzie wykapać!... Pani przyjedzie konno, prawda? — rzekł zwracając się do dziewczyny. — Pan de Galais się zgadza. Ja już to wszystko urządzę... Ale, Franku, słuchaj! —

dodał, jakby to właśnie dopiero teraz przyszło mu do głowy — może byś
ściągnął

tu swego przyjaciela, pana Meaulnes... Meaulnes nazywa się, prawda?

Panna de Galais nagle gwałtownie pobladła i wstała pospiesznie z
miejsca. W tej chwili dopiero przypomniałem sobie, że Meaulnes wtedy z
rana, podczas rozmowy nad stawem, powiedział jej przecież swoje
nazwisko...

Kiedy na pożegnanie podała mi rękę, czułem, że choć nie po-
wiedzieliśmy sobie ani słowa, było między nami głębokie porozumienie,
które śmierć tylko mogła rozerwać, i przyjaźń wznioślejsza niż wielka
miłość...

Nazajutrz o czwartej z rana Firmin zbudził mnie stukając do drzwi
pokoju, który zajmowałem od podwórza, w sąsiedztwie perliczek. Było
jeszcze ciemno; z trudnością odnalazłem swoje rzeczy pomiędzy
lichtarzami i różnymi figurkami świętych, które wzięto ze sklepu i
poustawiano na stole, żeby ozdobić pokój. Słyszałem, jak na podwórzu
Firmin nadymał gumy mojego roweru, a ciotka w kuchni rozpalala ogień.
Słońce zaledwie wschodziło, kiedy wyszedłem z domu. Miałem pracowity
dzień przed sobą, na śniadaniu musiałem już być w Sainte-Agathe, żeby
wydu- maczyć rodzicom powód mojej długiej nieobecności, a potem
miałem udać się w dalszą drogę, żeby przed nocą zajechać do La Ferte d'
Angillon, do mojego przyjaciela — Augustyna Meaulnes.

Rozdział III ZJAWA

Nigdy jeszcze nie odbyłem większej podróży rowerem. Ta była pierwsza. Ale już od dawna, mimo tego trochę sztywnego kolana, Jaśmin po kryjomu nauczył mnie jeździć. Jeśli dla każdego normalnego chłopca jazda rowerem jest dużą przyjemnością, można sobie wyobrazić, czym było to dla mnie! Wszak niedawno jeszcze chodziłem pociągając żałośnie nogą, zlany potem, ilekroć przeszedłem więcej niż cztery kilometry. Zjeżdżać pędem z łagodnych wzgórz w głąb zielonych dolin; z góry, jak z lotu ptaka, spo-

strzegąc nagle ukryty na zakręcie drogi daleki krajobraz, który przybliża się tak prędko i zakwita tuż przed oczami; mijać całą wieś w okamgnieniu, objąć ją w jednej chwili wzrokiem... Dotychczas we śnie tylko było mi dane zaznać takich rozkoszy. Nie zniechęcały mnie nawet kawałki zlej, wyboistej drogi, bo przecież ta droga, tak błyskawicznie pochłaniana, to była droga do mego przyjaciela...

„...Tuż przed miasteczkiem widzi się wielkie koło, które wiatr obraca” — mówił mi dawniej Meaulnes opisując swe rodzinne strony. Nie wiedział, do czego służyło to koło, a może tylko udawał, że nie wie, żeby wzbudzić moją ciekawość.

Miało się już ku wieczorowi, kiedy wreszcie z daleka, pośrodku rozległej łąki, zobaczyłem to koło: prawdopodobnie służyło do wyciągania wody dla sąsiedniego folwarku. Za topolami rosnącymi na skraju łąki zaczynało się już przedmieście. Widok przed moimi oczami rozszerzał się coraz bardziej, kiedy tak jechałem ścieżką biegnącą wzdłuż krętego koryta rzeczki; wkrótce znalazłem się na moście i ujrzałem główną ulicę osady.

Łąką, za wysokimi trzcinami, które zakrywały ją przed wzrokiem, krowy wracały z pastwiska. Słyszałem dźwięk dzwonek. Szedłem teraz prowadząc rower i rozglądałem się po okolicy, do której przyjechałem z tak wielką nowiną. Do każdego domu przydrożnego wchodziło się po małym drewnianym mostku przerzuconym przez rów. Domki wydawały mi się jak łodzie stojące rzędem ze zwiniętymi żaglami w przystani, w cichy wieczór. O tej porze we wszystkich kuchniach rozpalano już ogień.

I nagle ogarnęła mnie obawa, że zburzę ten cały spokój; w jednej chwili opuścił mnie dotychczasowy zapał i odwaga. Na domiar złego przypominałem sobie, że tutaj, w La Ferte d' Angillon mieszka jedna z moich ciotek.

Była to właściwie jedna z siostr mojej babki. Wszystkie jej dzieci

powymierały, a najmłodszego z synów, Ernesta, wielkiego chłopaka, który miał zostać nauczycielem tak jak ja, pamiętałem doskonale. Dziadek, stary pisarz sądowy, niedługo przeżył swoje dzieci i ciotka wkrótce pozostała sama jedna w tym dziwacznym małym domu, gdzie dywany były zrobione z poseszywanych gałganków, stoły pozakrywane papierami we wzory z kogutów, kur i kotów, a ściany pokryte starymi dyplomami, fotografiami zmarłych członków rodziny i medalionami z ich włosami.

Jednak pomimo tych wszystkich smutnych pamiątek i tego ponurego otoczenia była to zabawna, wesoła kobiecina. Kiedy wreszcie odnalazłem dom, w którym mieszkała, i zawołałem na nią głośno przez uchylone drzwi, usłyszałem z głębi mieszkania jej cieniutki, przerażony głosik: — O rety! A tam kto znowu?

Przewróciła kawę grzejącą się na kuchni (że też o tej porze przyrządzała sobie kawę!) i nie zważając na to przybiegła... Trzymała się jak zwykle bardzo prosto, na samym czubku głowy miała rodzaj kapturka nie osłaniającego wcale jej niezwykle wysokiego i wypukłego czoła, które nadawało twarzy jej dziwny, trochę mongolski charakter. Śmiała się urywanym śmiechkiem odsłaniając przy tym resztki drobnych, ostrych zębów.

Gdy ucałowałem staruszkę, nagle poczułem, że niezdarnie szuka jednej z moich rąk i ukradkiem, z tajemniczą miną, choć byliśmy zupełnie sami, wciska w nią jakąś monetę, na którą nie śmiałem popatrzeć, ale miałem wrażenie, że była to jednofrankówka... Chciałem coś powiedzieć, zaprotestować lub podziękować, ale nie dała mi przyjść do słowa.

— No, już dobrze, dobrze! Nie ma o czym gadać! Wiedziałem, że całe życie była w ciężkich warunkach, wiecznie zadłużona, wiecznie bez pieniędzy.

— Zawsze byłem głupia, nigdy mi się nie wiodło — mówiła bez goryczy swoim wysokim, piskliwym głosikiem. Poczciwa kobiecina sądząc, że sprawy pieniężne musiały być dla mnie tak jak i dla niej stałym powodem zmartwień, nie czekała, aż opowiem jej coś o sobie, żeby podzielić się ze mną groszowymi oszczędnościami. I od tego czasu zawsze w ten sposób mnie przyjmowała.

Obiad był równie dziwny i żalorny jak całe powitanie. Staruszka to stawiała przede mną świecę, to znów zabierała pozostawiając mnie w cieniu i oświetlając nią sobie mały stoliczek zastawiony wyszczerbionym naczyniem.

—Ten garnek — mówiła — to mi w siedemdziesiątym roku Prusacy ucho od niego obtłukli, bo już nie mogli go zabrać.

Teraz dopiero, kiedy spojrzałem na uszkodzone naczynie związane z tak tragicznymi dziejami, przypomniałem sobie, że kiedyś nocowałem tu z rodzicami. Jechaliśmy gdzieś daleko, do jakiegoś doktora, którego mieliśmy się poradzić o to moje sztywne kolano. O świcie wyjechaliśmy stąd pośpiesznym pociągiem... Przypomniałem sobie cały ten wieczór, smutną kolację, dziwne historie, które dziadek opowiadał siedząc oparty na łokciach przed otwartą butelką różowego napoju.

I przypomniałem sobie, jak potem w nocy strasznie się bałem... Babka po kolacji wzięła na bok mego ojca i opowiadała mu długą historię o duchach: „Oglądam się... ach, mój drogi, co ja widzę!... Jakaś skulona babcia, szaro ubrana...” Podobno staruszka zawsze miała pasję do tego rodzaju opowiadań.

I tym razem także, kiedy po kolacji zmęczony całodzienną jazdą rowerem ułożyłem się już do snu w dużym pokoju, odziany w starą kraciastą koszulę po dziadku, babka usiadła przy mnie i zaczęła swoim najbardziej tajemniczym, piskliwym głosem:

— Mój Franeczku kochany, muszę ci opowiedzieć coś, czego jeszcze nigdy nikomu nie mówiłam...

„Dobre sobie — pomyślałem — już czuję, że całą noc oka nie zmrużę, jak dziesięć lat temu!”

I zacząłem słuchać. Staruszka kiwała głową i patrzyła prosto przed siebie, jakby nie mnie, a sobie samej opowiadała tę straszną historię:

— Wracaliśmy z wujkiem Moinel z jednego wesela. To była pierwsza zabawa, na którą wybraliśmy się po śmierci naszego biedaka Ernesta. Spotkałam tam nawet moją siostrę Adele, co jej cztery lata przedtem nie widziałam. Jeden stary znajomy wuja Moinel, bardzo bogaty człowiek, zaprosił nas i ją na to wesele swojego syna do majątku Les Sablonnières. Wynajęliśmy sobie powóz. Tak drogo to kosztowało! Wracaliśmy nad ranem, koło siódmej chyba, ale to było zimą. Słońce dopiero wschodziło... Pusto było wszędzie. A raptem na drodze, prosto przed nami, coś niby stoi. Taki nieduży człowieczek... młody chłopak ;jakis stoi, śliczny jak malowanie, nic się nie rusza, tylko się patrzy na nas. My się zbliżamy, a ja coraz lepiej widzę jego twarz, taką śliczną, taką bielutką, że aż się złękłam!...

Biorę wuja Moinel pod rękę, trzęsłam się cała jak liść; już myślałam, że to jaki anioł z nieba! Mówię do męża:

— Patrz! To jakiś duch!

A on po cichu, zły taki:

— No, widzę przecie! Cicho bądź, gaduło jedna...

Wcale nie wiedział, co ma zrobić, jak się koń zatrzymał... Z bliska to to było jakieś blade, czoło miało spocone, brudną czapkę na głowie, spodnie za długie. A głos taki cichutki:

— Ja nie jestem mężczyzną, a dziewczyną. Uciekłam, a teraz już nie mam siły dalej iść... Może byście mnie podwieźli...

Zabraliśmy ją zaraz do powozu, ale jak tylko się wgramoliła, to nam zemdląła. A zgadnij, kto to był? To była narzeczona tego młodego z Les Sablonnieres, Rudolfa de Galais, cośmy byli zaproszeni na jego wesele.

— Ale przecież nie mogło być wesela! — rzekłem — kiedy panna młoda uciekła!

— A no, nie było — odpowiedziała staruszka patrząc na mnie z zakłopotaniem. — Nie było wesela, bo ta dziewczyna sobie nie wiedzieć co w głowę wbiła; wszystko nam to potem opowiedziała. Była córką jakiegoś biednego tkacza. Wydawało się jej, że takie szczęście nie może jej się przytrafić, że to niemożliwe, że ten chłopak dla niej za młody, że te wszystkie cuda, co on jej opowiadał, były zmyślane, i jak wreszcie po nią przyjechał; dziewczyna się złękła. Chodzili często z jej siostrą we trójkę na spacer do parku biskupiego w Bourges, chociaż już zimno było o tej porze i bardzo wietrzno. Ten młodzieniec, widać dlatego właśnie, że tak kochał narzeczoną, był bardzo miły i dla starszej siostry. To ta wariatka sobie nie wiadomo co wyobraziła, powiedziała im, że idzie do domu wziąć szal, bo jej zimno, a tymczasem dla niepoznaki przebrała się za mężczyznę, i uciekła tą drogą na Paryż. Do narzeczonego napisała list, że wyjechała z innym chłopcem, którego kocha, a to była nieprawda... „Bardziej jestem szczęśliwa, żem się poświęciła — mówiła — jak gdybym została jego żoną.” No, kiedy jemu ani w głowie było żenić się z siostrą, ty wariatko! Chłopak sobie w łeb strzelił! W lesie widzieli ślady krwi, ale ciała nigdy nie znaleźli.

— A coście zrobili z tą nieszczęśliwą dziewczyną?

— Najpierw to daliśmy jej popić trochę wódki dla rozgrzewki. Potem, kiedyśmy wrócili do domu, to daliśmy jej jeść i przy piecu się przespała. Była u nas parę miesięcy. Cały dzień, póki widno było, szyła, przerabiała kapelusze i w domu sprzątała do upadłego. Całe obicie tu poprzyklejała, ot widzisz. Od tego czasu, co ona u nas była, to już jaskółki na dworze muszą się gnieździć. Ale jak się ściemniło, a robotę skończyła, to żeby nawet było

nie wiem jak zimno, wychodziła na podwórze, do ogrodu, albo tak tylko we drzwiach stała i płakała, biedactwo, aż serce się krajało patrzeć.

— No i cóż panience znowu, daj spokój, dziecko — mówiliśmy jej.

— To nic, nic, proszę pani...

I wracała.

A sąsiedzi mówili:

— Jaką to śliczną służącą pani sobie znalazła, pani Moine! Pomimo tego wszystkiego, cośmy jej mówili, koniecznie chciała jechać do Paryża i pojechała wreszcie w marcu. Dałam jej parę starych sukien, to sobie przerobiła. Moine! jej kupił bilet i jeszcze jej dał trochę pieniędzy.

I nie zapomniiała o nas; jest teraz krawcową, gdzieś koło Notre- -Dame; pisała do nas parę razy, pytała się zawsze, czy nic nie wiemy, co się dzieje w Les Sablonnières. Już kiedyś nareszcie, żeby sobie głowy tym nie nabijała, odpowiedziałam jej, że majątek sprzedany, że panna wyszła za męża, a młody dziedzic zginął bez śladu. Myślę, że i tak jest naprawdę. Od tego czasu to nasza Waler- cia już rzadziej pisuje...

Historia, którą opowiedziała mi babka tym cieniutkim, rzeczywiście niesamowitym trochę głosem, nie była wprawdzie historią o duchach, ale mimo to wzbudziła we mnie głęboki niepokój. Bo przecież przysięgaliśmy Rudolfowi, że w każdej okoliczności będziemy starali się przyjść mu z pomocą, jak bratu, a teraz właśnie nadarzała się sposobność ku temu...

Ale czyż mogłem, w chwili kiedy miałem stać się zwiastunem takiej radosnej nowiny, od razu mieć szczęście mego przyjaciela całą tą historią? Po co narażać go na bezcelowe poszukiwania? Mieliśmy wprawdzie adres panny de Galais w Paryżu, ale gdzie szukać Cygana, który włóczył się po świecie... „Zostawmy szaleńców ich własnemu losowi” — pomyślałem. Delouche i Boujardon byli bliscy prawdy: ile biedy już narobił nam ten romantyczny Rudolf! I postanowiłem z niczym się nie odzywać, aż Meaulnes i panna de Galais będą po ślubie.

Byłem zupełnie zdecydowany, ale męczyło mnie wciąż jeszcze wrażenie, jakby ta historia była jakąś złą wróżbą na przyszłość.

Otrząsnąłem się jednak prędko z tak nedorzecznych myśli.

Świeca dopalała się; komar, bzykając smętnie, kręcił się koło płomienia. Ale staruszka ze schyloną głową w aksamitnym kapturku, z którym nie rozstawała się nawet na noc, z łokciami opartymi na kolanach

wciąż jeszcze powracała do szczegółów skończonego opowiadania... Chwilami z nagłą spoglądała na mnie, żeby zobaczyć, jakie to na mnie robi wrażenie, a może tylko, żeby się przekonać, czy czasem nie zasnąłem. Zauważywszy to przymknąłem wreszcie oczy, przyłożyłem głowę do poduszki i udawałem, że istotnie zasypiam.

— No, już ci się spać chce... — rzekła cichym, trochę zawiedzionym głosem.

Zrobiło mi się żal kobieciny i zaprzeczyłem:

— Ależ nie, babciu, naprawdę słucham...

— Ale, właśnie że zasypiasz — odpowiedziała. — Zresztą rozumiem naturalnie, to cię nic nie może obchodzić. Tyle ci opowiadam o ludziach, których na oczy nie widziałeś...

Tym razem stchórzyłem i z całą świadomością zamilkłem.

Rozdział IV DOBRA NOWINA

Nazajutrz, kiedy wcześnie z rana znalazłem się na głównej ulicy miasteczka, pogoda była tak piękna, tak wakacyjny spokój panował w powietrzu, zewsząd otaczało mnie tyle miłych, dobrze znanych, swojskich odgłosów, że wróciła mi od razu cała poprzednia radość i pewność siebie. Byłem przecież zwiastunem radosnej nowiny...

Meaulnes mieszkał z matką w dawnym gmachu szkolnym. Po śmierci ojca — który już od dawna był na emeryturze i miał poza tym sporo pieniędzy z odziedziczonego, dość dużego spadku — Augustyn wpłynął na matkę, żeby nabyła ten dom, w którym stary nauczyciel przez dwadzieścia lat wykładał i w którym on sam, jako dziecko, uczył się pierwszych liter. Trzeba przyznać, że dom ten nie miał miłego wyglądu; był to ciężki, czworokątny budynek, typowy urząd gminny, gdyż takie było jego pierwotne przeznaczenie; parterowe okna wychodzące na ulicę umieszczone były tak wysoko, że od zewnątrz nie można było do nich zajrzeć; podwórko odgródzone było od wsi wysokim murem zasłaniającym widok całkowicie, nie rosło tam ani jedno drzewo; było to najbardziej ponure i smutne podwórze szkolne, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem...

W ciemnym korytarzu, z którego wychodziło czworo drzwi, spotkałem panią Meaulnes niosącą z ogrodu duży tobiół z upraną bielizną; widocznie musiała ją już bardzo wcześnie z rana powiesić na sznurach. Jej siwe włosy, nieporządnie zaczesane, zwisały kosmykami wkoło twarzy, którą pamiętałem jeszcze ładną i gładką, a która teraz wydała mi się obrzękłą, jakby po nieprzespanej nocy; głowę miała schyloną, jakby się nad czymś głęboko i smutno zamyśliła.

Ale zobaczywszy mnie poznała od razu i uśmiechnęła się.

— W sam czas pan przyjeżdża — rzekła. — Widzi pan, zbieram właśnie bieliznę Augustyna z ogrodu, bo on dziś wyjeżdża i muszę jeszcze to wszystko uprasować. Całą noc siedziałam nad jego rzeczami i nad rachunkami. Pociąg odchodzi o piątej, ale jakoś wszystko zdążymy...

Widząc ją tak zdecydowaną można było sądzić, że to ona sama nazaczyła datę wyjazdu syna, tymczasem, myślę, że nie wiedziała nawet, dokąd się wybierał.

— Niech pan idzie na górę — dodała — on tam siedzi w „gminie”; pisze coś.

Szybko wdrapałem się po schodach i od razu zobaczyłem przed sobą

drzwi, na których widniał jeszcze stary napis „Urząd Gminny”, otworzyłem je i znalazłem się w wielkiej sali o czterech oknach: dwa wychodziły na ulicę, drugie dwa — na ogród i polanę. Na ścianie wisiały poźółkłe podobizny prezydentów Grevy i Carnota. W głębi, na niewielkim podwyższeniu, stał jeszcze stół obity zielonym sukniem i wkoło niego krzesła, na których dawniej zasiadali dygnitarze miasteczka. W dużym fotelu, przeznaczonym niegdyś dla burmistrza, siedział Meaulnes i pisał coś maczając pióro w fajansowym starym kałamarzu w kształcie serca. Dziwną wydała mi się myśl, że to tu właśnie, w tym wymarzonym wprost zakątku dla starego emeryta, Meaulnes wypoczywał po swoich szalonych wędrówkach...

Spostrzegł mnie i wstał, ale nie z takim pośpiechem, jakiego się spodziewałem.

— Seurel? — spytał tylko z głębokim zdziwieniem w głosie. Był to zawsze ten sam wysoki, barczysty chłopak o wyrazistej, silnie zarysowanej twarzy, z ogoloną głową; tylko nad górną wargą rysował się już wyraźnie cień wąsa. Zawsze to samo szczere, jasne spojrzenie... Tylko coś, jakby mgła smutku, przysłaniało młodzieńczy żar lat poprzednich, chwilami czuło się, że ów żar może wybuchnąć znowu z dawną siłą...

Meaulnes wydał mi się bardzo zmieszany moim nagłym wtargnięciem. W jednej chwili znalazłem się koło niego na podwyższeniu, ale rzecz dziwna, nie podał mi nawet ręki. Patrzył na mnie stojąc z rękami skrzyżowanymi za plecami, oparty o stół z głową w tył przechyloną, widocznie zmieszany moją obecnością. Tak jak niegdyś, jak zawsze zresztą, czułem, że powziął już jakąś decyzję, ale nie wie, jak mi o tym powiedzieć; tak jak wszyscy ludzie skłonni do samotności — podróżnicy, wędrowcy, myśliwi — mówił mało i miał pewne trudności w wypowiedzeniu się. I teraz, kiedy tak przed nim stałem, namyślał się nad tymi słowami, których trzeba mu będzie użyć.

Tymczasem zacząłem więc opowiadać mu wesoło, jak przyjechałem tu poprzedniego wieczora, jak spędziłem wieczór u babki Moinel i jaki byłem zdziwiony widząc panią Meaulnes zajęta przygotowaniami do jego wyjazdu.

— Ach tak? Mówiła ci? — spytał.

— Tak, mówiła, ale to chyba nie będzie długa podróż?

— Owszem, bardzo długa.

Zaskoczony tą niespodziewaną wiadomością, wiedząc z drugiej strony, że to, co mam do powiedzenia, zniweczy dotychczasowe jego

projekty, zamilkłem na chwilę nie wiedząc, od czego mam zacząć.

Ale on tymczasem odezwał się i mówił tak, jakby się chciał przede mną usprawiedliwić.

— Słuchaj, Seurel, ty wiesz, czym była dla mnie moja dziwna przygoda z Sainte-Agathe. To był cel mojego życia, jedyna moja nadzieja. Bez tej nadziei jakże mogłem istnieć, jak dać sobie radę?... Jak tu żyć po prostu, zwyczajnie jak wszyscy? Wreszcie jednak, tam, w Paryżu, spróbowałem żyć tak jak inni ludzie, bo wiedziałem, że już wszystko skończone, że już nawet nie ma po co szukać tajemniczego dworu. Ale czyż człowiek, który raz, choćby przez krótką chwilę, był w raj, może potem zadowolić się zwyczajnym ludzkim życiem? To, co inni nazywają szczęściem, mnie wydało się pośmiewiskiem. I wiesz, ten dzień, kiedy postanowiłem wreszcie żyć, tak jak żyją inni, nie przestaje być dla mnie gorzkim, dręczącym wyrzutem...

Siedział na estradzie ze schyloną głową i słuchałem patrząc na niego i nie wiedząc już, co mam sądzić, co wnioskować z tych niezrozumiałych zwierzeń.

— Wytlumacz mi to jaśniej! — rzekłem wreszcie. — Po co jedziesz w tę daleką podróż? Czy masz odkupić tym jakąś winę? Czy coś obiecałeś?

— No, więc tak — odpowiedział. — Czy pamiętasz tę obietnicę, którą dałem Rudolfowi?

— Ach! — odetchnąłem z ulgą — więc to o to tylko chodzi?

— O to, i może jeszcze o odkupienie jakiejś winy. O jedno i drugie właściwie.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie którego układałem sobie już to, co miałem powiedzieć, gdy tymczasem Meaulnes zaczął znowu:

— Jest jedno tylko, jedna jedyna rzecz, której mógłbym się spodziewać. Naturalnie, że chciałbym jeszcze raz zobaczyć pannę de Galais, po prostu raz jeszcze spojrzeć na nią... Ale teraz wiem na pewno, że wtedy, kiedy przypadkiem zawędrowałem tam, byłem w stanie takiej czystości, takiej doskonałości wewnętrznej, do jakiego już nigdy nie będę mógł powrócić. Tylko przez śmierć, iak ci już raz pisałem, mógłbym odnaleźć piękno tamtej chwili...

I nagle, zupełnie innym głosem, z dziwnym podnieceniem, rzekł podchodząc do mnie bliżej:

— Ale słuchaj, Seurel! Ta cała historia, której nie rozumiesz, ta długa podróż, ten błąd, który muszę naprawić, w pewnym sensie jest także

dalszym ciągiem mojej przygody.

Zamilkł, jakby z trudnością zbierał rozproszone wspomnienia. Straciłem już jedną okazję dojścia do słowa, za nic na świecie nie chciałem przepuścić drugiej! Jakżeż źle się jednak stało, że tak się pośpieszyłem! Nieraz potem gorzko żałowałem, że nie wysłuchałem do końca wyznań iftojego przyjaciela.

Powiedziałem więc wreszcie to zdanie, przygotowane od dawna, a które w tej chwili nie pasowało już do tego, na co miało być odpowiedzią. Nie ruszyłem się z miejsca, podniosłem tylko nieznacznie głowę.

— A gdybym ci właśnie powiedział, że nadzieja nie jest stracona?

Meaulnes spojrzał na mnie i nagle odwrócił głowę czerwieniąc się gwałtownie. Nigdy w życiu nie widziałem takiego rumieńca: w jednej chwili twarz jego zapłonęła tak, jakby krew z całego ciała w nią uderzyła; czułem, że z szumem musiała bić o jego skronie...

— Co chcesz powiedzieć? — szepnął ledwo dosłyszalnym głosem.

Wtedy opowiedziałem wszystko, co wiedziałem, co zrobiłem, i że wobec takiego obrotu rzeczy sprawa przedstawia się tak, jakby to sama Yvonne de Galais mnie tu do niego przysłała. Meaulnes był teraz straszliwie błądy.

W czasie całego mojego opowiadania, którego słuchał w milczeniu z głową spuszczoną, zgarbiony, jak ktoś, kogo przyłapano i kto nie wie, jak się bronić ani gdzie się ukryć — przerwał mi, pamiętam raz tylko. Mówił mi, że cały majątek był zniszczony, że większość zabudowań była rozebrana, tak że wiele z tych rzeczy, które tam widział, już nie istnieje.

— Ach, tak — rzekł — widzisz! (jakby tym chciał uzasadnić swoje postępowanie, swoją rozpacz i beznadziejność) widzisz: nie ma już nic z tego...

Na zakończenie, sądząc jednak, że to rozwieje resztę jego wątpliwości i jego niezrozumiały smutek, powiedziałem mu o zorganizowanej przez wuja zabawie, o tym, że panna de Galais ma przyjechać tam konno i że on też jest zaproszony... Ale ciągle był jednakowo przybity i nic mi nie odpowiadał.

— Musisz zaraz powiedzieć matce, że nie jedziesz — rzekłem wreszcie zniecierpliwiony. — Chodźmy...

I kiedy byliśmy już na schodach, spytał mnie z wahaniem w głosie: — A co z tą zabawą?... Czy myślisz, że naprawdę mam jechać na tę zabawę?

— Jak to? rozumie się — odpowiedziałem zdumiony.

Wyglądał na kogoś, kogo prowadzą siłą.

Kiedy znaleźliśmy się na dole, zapowiedział matce, że zostanie u nich na śniadaniu i na obiedzie, że będzie nocował i że on sam nazajutrz z rana wynajmie sobie rower i pojedzie ze mną do Vieux-Nançay. •

— Ach, jak to dobrze — odpowiedziała pani Meaulnes kiwając głową, jakby się spodziewała tej nieoczekiwanej zmiany projektów.

Zasiadłem w jadalni i przyglądałem się różnym trofeom myśliwskim, rzeźbionym fajkom i sztyletom, którymi zawieszono były ściany tego pokoju. Wszystko to poprzywoził ze swoich dalekich podróży jakiś stryj Augustyna — marynarz.

Tymczasem Meaulnes zostawił mnie na chwilę samego i poszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie matka uprzednio spakowała jego rzeczy. Słyszałem, jak po cichu mówił jej, żeby nie rozpakowywała walizki, bo pomimo tego opóźnienia prawdopodobnie jeszcze wyjedzie.

Rozdział V ZABAWA NAD RZEKĄ

Z trudem nadążałem za moim przyjacielem na drodze do Vieux-Nançay. Jechał jak wytrawny kolarz; nie schodził z roweru na pochyłościach. Jego wczorajsza niezrozumiała dla mnie niepewność i przygnębienie zamieniły się w gorączkowe podniecenie, w gwałtowne pragnienie zbliżenia się do celu jak najprędzej, co już nawet zaczęło mnie trochę niepokoić. U wuja wciąż był w tym samym nastroju; widziałem, że nie był wprost w stanie zainteresować się czymkolwiek aż do chwili, kiedy następnego rana około dziesiątej znaleźliśmy się wszyscy na bryczce, która nas miała zawieźć nad rzekę.

Były to już ostatnie dni sierpnia. Lato miało się ku końcowi. Z pożółkłych trochę kasztanów gdzieś opadały owoce i kolczaste łupiny pękając na ziemi zasypywały białe drogi. Zabawa miała się odbyć niedaleko folwarku Les Aubiers, a łąki nad rzeką, dokąd udawaliśmy się, położone były mniej więcej o jakie dwa kilometry dalej od nas niż posiadłość Les Sablonnières. Od czasu do czasu na drodze spotykaliśmy innych gości jadących na wózkach, a także i młodych ludzi konno, zaproszonych dość bezceremonialnie przez wuja, jakoby w imieniu pana de Galais... Tak jak niegdyś, w zabawie tej mieli wziąć udział bogaci i ubodzy, obywatele ziemscy i okoliczni wieśniacy. Dzięki temu właśnie spotkaliśmy tam Jasmina Delouche, który poznał się kiedyś z moim wujem przez leśniczego Baladier.

— I to on — rzekł Meaulnes ujrawszy go — miał klucz całej tej zagadki, kiedy my szukaliśmy aż w Paryżu! Rzeczywiście można oszaleć! I żal ten wzrastał się za każdym razem, kiedy na niego spoglądał. Ale Jaśmin, który wprost przeciwnie, sądził, że zarobił sobie naszą wdzięczność, jak na złość nie opuszczał nas i towarzyszył nam jadąc tuż przy bryczce. Widać było, że przyłożył wiele starań do swego stroju, bez wielkiego zresztą rezultatu; miał na sobie żakiet obszyty listewką, którego poły poruszane przez wiatr żałośnie łopotały o tylne koło roweru.

Pomimo usiłowań, żeby być jak najbardziej uprzejmym, jego zwiędła twarz nie podobała się nikomu. We mnie budził raczej niejasne uczucie litości. Ale nad kimże mógłbym się nie litować w ciągu tego dnia? Dotychczas jeszcze nie mogę wspomnieć tej zabawy bez żalu, bez uczucia jakiegoś dławiącego bólu. Tak bardzo cieszyłem się | góry na ten dzień! Pozornie wszystko układało się tak, jakby czekało nas samo szczęście. A było go tak mało...

Jak pięknie jednak było nad tą rzeką! Tu, gdzie stanęliśmy, kończył się właśnie łagodny spadek wzgórz, i łączki porośnięte miejscami olszyną i ogrodzone niskimi płotkami wyglądały jak oddzielne małe ogródki. Po drugiej stronie brzeg był dość wysoki, stromy, skalisty; dalej pagórki pokryte świerkami i na najdalszych z nich gdzieś spostrzegano się wieżyczkę jakiegoś romantycznego zameczku. Czasami dolatywało nas szczekanie psów.

Do tego uroczonego miejsca doprowadziły nas od szosy kręte ścieżki, między łączkami, miejscami najeżone białymi kamykami, miejscami znów pokryte piaskiem — ścieżki, które w sąsiedztwie rzeki czasami zmieniały się w strumienie. Gdyśmy przechodzili tamtędy, nieraz gałązki dzikich porzeczek łapały nas za rękawy. Chwilami stąpaliśmy wśród rozkosznej świeżości zielonego jaru, to znów, wychodząc z gęstwiny, szliśmy w pełnym blasku słonecznych promieni zalewających rozległą dolinę. Po drodze widzieliśmy na przeciwnym brzegu jakiegoś człowieka siedzącego na skale, powolnym ruchem zapuszczającego sieć w spokojną toń rzeki. Ach, jakże pięknie było dokoła!

Usiedliśmy wreszcie na trawie, w cieniu niewielkiego brzozywego gaju. Przed nami rozciągała się łąka ogromna i równa, na której można było urządzić nieskończoną ilość gier.

Powyprzęgano konie i zaprowadzono je do najbliższego folwarku, Les Aubiers. Zabraliśmy się do rozpakowywania zapasów i do ustawiania małych składanych stolików, o których wuj przezornie pomyślał.

Teraz trzeba było znaleźć ochotników, którzy stojąc na zakręcie szosy mieli kierować resztę gości na wybrane przez nas miejsce. Oczywiście zgłosiłem się od razu wraz z Augustynem i udaliśmy się na drogę, tam gdzie krzyżowało się parę ścieżek i gdzie skręcała boczna droga do dworu Les Sablonnières.

Chodziliśmy tam i z powrotem rozmawiając o wspólnej przeszłości, starając się jakoś skrócić sobie czas oczekiwania. Przyjechał jeszcze jakiś wóz z Vieux-Nançay, nieznajomi chłopci z dziewczyną, przybraną wstążkami, potem długo — nic. Wreszcie jakieś troje dzieci w wózeku zaprzężonym w osła; były to dzieci dawnego ogrodnika z Les Sabiorinières.

— Zdaje mi się, że poznają te dzieci — rzekł Meaulnes. — Mam wrażenie, że to te, które wtedy, pierwszego wieczoru, zaprowadziły mnie na obiad...

Ale w chwili, kiedy to mówił, osioł stanął i nie chciał iść dalej, a dzieci

zeskoczywszy z bryczki zaczęły go bić, kłuć i popychać, ile siły starczyło — i Meaulnes, zawiedziony, rzekł, że się omylił...

Ja jednak spytałem ich, czy nie spotkali na drodze pana i panny de Galais. Jedno odpowiedziało, że nie, drugie — „zdaje się, tak, proszę pana”, i ostatecznie nie dowiedzieliśmy się niczego.

Wreszcie dzieci zjechały w bok na łąki; jedno prowadziło osła za uzdę, inne pchały wózek z tyłu. Znow rozpoczęło się oczekiwanie. Meaulnes wpatrywał się bez ustanku w drogę prowadzącą do Sablonnières i miałem wrażenie, że teraz prawie z trwogą czekał na dziewczynę, której niegdyś tak rozpaczliwie poszukiwał. Ogarnęło go dziwne, chwilami wprost śmieszne rozdrażnienie, które przypisywał spotkaniu z Jaśminem. Z małego pagórka, na który wdrapaliśmy się, żeby lepiej widzieć drogę, mogliśmy również obserwować część łąki, gdzie właśnie Delouche wśród jakiejś gromadki młodzieży gestykulował z ożywieniem.

— Popatrz no na tego bałwana, jak to się puszy! — rzekł do mnie Meaulnes.

— Dajże mu spokój — odpowiedziałem — biedaczysko, robi, co może!

Ale Meaulnes nie mógł się uspokoić. Właśnie jakiś zając czy może wiewiórka musiała wyskoczyć z krzaków, bo Jaśmin widocznie chcąc się popisać rzucił się nagle w tym kierunku, jakby miał nadzieję, że ją dogoni.

— No, popatrz, jeszcze tego brakowało! Zwierzynę będzie wystawiał! — wybuchnął Meaulnes, jakby to już przechodziło granice jego cierpliwości.

Tym razem roześmiałem się; Augustyn także zresztą, ale wesołość ta rozwiązała się błyskawicznie.

Po jakimś kwadransie milczenia odezwał się ponuro:

— A jeśli ona wcale nie przyjedzie?

— Ale przecież obiecała! Bądźże cierpliwy — odpowiedziałem.

146

A

Zaczął się znowu wpatrywać w drogę; po chwili jednak nie mogąc dłużej znieść tego oczekiwania zwrócił się do mnie:

— Słuchaj, Franek — rzekł — zejść z innymi na łąkę. Nie wiem, dlaczego wszystko tak się teraz przeciwko mnie składa, ale jeśli tu zostanę, to ona na pewno nie przyjedzie. To jest po prostu niemożliwe, żeby ona naprawdę tu, na tej drodze, mogła się ukazać...

I poszedł zostawiając mnie samego. Zrobiłem kilkadziesiąt kroków po

szosie, potem dla różnaitości skręciłem w boczną drogę i na pierwszym zakręcie zobaczyłem Yvonne de Galais jadącą na swoim starym siwku, który tym razem był tak pełen animuszu, że widziałem, jak raz po razu ściągała mu cugle, żeby go zmusić do jazdy stępa. Przy koniu kroczył powoli pan de Galais. Po drodze prawdopodobnie na zmianę dosiadali jedynego wierzchowca, który pozostał im w majątku.

Podbiegłem do nich, a Yvonne uśmiechnęła się ujrzawszy mnie samego, zeskoczyła lekko na ziemię i podając lejce ojcu podeszła do mnie.

— Jak to dobrze — rzekła — że pan tu przyszedł sam, bo nie chcę nikomu pokazywać mojego starego Belisaire i nie chcę, żeby stał razem z innymi końmi. Po pierwsze już taki biedaczek stary i brzydki, a poza tym zawsze boję się, żeby mu inne konie jakiej krzywdy nie wyrządziły. A ja tylko na nim jedynym jeżdżę i jak on zdechnie, to już wcale nie będę konno jeździła...

Wyczułem u niej, tak samo jak u mego przyjaciela, że pod tym czarującym ożywieniem, pod tym wdziękiem, pozornie tak spokojnym, kryje się niecierpliwość i prawie niepokój. Mówiła znacznie prędzej niż zwykle. Pomimo że policzki jej zaróżowione były jazdą, dostrzegłem wkoło oczu, na czole jakąś nagłą bladość, z której wyczytać mogłem całe jej wzruszenie.

Postanowiliśmy, że przywiążemy konia do drzewa, w niewielkim lasku, blisko drogi. Pan de Galais, milczący jak zwykle, wyciągnął spod siodła rzemień i uwiązał starego Belisaire trochę za krótko, jak mi się wydawało. Obiecałem mu, że natychmiast przyślę siana, owsa i słomy.

I panna de Galais zeszła na łąkę, a ja wyobrażałem sobie, że musiała iść lak samo wtedy nad brzeg jeziora, kiedy Meaulnes ujrzał ją po raz pierwszy.

Podawała ramię ojcu, a drugą ręką odstaniała lekko przy szyi płaszcz, którym była owinięta, i zbliżała się do gości z tym swoim poważnym i jednocześnie dziecinnym wyrazem w oczach. Szedłem koło niej. Rozproszone po łące gromadki momentalnie skupiły się, żeby ją przywitać, i przez króciutką chwilę wszyscy zamilkli patrząc z podziwem na zbliżającą się panienkę.

Meaulnes stał razem z innymi młodymi ludźmi i prócz wysokiego wzrostu nic nie wyróżniało go z tej gromady; zresztą było tam kilku niewiele niższych od niego. Nie zrobił nic, co mogłoby zwrócić na niego uwagę; ani żadnego ruchu, ani kroku naprzód. Widziałem, jak stał tak nieporuszony, szaro ubrany, z oczyma utkwionymi w przepiękną

dziewczynę, która się do niego zbliżała. W ostatniej jednak chwili zupełnie podświadomym ruchem, z zażenowaniem, szybko przeciągnął dłoń po krótko ostrzyżonej głowie, jakby nagle wśród tyłu starannie uczesanych towarzyszy powstydzil się swojej mocnej, z chłopska ogolonej głowy.

Wreszcie grupa otoczyła pannę de Galais. Przedstawiano jej dziewczęta i młodych ludzi, których nie znała... Już miała przyjść kolej na mego przyjaciela i sądzę, że w tej chwili nie byłem chyba mniej wzruszony od niego. Chciałem sam go przedstawić, ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Yvonne podeszła do niego i ze swobodą i zadziwiającą powagą rzekła:

— My z panem dawno się znamy.

I podała mu rękę.

Rozdział VI ZABAWA NAD RZEKĄ

(dokończenie)

Znowu jacyś inni goście podeszli, żeby się przywitać z panną de Galais, i rozdzielili młodą parę. Jakoś tak się nieszczęśliwie złożyło, że przy śniadaniu nie siedli do jednego stołu, ale mimo to miałem wrażenie, że mój przyjaciel nabrał znów otuchy i pewności siebie. Kilka razy spozostzegając mnie z daleka znudzonego pomiędzy panem de Galais a Jaśminem Delouche dawał mi ręką wesole, przyjazne znaki.

Dopiero pod koniec popołudnia, kiedy różne gry, kąpiel w rzece albo przejażdżki łódką rozproszyły po trochu całe towarzystwo, Meaulnes i panna de Galais nareszcie się odnaleźli. Rozmawialiśmy właśnie z Delouche'em siedząc na składanych krzeselkach, które przywieźliśmy ze sobą, kiedy nagle Yvonne, która najwidoczniej nudziła się w gromadce otaczającej ją młodzieży, opuściła ją bezceremonialnie i podeszła do nas. Pamiętam, że spytała, dlaczego nie jeździmy łódką po jeziorze jak inni.

— Trochę jeździliśmy — odpowiedziałem — ale już się nam znudziło, to takie monotonne.

— No, to dlaczego nie przejechalibyście się po rzece?

— O, tam jest za silny prąd, mógłby nas porwać razem z łódką! — odpowiedziałem.

— Tu przydałaby się motorówka — rzekł Meaulnes — albo taki statek parowy jak ten dawny.

— Już nie mamy tego statku — rzekła prawie szeptem. — Sprzedaliśmy go.

I zapadło nagle przykre milczenie.

Delouche skorzystał z tego, żeby nam oznajmić, że idzie odszukać pana de Galais.

— Już ja go znajdę — zapewniał nas.

Rzecz szczególna! Ci dwaj ludzie, tak w niczym do siebie niepodobni, przypadli sobie nawzajem do gustu i od rana po prostu nie rozstawali się. Ojciec Yvonne wziął mnie nawet raz na stronę, żeby mi powiedzieć, że mam miłego, dobrze wychowanego i taktownego przyjaciela. Kto wie, czy nawet nie powierzył mu wielkiego sekretu, dotyczącego istnienia biednego Belisaire i miejsca, gdzie był ukryty.

Chciałem odejść również, ale widząc, że Meaulnes i ona byli wciąż zażenowani, wciąż jakby zalęknieni, sądziłem, że może lepiej będzie,

abym pozostał...

Ale ani dyskretne usunięcie się Jasmina, ani mój zbytek przezorności nie na wiele się przydały. Nawiązała się rozmowa, lecz Meaulnes, z dziwnym uporem, z którego na pewno nie zdawał sobie sprawy, powracał ciągle do minionej świetności majątku.

I Yvonne, której sprawiał tym widoczną, szaloną przykrość, wciąż musiała odpowiadać, że nic już nie ma, że nie istnieje już stary dom, pełen tajemniczych zakamarków, że wielki staw jest zasypyany, że dzieci, które Meaulnes pamiętał w fantastycznych kostiumach, porosły i porozjeżdżały się...

— Ach, tak... — mówił za każdym razem z rozpaczą i takim tonem, jakby każda z tych zmian była argumentem przeciwko Yvonne lub przeciwko mnie.

Szliśmy tak obok siebie... Wszelkimi sposobami starałem się zmienić nastrój, ale Meaulnes raz po raz jakimś nowym pytaniem powracał do nękającej go myśli. Dopytywał się szczegółowo o wszystko, co widział parę lat temu, o dziewczynki, które spotkał w alei świerkowej, o stangreta, który odwoził go potem starą lan- dara, o kuce, które wtedy biegały na wyścigach... „Kuce także sprzedane? Nie ma już koni w Sablonnières?”

Odpowiedziała, że nie ma. Nie przyznała się do starego Be- lisaire.

Wtedy zaczął się pytać o różne przedmioty, które były w jego pokoju: o świeczniki, o wielkie lustro, o starą lutnię z pozrywanymi strunami... Rozpytywał się o to wszystko z chorobliwym uporem, jakby chciał się przekonać, że nic już nie pozostawało z jego czarnej przygody, że dziewczyna nie może przynieść mu jakiegoś szczątku zatopionego królestwa, który świadczyłby, że oboje nie śnili, jak nurek, któremu udało się wyłowić na głębiny kamyk oplątany przez wodorosty.

1 ona, i ja nie mogliśmy powstrzymać się od smutnego uśmiechu; wreszcie zdecydowała się na wyjaśnienie:

— Już nie zobaczy pan tego ślicznego domu, który urządziliśmy dla Rudolfa. Całe życie dogadaliśmy różnym jego fantazjom. Dziwny był z niego chłopiec, ale jakże czarujący! Wszystkie przypadło razem z nim w ten nieszczęsny dzień jego zerwanych zaręczyn. Ojciec był już wtedy właściwie zrujnowany, tylko nie wiedzieliśmy o tym jeszcze. Rudolf narobił dużo długów i, z chwilą kiedy zniknął, jego dawni przyjaciele od razu zaczęli się u nas

o wszystko upominać. Z dnia na dzień staliśmy się biednymi lu-

dźmi; matka moja wkrótce umarła... I prędko straciliśmy wszystkich przyjaciół... Niechby Rudolf powrócił, jeśli żyje jeszcze. Niechby odnalazł swoją narzeczoną, a przerwane wesele odbyłoby się jeszcze i może wszystko byłoby znów jak dawniej... Ale czyż przeszłość może odżyć na nowo?

— Kto wie? — rzekł Meaulnes zadumany. I o nic więcej już nie spytał.

Stąpaliśmy cicho po skoszonej, pożółklej już trochę trawie. Meaulnes miał koło siebie dziewczynę, którą przez tak długi czas uważał za straconą na zawsze. Za każdym razem, kiedy stawiał jej jedno z tych bezlitosnych pytań, zwracała powoli ku niemu prześliczną, zaniepokojoną twarz; raz jeden, mówiąc do niego, położyła mu lekko rękę na ramieniu, jakby chciała tym wyrazić swoje zaufanie i przyznać się do swej słabości. Dlaczego Meaulnes zachowywał się tak, jakby nie był sobą, jakby nie odnalazł tego, czego szukał od dawna, co było jedynym jego pragnieniem, jedynym zainteresowaniem? Trzy lata temu to szczęście byłoby czymś może aż ponad jego siły, czymś, co mogło doprowadzić go wprost do szaleństwa. Co znaczył teraz ten jego chłód, to dziwne oddalenie, ta niemożność zdobycia się na szczęście?

Zbliżaliśmy się do lasku, w którym z rana pan de Galais uwiązał starego Belisaire; słońce było już nisko i długie cienie kładły się na trawie; z łąki jakby brzęczenie pszczół dolatywały nas stłumione odległością wesołe głosy rozbawionej młodzieży. Słuchaliśmy ich w ciszy tego pogodnego wieczoru, kiedy nagle od strony folwarku Les Aubiers doleciał nas śpiew. Głos był młody

i płynął z daleka, zapewne to jakiś pastuch odprowadzając bydło z pastwiska śpiewał sobie tę taneczną piosenkę, ale przeciągał niektóre nuty, akcentował jej rytm tak, że brzmiała raczej jak stara, smętna ballada:

Mam czerwone buty...

Chłopcze, do widzenia.

Mam czerwone buty,

Zostaną wspomnienia!...

Meaulnes podniósł głowę i słuchał; poznał jedną z piosenek, którą śpiewali tam ostatniego wieczoru, wtedy kiedy wszystko było już stracone... Wspomnienie tylko to najżałośniejsze — z tych pięknych chwil, niepowrotnie minionych.

— Słyszycie, prawda? — spytał półgłosem. — Muszę pójść zobaczyć, kto to śpiewa. — I poszedł szybko naprzód, w stronę lasku. Ale prawie w

tej chwili śpiew'umilkł, pastuch pogwizdał jeszcze trochę oddalając się za bydłem i wszystko ucichło...

Spojrzałem na Yvonne. Smutnie zamyślona patrzyła na lasek, w którym zniknął Meaulnes. Jakże często potem miała jeszcze patrzeć tak za nim, wypatrywać tego, który odszedł od niej na zawsze! Zwróciła głowę ku mnie.

— On nie jest szczęśliwy — stwierdziła z żalem. I dodała po chwili: — Może ja nic już nie mogę zrobić dla niego?...

Nie odpowiedziałem jej od razu, bo bałem się, że Meaulnes lada chwila wróci i posłyszysz, iż o nim mówimy. Chciałem jednak poradzić jej, żeby nie obawiała się zrazić go szczerością i pewną stanowczością, gdyż sądzę, że przyczyną jego smutku i zniechęcenia jest jakaś tajemnica, której sam nigdy nie zdecyduje się wyjawić ani jej, ani w ogóle nikomu; nagle od strony lasu doleciał nas jakiś krzyk; potem gwałtowne tupotanie na miejscu i kilka głosów zmieszanych, jakby kłótnia...

Od razu domyśliłem się, że to jakiś wypadek ze starym Belisa- ire, i pobiegłem w stronę, skąd dochodził nas hałas. Yvonne szła za mną z daleka. Na łące musieli także zauważyć, że dzieje się coś niezwykłego, bo wchodząc do lasu słyszałem już za sobą głosy nadbiegających ludzi;

Biedne konisko, za krótko uwiązane, zaplątało przednią nogę w rzemień, ale nie ruszało się z miejsca, dopóki pan de Galais i Jasmin Delouche nie podeszli do niego; wtedy jednak koń, zmęczony gorącym popołudniem, podrażniony przez muchy, zaczął się szamotać i zaplątał się bardziej jeszcze. Tamci starali się go oswobodzić, ale brali się do tego niezręcznie, tak że pogorszyli jeszcze sytuację, narażając się w dodatku na niebezpieczne kopnięcie. W tej chwili właśnie wpadł na nich Meaulnes. Rozdrażniony widokiem niezdatnych wysiłków, odepchnął ich tak, że omal nie potoczyli się w krzaki, i sam ostrożnie uwolnił konia. Było już jednak za późno. Noga była widocznie zwichnięta, a może ścięgno zerwane, bo koń stał cały drżący, z żałośnie opuszczoną głową

i | nogą drżącą, podkurczoną pod brzuch; siodło przekrzywione zwiślało mu z grzbietu. Meaulnes obserwował go w milczeniu

i ostrożnie macał uszkodzoną nogę.

Kiedy wreszcie podniósł głowę i obejrzał się, wszyscy prawie goście byli zgromadzeni na miejscu Wypadku, ale on zdawał się nie widzieć nikogo.

— Któż to mógł tak głupio uwiązać tego konia? — krzyknął aż czerwony ze złości. — I jeszcze zostawili mu siodło przez cały dzień! I w

ogóle któż to widział brać pod wierzch taką starą szkapę, co już nawet do wózka się nie nadaje!

Delouche chciał coś powiedzieć, wziąć wszystko na siebie.

— Ach, ty już nie gadaj! To widocznie twoja robota. Widziałem przecież, jakieś zaciągał jeszcze ten rzemień!

I odwracając się znów do konia nachylił się i zaczął delikatnie pocierać nadwerżoną nogę.

Pan de Galais dotychczas jeszcze nic nie mówił, ale niestety teraz odezwał się sądząc widocznie, że należy wyjaśnić sytuację.

— Oficerowie marynarki zwykle w ten sposób... Mój koń...

— Ach, to pański koń! — rzekł Meaulnes, spokojniejszy nieco, ale bardzo jeszcze czerwony, zwracając głowę w stronę staruszka.

Sądziłem, że zmieni ton, że będzie przeproszać. Sapał chwilę.

I zrozumiałem teraz, że z dziwną, rozpaczliwą przekorą pogarszał jeszcze sytuację, jakby chciał zerwać wszystko bezpowrotnie, odzywając się beczelnie:

— To nie winszuję panu.

— Może by trochę zimnej wody... może zanurzyć mu nogę w strumieniu... — poddał nieśmiało ktoś z gości.

— Trzeba zabrać tego konia, póki jeszcze może iść sam — przerwał Meaulnes — zaprowadzić go jak najprędzej do stajni i nigdy go już stamtąd nie wypuszczać.

Paru młodych ludzi od razu ofiarowało swoje usługi. Ale Yvonne, czerwona, z oczyma pełnymi łez, pożegnała się ze wszystkimi, nawet z Augustynem, który nic śmiał na nią spojrzeć, wzięła konia za uzdę, takim ruchem, jak podaje się ramię kalece, i poprowadziła go z czułością, jakby nie tyle chciała mu pomóc, ile po prostu mieć go bliżej siebie... Wieczór był ciepły i lekki wietrzyk poruszał liście drzew, powietrze było tak łagodne, że chwilami

miało się złudzenie, że to nie koniec lata, lecz ciepły wieczór majowy...

Patrzyliśmy, jak dziewczyna oddalała się trzymając drobną ręką, wyłaniającą się po łokieć z płaszcza, gruby rzemień uprząży. Ojciec stał powoli koło niej...

Żałosny koniec zabawy! Wszyscy zaczęli po trochu zbierać swoje manatki, zabraliśmy się do składania stołów i krzeseł; wozy, pełne ludzi i rzeczy, oddalały się jeden za drugim z powiewającymi na pożegnanie chustkami i kapeluszami. Zostaliśmy wreszcie sami z wujem, który tak jak i my w milczeniu przeżuwał gorzki zawód, jaki go spotkał.

Trzeba było jechać; wsiedliśmy do naszej miłej, wygodnej bryczki zaprzężonej w ładnego bułanka i ruszyliśmy. Żwir zaskrzypiał pod kołami na zakręcie; Meaulnes i ja siedzieliśmy na tylnej ławeczce i wkrótce zniknęła nam z oczu droga, którą skręcił stary Belisaire i jego właściciele...

Ale w tej chwili mój towarzysz, którego nigdy do tej pory nie wyobrażałem sobie płaczącego, zwrócił do mnie twarz wykrzywioną nagłym, niepowstrzymanym napływem łez.

— Stańcie na chwilę, proszę — rzekł kładąc rękę na ramieniu wuja.

— Nie czekajcie na mnie. Wróć piechotą.

I opierając się o skrzydło wolanta zeskoczył, zanim jeszcze zdążyliśmy zatrzymać. Zawrócił i ku naszemu zdumieniu zaczął biec w stronę drogi do Sablonnières. Zapewne musiał dojść do dworu tą samą świerkową aleją, którą jako nie znany nikomu wędrowiec szedł przed trzema laty i gdzie ukryty w gęstwinie słyszał tajemniczą rozmowę pięknych, nieznajomych dzieci.

I tego samego wieczoru jeszcze, ze łzami, prosił o rękę panny de Galais.

Rozdział VII DZIEŃ ZAŚLUBIN

Jest to czwartek na początku lutego, piękny mroźny czwartkowy wieczór, kiedy dmie mocny wiatr. Mroźne, piękne popołudnie zimowe. Godzina trzecia, może czwarta... Na płotach jeszcze gdzieś zostały mokre płaty bielizny, które wywieszono z rana, żeby wyschły na wietrze. We wszystkich domach rozpalają ogień; w tym blasku wesoło wyglądają porozrzucane zabawki. Dzieci dość mają już zabawy i przychodzą teraz do matki prosząc, żeby im opowiedziała coś o dniu swego wesela...

Ten, kto w taki dzień nie chce być szczęśliwy, niech pójdzie sobie na strych i tam do późnej nocy może słuchać, jak wyje i świszczę zimowa wichura, albo niech wyjdzie na drogę, a wiatr silnym podmuchaem zamknie mu usta jak gorący, nieoczekiwany pocałunek, od którego łzy stają w oczach. Ale dla tego, kto chce być szczęśliwy, jest tuż przy błotnistej drodze dom w opuszczonym majątku, gdzie mój towarzysz Meaulnes zamieszkał z Yvonne de Galais, która od rana jest jego żoną.

Narzeczeństwo trwało pięć miesięcy. Cały ten czas był równie spokojny i pogodny, jak burzliwe było ich pierwsze po latach spotkanie. Meaulnes przyjeżdżał często do Sablonnières to na rowerze, to konno. Co parę dni Yvonne siedząc przy oknie z książką lub robotą spostrzegła nagle jego wysoką postać na zakręcie alei świerkowej, bo zawsze przychodził tą drogą, którą przyszedł po raz pierwszy. Ale jest to jedyne — milczące — napomknienie o przeszłości. Zdaje się, że szczęście uspiło jego dziwny niepokój.

Przez czas ich narzeczeństwa zaszły pewne zmiany. Zostałem nauczycielem w Saint-Benoist-des-Champs; nie jest to właściwie nawet wieś, tylko zbiorowisko folwarków rozrzuconych po okolicy. Szkoła stoi samotnie przy drodze i właściwie byłoby tu bardzo smutno, gdyby nie to, że idąc na przelaj polami mam tylko trzy kwadransy drogi do Les Sablonnières.

Delouche mieszka teraz u swego wuja, przedsiębiorcy budowlanego w Vieux-Nançay. Z czasem ma objąć zarząd firmy. Odwiedza mnie często, a Meaulnes na prośbę narzeczonej jest teraz dla niego bardzo miły.

I dlatego walęśmy się we dwóch o czwartej po południu, kiedy już wszyscy goście weselni się rozjechali.

Ślub odbył się o dwunastej, cichutko, w dawnej kaplicy majątku, która na szczęście nie była zburzona i którą od strony pogórków wysokie

świerki zasłaniają prawie całkowicie. Po skromnym śniadaniu matka Augustyna, pan Seurel i Millie, wuj Florentin i reszta nielicznych gości rozjechali się każdy w swoją stronę. Zostałem tylko ja i Jaśmin Delouche.

Spacerujemy brzegiem lasu, za parkiem, wzdłuż ugoru, który pozostał na miejscu rozebranych zabudowań folwarcznych. Nie chcemy przyznać się do tego, ale obaj jesteśmy nie wiadomo dlaczego jacyś niespokojni. Na próżno staramy się rozmawiać, pokazujemy sobie nawzajem ślady zajęcia na śniegu, świeżo wykopaną norę króliczą albo wnyk zastawiony przez kłusownika... Ale ciągle powracamy do tego wzgórzka, skąd między drzewami widać cichy, zamknięty dom...

Wielkie oszklone drzwi pierwszego piętra wychodzą na drewniany balkon porośnięty mchem i zeschniętymi trawami, które gniewny wiatr zimowy. Widać przez szyby odbłask jakby palącego się na kominku ognia. Od czasu do czasu cień jakiś przesuwają się za oknem. Na polach, w ogrodzie, wszędzie naokoło w jedynym folwarku pozostałym z dawnego majątku panuje cisza i spokój. Wszyscy miejscowi ludzie wybrali się do miasteczka, żeby tam zabawić się w dniu wesela młodej dziedziczki.

Mży teraz trochę i od czasu do czasu uderza nas w twarz zimny podmuch wiatru, który niesie nam dźwięki dalekiej muzyki. Tam, w zamkniętym domu, ktoś gra na fortepianie. Przystanąłem na chwilę i słucham. Brzmi to z początku jak jakiś głos drżący, który nie śmie jeszcze wybuchnąć całą siłą radości... Jak śmiech dziecka, które zebrało wszystkie swoje zabawki i rozsypuje je z dumą przed nowym przyjacielem... Przychodzi mi także na myśl ten cichy, niepewny śmiech kobiety, która poszła włożyć nową suknię i pokazuje się w niej ukochanemu nie wiedząc, czy mu się spodoba... Ta muzyka, której nie znam, to także coś jakby modlitwa, jakby błaganie wznoszone do szczęścia, żeby nie było zbyt okrutne, to jakby pokłon szczęściu, korzenie się przed nim...

Myślę: „Nareszcie są szczęśliwi. Meaulnes jest tam przy niej...”

Sama myśl o tym, pewność, że jest im dobrze, wystarcza mi, gdyż zawsze jestem tym samym poczciwym dzieckiem...

W tej chwili, kiedy stoję tak zamyślony, chłostany zimną wilgotną wichurą, jakby ostrym powiewem od morza, czuję, że ktoś dotyka mego ramienia:

—Słuchaj! — mówi cicho Jaśmin.

Spoglądam na niego, ale on nie patrzy na mnie, stoi z głową opuszczoną, ze zmarszczonymi brwiami i słucha...

Rozdział VIII WEZWANIE RUDOLFA

— Hu-uuuu!

, - •

Tym razem usłyszałem i ja. To wołanie, ten przeciągły krzyk na dwóch nutach, jednej wysokiej, drugiej — niskiej, to dziwne hasło kiedyś już słyszałem... Ach, tak! Przypominam sobie. Tak nawoływał swego towarzysza nieznajomy wysoki włóczęga, jego przyjaciel. Przysięgliśmy, że na to hasło właśnie odpowiemy zawsze, w każdej chwili, gdziekolwiek byśmy byli. Ale czegoż on chce tutaj, w taki dzień!

— To tam, w świerkowym lesie, na lewo — szepnąłem. — Pewno jakiś kłusownik.

Jaśmin potrząsnął głową.

— Wiesz przecie dobrze, że nie — odpowiedział.

I dodał przyciszonym głosem:

— Oni tu są obaj od rana. Wyobraź sobie, że koło jedenastej spotkałem tego Ganache; kręcił się niedaleko kaplicy, jakby czatował. Zwiął, jak mnie zobaczył. Musieli z daleka tu przyjechać, może na rowerach, bo był zabłocony aż po plecy...

— Czego oni chcą?

— Nie wiem, ale w każdym razie musimy ich stąd przepędzić. Nie można dopuścić do tego, żeby oni się tu włóczyli. Wszystkie wariactwa mogłyby się na nowo rozpocząć...

Takie jest również i moje zdanie, choć się do tego jeszcze nie przyznaję.

— Najlepiej byłoby. — mówię — pójsć tam do nich, dowiedzieć się, czego chcą, i przemówić im do rozumu.

Powoli, w milczeniu przedzieramy się przez zagajnik aż do starego świerkowego lasu, skąd raz po raz dolatuje nas przeciągłe wołanie. Nie jest ono samo przez się takie smutne, ale nam wydaje się dziwnie ponure i złowrogie.

Las sadzony jest równo, tak że między regularnymi rzędami drzew trudno zaskoczyć kogoś i samemu przejść nie będąc spostrzeżonym. Toteż wcale się o to nie staramy. Ja staję u skraju lasu, Jaśmin dalej, przy samym kącie czworoboku, tak żeby choć z tej strony nie przeoczyć ani jednego, ani drugiego z Cyganów, w razie gdyby przed nami uciekali. Teraz zaczynam grać swoją rolę rozjemcy.

— Rudolf!... — wołam — Rudolf!... Nie bój się. To ja, Seurel. Chciałbym z tobą pomówić...

Chwila ciszy. Chcę wołać drugi raz, kiedy z samej głębi lasu, z miejsca

dość odległego, gdzie mój wzrok już tak dobrze nie sięga, odpowiada mi czyjś rozkazujący głos:

— Proszę zaczekać. On zaraz przyjdzie.

Po chwili między grubymi pniami, które w perspektywie ścieśniają się coraz bardziej, widzę rysującą się sylwetkę. Widzę, że Rudolf jest obdarty i zabłocony, nogawki spodni ma u dołu spięte jak do jazdy rowerem, na głowie ma jakąś starą czapkę z kotwicą, włosy za długie, dawno nie strzyżone, widzę także, że twarz ma wychudzoną. Wygląda tak, jakby był zapłakany.

Zbliżył się do mnie zdecydowanym krokiem.

— Czego pan tu chce? — spytał z bezczelnością w głosie.

— A pan? Co pan tu robi właściwie? Dlaczego przychodzi pan niepokoić tych, którzy są szczęśliwi? Czego pan chce od nich? Proszę mi powiedzieć.

To zapytanie wprost stropiło go. Zaczerwienił się, bąknął coś niezrozumiałego, wreszcie rzekł tylko:

— Ale ja jestem nieszczęśliwy... Nieszczęśliwy...

Nagle zakrył twarz rękami, oparł się o pień i wybuchnął gorzkim płaczem. Weszliśmy trochę głębiej między świerki. Cisza naokoło, nawet wiatr tu nie dochodził, zatrzymywał go iglasty gąszcz. Słyszę wciąż cichnące, to znów gwałtowniejsze łkanie Rudolfa. Czekam, aż ten wybuch żalu uspokoi się, i opierając mu rękę na ramieniu wreszcie mówię:

— Słuchaj, Rudolfie, chodź ze mną. Zaprowadzę cię do nich, oni cię przyjmą jak dziecko utracone, które się odnalazło, i wszystko będzie skończone.

Ale on nie chciał o tym słyszeć. Głosem zduszonym przez łzy, zrozpaczony, zacięty w żalu powtarzał z uporem:

— To tak? To Meaulnes teraz już nie dba o mnie? Dlaczego nie odpowiada, kiedy go wołam? Dlaczego nie dotrzymuje obietnicy?

— Ależ, Rudolfie — tłumaczę — czas już skończyć z tymi dziecinnymi historiami! Nie mać swoim szaleństwem szczęścia tych, których przecież kochasz: twojej siostry i twego przyjaciela.

— Ale on jeden tylko może mi pomóc, wiesz o tym dobrze. On jeden mógłby odnaleźć ślad, którego szukam. Już blisko trzy lata tłuczemy się obaj z Ganache'em po całej Francji i na próżno! Ja już tylko w nim miałem nadzieję, a on mi nie odpowiada! On przecież odnalazł swoją ukochaną, dlaczego teraz nie może mi dopomóc? Musi się zaraz wybrać na poszukiwania! Yvonne go puści... Ona mi nigdy niczego nie odmawiała.

Patrzyłem wciąż na jego dziwną twarz, jeszcze chłopięcą, a jakby nagle postarzałą. Łzy płynące po brudnych, zakurzonych policzkach zostawiały na niej brzydkie, lepkie ślady. Oczy podkreślone były szeregiem piegów, broda źle ogolona, włosy, dawno nie strzyżone, zwisały na brudny kołnierzyk. Ręce trzymał w kieszeniach i drżał na całym ciele. Nie było w nim już nic z tego królewicza w łachmanach, którego widziałem przed trzema laty. W gruncie rzeczy był może jeszcze bardziej dziecinny niż dawniej, władczy, nie zrównoważony i łatwo wpadający w rozpacz. Ale teraz trudno już było znosić cierpliwie fantazje tego podstarzałego bądź co bądź chłopaka. Dawniej miało się wrażenie, że jego bujna, porywająca młodość usprawiedliwiała te wszystkie szaleństwa. Teraz patrząc na niego litowałem się nad tym zmarnowanym życiem, ale oburzała mnie bezsensowna rola romantycznego bohatera, przy której obstawał z takim uporem... I wreszcie mimo woli pomyślałem, że ten piękny Rudolf z całą swoją romantyczną miłością zapewne świadomie już teraz żyje z kradzieży jak jego towarzysz Ganache... Do tego doszedł dumny młodzieniec!...

— A jakbym ci obiecał, że za parę dni Meaulnes wyruszy na poszukiwania, że robi to dla ciebie? — rzekłem tylko dla ciebie?

— Jemu się uda, na pewno? Prawda? Jak myślisz — spytał dzwoniąc zębami.

— Sądzę, że tak. Z nim wszystko staje się możliwe.

— Ale jak się o tym dowiem? Kto da mi znać?

— Wróc tutaj na to samo miejsce, ściśle za rok od tej chwili: znajdziesz tu dziewczynę, którą kochasz.

Obiecując mu to ani na chwilę nie miałem zamiaru niepokoić młodych małżonków, ale rozpytałem się o wszystko ciotki Moinel i udać się osobiście na poszukiwanie tej dziewczyny.

Tymczasem Cygan patrzył na mnie wyteżonym wzrokiem, pełnym wzruszającej nadziei i zaufania. Naprawdę można było dać mu piętnaście lat, tyle, ile mieliśmy wtedy, kiedy zamiatając klasę o zmroku złożyliśmy mu tę dziecianną, straszną przysięgę.

Ale cała rozpacz jego wróciła, kiedy przyszło do pożegnania.

— No, to już musimy jechać — rzekł. I widziałem, jak z żalem patrzył na tę miłą, znajomą od dzieciństwa, lesistą okolicę, którą teraz znów porzucić miał na długo.

— Za trzy dni — dodał — będziemy już w Niemczech. Nasze wozy stoją daleko stąd. Trzydzieści godzin szliśmy tu bez odpoczynku.

Myślałem, że zdążymy jeszcze przed ślubem i zabierzemy ze sobą Augustyna; myślałem, że on potrafi znaleźć moją narzeczoną, jak sam odnalazł Yvonne.

I nagle znów powrócił do swych niepokojących dziwactw.

— Zawołaj tego Delouche — rzekł — bo jakbym go spotkał, to by się mogło źle skończyć.

Po chwili jego szara postać zniknęła mi z oczu wśród pni świerkowych. Zawolałem Jasmina i wróciłem na swe dawne miejsce. Ale prawie w tej samej chwili spojrzeliśmy na dom i ujrzeliśmy Augustyna, który wychylał się, żeby zamknąć okiennicę; obaj w przykry sposób zaskoczeni byliśmy dziwnym wyrazem jego twarzy.

LUDZIE SZCZĘŚLIWI

Z czasem dowiedziałem się z najdrobniejszymi szczegółami o tym, co działo się tego wieczoru w zamkniętym domu...

Goście rozjechali się dość wcześnie; Meaulnes i jego żona, którą wciąż jeszcze nazywam panną de Galais, zostali sami w dużym pustym salonie. Ojciec panny młodej otworzył na chwilę szeroko drzwi balkonu i podmuch mroźnego wiatru przebiegł z jękiem po pokojach; potem starsuszek udał się do miasta zapowiadając, że wróci przed obiadem, żeby dać jeszcze rozporządzenia na folwarku

1 pozamykać wszystko na noc. Teraz już żaden odgłos nie dochodzi do młodej pary; tylko gałąź róży ogołocona z liści raz po raz uderza o szybę. Jak dwaj podróżni na łodzi puszczonej bez steru, tak płyną kochankowie wśród ciemnej nocy zimowej, zamknięci sam na sam ze szczęściem.

— Ogień przygasa — rzekła panna de Galais i chciała wyjąć nowe polano ze skrzyni.

Ale Meaulnes uprzedził ją i włożył duży kawał drzewa do kominka. Potem ujął wyciągającą się do niego dłoń dziewczyny i stali tak obok siebie milcząc, jakby odjęła im mowę jakaś wielka nowina, która rozpieła ich serca.

Za oknami wiatr szumiał z gwałtownością wezbranej rzeki. Od czasu do czasu, jak w wagonie szybko pędzącego pociągu, na szybę skośno padała kropi'» deszczu i toczyła się dalej, kreśląc na szkle długą, drżącą linię. Wreszcie Yvonne wymknęła się z pokoju. Otwierając drzwi korytarza uśmiechnęła się tajemniczo i zniknęła za nimi, a Meaulnes na chwilę został sam w półmroku. Cykanie zegara przypomniało mu nagle jadalnię w Sain te-Agathe... Może pomyślał wtedy: „To jest >właśnie dom, którego tak

długo szukałem.

Te pokoje, te korytarze niegdyś pełne szeptów i dziwnych postaci... ”

W tej chwili zapewne (panna de Galais później mówiła mi, że słyszała to także) musiało dolecieć jego uszu pierwsze wołanie Rudolfa.

I już na próżno pokazywała mu młoda małżonka wszystkie te ^ 161
†*’ .!i.

|I I

//

skarby, które przyniosła ze swego panińskiego pokoju: zabawki, którymi bawiła się będąc dzieckiem, swoje dawne fotografie (siebie w stroju markietanki, to znów razem z Rudolfem, na kolanach matki, która była taka piękna... Potem jeszcze parę dawnych, grze- czniutkich sukienek).

„Tę na przykład nosiłam w czasie, kiedy już niedługo mieliśmy się poznać; pewno wtedy właśnie przyjechałeś do Sainte-Agathe...” Ale Meaulnes nic już nie widział, nic nie słyszał.

Raz tylko jeden ogarnęła go nagle świadomość swego bezbrzeżnego, nieprawdopodobnego szczęścia.

— Jesteś tu naprawdę — rzekł zdławionym głosem, jakby już samo stwierdzenie tego faktu przyprawiało go o zawrót głowy — przechodzisz tu koło mnie, rękę kładziesz tu, na tym stole...

I potem jeszcze:

— Moja matka, kiedy była młoda, tak właśnie nachylała się trochę, mówiąc do mnie... A jak grała na fortepianie...

Potem panna de Galais chciała sięść do fortepianu i pograć jeszcze przed nocą, ale było już tak ciemno, że trzeba było zapalić świecę. W cieniu różowego abażuru jeszcze jaskrawiej występowały' na twarzy jej te dziwne czerwone plamy, oznaka silnego wzruszenia lub niepokoju.

Do nas stojących tam na skraju lasu doleciały wtedy drżące dźwięki muzyki niesionej podmuchami wiatru i niebawem przerwane zostały ponownym wołaniem tych wariatów zbliżających się ku nam między świerkami.

Meaulnes długo słuchał stojąc zapatrzony przy oknie. Raz po raz spoglądał na słodką, drogą twarz, w której widział tyle niepokoju, tyle słabości.

Wreszcie podszedł do Yvonne i położył rękę na jej ramieniu. Ona uczyła słodycz tej nieśmiałej pieśczoły, ale w tej chwili nie umiała na nią odpowiedzieć.

— Noc już zapada — rzekł wreszcie Meaulnes — pójdę zamknąć okiennice, ale nie przerywaj sobie, graj...

Co działo się wtedy w tym dziwnym, ponurym chłopcu? Często

zadawałem sobie to pytanie, ale odpowiedź otrzymałem dopiero wtedy, kiedy było już za późno. Czy były to wyrzuty? Czy jakiś żal niezrozumiały? Czy może strach, że rozplynie mu się nagle w rękach bezgraniczne szczęście, na które tak długo czekał? I czy wtedy nie zrodziła się w nim straszliwa pokusa, żeby wszystko to odrzucić w jednej chwili bez wahania, odepchnąć od siebie skarb bezcenny, który wreszcie zdobył?

Popatrzył raz jeszcze na żonę i po cichutku, z wolna wysunął się z pokoju. Z miejsca gdzie staliśmy, widzieliśmy jak namyślając się, zamykał jedną okiennicę, potem drugą, wreszcie jak wyszedł z domu i nagle pędem zaczął biec w naszą stronę. Zanim zdążyliśmy się ukryć, już był przy nas. Spozregł nas w chwili, kiedy miał przeskoczyć przez niski, niedawno posadzony żywopłot ogradzający pole. Cofnął się o krok. Widzę jeszcze jego dziwny wyraz uciekającego, osaczonego zwierzęcia... Potem niby obojętnie zrobił parę kroków dalej i chciał przejść przez żywopłot od strony strumyka, kiedy go zawołałem:

— Meaulnes! Słuchaj, Meaulnes!

Ale on nawet nie odwrócił głowy.

Wtedy sądząc, że to jedno tylko zdoła go zatrzymać:

— Stój! Rudolf tu jest! — krzyknąłem.

Zatrzymał się wreszcie. Nie dał mi czasu namyślić się nad tym, co miałem powiedzieć, zadyszany spytał mnie od razu:

— Jest tutaj? Czego chce?

— Mówi, że jest nieszczęśliwy. Chciał cię prosić, żebyś dopomógł mu odnaleźć narzeczoną.

— Ach, tak... — rzekł schylając głowę. — Domyślałem się tego. Na próżno odsuwałem tę myśl od siebie... Ale gdzież on jest? Mów prędzej! Odpowiedziałem mu, że Rudolf już odjechał, że już nie zdążyłby go dogonić. Widziałem, że to był wielki zawód dla Augustyna. Zawahał się, zrobił parę kroków naprzód, zatrzymał się. Wyczytałem z jego twarzy wielki żal i gwałtowną rozterkę. Powiedziałem mu jeszcze, co obiecałem Rudolfowi w jego imieniu i że umówiłem się z nim tutaj za rok, na tym samym miejscu.

— Ach! Po coś to zrobił! — rzekł wreszcie. — Tak, mógłbym mu pomóc, ale musiałbym go zobaczyć natychmiast. Musiałbym z nim pomówić. Gdyby mi przebaczył, może naprawiłbym jeszcze wszystko... A jak nie, to już nie mógłbym tam wrócić...

I głową wskazał mi dom, który opuścił.

— Więc, jak to? — spytałem — dla tej dziecinnej obietnicy, którą kiedyś mu dałeś, gotów jesteś zniszczyć swoje szczęście?...

— Ach, gdyby to tylko była ta obietnica! — westchnął cicho.

I wtedy zrozumiałem, że co innego jeszcze łączyło go z Rudolfem, ale tej tajemnicy domyślić się nie mogłem.

— W każdym razie — powiedziałem — już teraz nie ma co lecieć za nimi. Już są daleko. Wybierali się do Niemiec.

Nie zdążył mi odpowiedzieć, kiedy nagle między nami zjawiała się niesamowita postać. Była to panna de Galais. Twarz miała skrwawioną, włosy rozwichrzone, oczy na wpół przytomne. Widocznie biegła tu pędem, bo była cała spocona. Musiała upaść gdzieś po drodze, bo czoło nad okiem miała rozcięte, a włosy miejscami krwią zlepione.

Zdarzyło mi się w ubogiej dzielnicy Paryża widzieć, jak policja rozdziela bijących się dwoje ludzi, którzy dotychczas uchodzili za szczęśliwe, wzorowe małżeństwo... Skandal wybuchł nie wiadomo skąd i dlaczego; może w chwili, kiedy się miało zgodnie zasiąść do stołu; w niedzielę, przed wyjściem na wspólny spacer; może w dzień imienin dziecka... I w jednej chwili wszystko to jest zapomniane, podeptane. Tych dwoje ludzi w okropnym zgielku, jaki ich otacza, staje się nagle parą nędzników, a dzieci we łzach, przerażone płaczą się między nimi, czepiają się rozpaczliwie ich rąk i nóg błagając, żeby prféstali się bić.

Yvonne wydała mi się takim właśnie bezradnym, przerażonym dzieckiem. Myślę, że gdyby nawet wiedziała, że patrzą na nią jej znajomi, cała okolica, cały świat — byłaby tu przybiegła tak samo półprzytomna, z rozwichrzonymi, skrwawionymi włosami, zabłocona, drżąca, zalana łzami.

Ale kiedy zobaczyła, że Meaulnes tu jest, że tym razem przynajmniej jeszcze jej nie opuścił, wsunęła mu rękę pod ramię i zaczęła śmiać się przez łzy jak dziecko. Ani on, ani ona nic nie powiedzieli; ale kiedy Yvonne wyciągnęła chusteczkę z kieszeni, Meaulnes łagodnie wyjął ją z rąk żonie, i z czułością, ostrożnie zaczął wycierać jej krew z czoła i włosów.

—Wracajmy teraz — rzekł tylko.

Patrzyłem za nimi, kiedy tak szli smagani wspaniałym wiatrem zimowego wieczoru — on opiekuńczy, ona uśmiechnięta i śpiesząca się — do domu, który na chwilę opuścili.

DOMEK RUDOLFA

Musiałem pozostać w szkole przez cały dzień następny, chociaż wciąż byłem jeszcze niespokojny i pełen nieokreślonych obaw, których nie

zdołało uśpić szczęśliwe zakończenie wieczornej przygody. Jednak natychmiast po skończeniu kursu wieczornego wybrałem się drogą w stronę Les Sablonnières. Noc już zapadała, kiedy znalazłem się w alei świerkowej, która prowadziła do domu. Wszystkie okiennice były pozamykane. Nie chciałem być do tego stopnia natrętnym, żeby iść w odwiedziny o takiej porze do nowo- poślubionej, młodej pary. Ale długo włóczyłem się po polach sąsiadujących z parkiem, wciąż wyczekując czegoś w nadziei, że może zobaczą kogoś wychodzącego z zamkniętego domu... Nadzieje zawiodły mnie jednak. Nawet na folwarku było cicho i musiałem wreszcie wrócić do siebie pełen jak najczarniejszych, niedorzecznych myśli.

Nazajutrz, w sobotę, znów ta sama niepewność. Pod wieczór znowu wziąłem pelerynę, laskę, kawałek chleba na drogę i wyruszyłem w stronę Les Sablonnières, aby znaleźć wszystko tak samo jak dnia poprzedniego... Zobaczyłem słabe światło na pierwszym piętrze, zresztą cisza wszędzie, żaden dźwięk nie dolatywał mnie stamtąd... Kiedy jednak zbliżyłem się do folwarku, zobaczyłem, że drzwi od kuchni były otwarte, i słyszałem zwykły pogwar ludzi wracających z pracy i zasiadających do wieczerzy. To mnie trochę uspokoiło, niczego mi zresztą nie wyjaśniając. Nie mogłem przecież o nic pytać tych ludzi. I powróciłem na swój dawny punkt obserwacyjny, ciągle w nadziei, że wreszcie drzwi domu się otworzą i że ujrzę w nich znajomą, wysoką postać mego przyjaciela.

Dopiero w niedzielę po południu zdecydowałem się wreszcie zadzwonić do drzwi dworu. Po drodze, kiedy szedłem grzbietem nagich, ogołconych pagórków, w kościele dzwonili na nieszpory. Ogarnęło mnie beznadziejne uczucie smutku i samotności. Nie wiem nawet, dlaczego opanowały mnie jakieś złe przeczucia, tak że prawie nie zdziwiłem się, kiedy sam pan de Galais otworzył mi drzwi i objaśnił cichym głosem, że Yvonne leży z silną gorączką, a Meaulnes wyjechał jęszcze w piątek z rana w długą podróż i nie wiadomo, kiedy powróci...

Ponieważ biedny, zafrasowany staruszek nawet nie poprosił mnie, żebym wszedł, pożegnałem się z nim od razu o nic więcej nie pytając. Drzwi się zamknęły, a ja stałem jeszcze chwilę na progu z głębokim żalem w sercu, w poczuciu rozpaczliwej bezradności wpatrując się, sam nie wiem dlaczego, w zeschniętą gałąź glicynii, którą wiatr smętnie kołysał w promieniu zimowego słońca.

Więc jednak zwyciężyły te niezrozumiałe wyrzuty, które dręczyły

mego przyjaciela od czasu jego pobytu w Paryżu! I ten dziwny chłopiec musiał wreszcie uciec od swego wielkiego szczęścia.

Każdej niedzieli i każdego czwartku zachodziłem pytać się o zdrowie Yvonne, aż wreszcie pewnego wieczoru powiedziano mi, że prosi, abym wszedł. Siedziała przy kominku, w dużym salonie, którego okna wychodziły na las i dalekie pola. Nie była blada, jak się tego spodziewałem, przeciwnie — wydała mi się rozgorączkowana, na twarzy miała silne wypieki i była niesłychanie podniecona. Musiała być jeszcze bardzo osłabiona, ale mimo to ubrała się jak do wyjścia. Mówiła mało, ale każde zdanie wymawiała z jakimś nienaturalnym ożywieniem, jakby sama siebie chciała przekonać, że szczęście jeszcze nie jest stracone... Nie pamiętam już nawet, o czym rozmawialiśmy. Pamiętam tylko, że w końcu jednak nieśmiało spytałem się, kiedy ma powrócić Meaulnes.

— Nie wiem, kiedy on wróci — odrzekła z pośpiechem.

W oczach jej był jakiś błagalny wyraz i zrozumiałem, że nie powinienem pytać o nic więcej.

Odwiedzałem ją potem często. Siadywaliśmy zwykle przy kominku, w tym samym dużym, niskim salonie, gdzie miałem wrażenie, że ściemniało się szybciej niż gdzie indziej. Nie mówiła nic o sobie, o swoim wielkim, ukrytym żalu, ale za to musiałem bez końca opowiadać jej o naszym szkolnym życiu w Sainte-Agathe.

Słuchała poważnie, z macierzyńskim prawie zainteresowaniem i czułością tych wszystkich naszych dziecinnych jeszcze spraw, zmartwień i kłopotów. Nie wydawała się zdziwiona niczym, nawet najbardziej nedorzecznymi pomysłami, najbardziej ryzykownymi psotami. Tej zdolności wczuwania się w cudze życie, którą odziedziczyła po ojcu, nie straciła nawet niefortunne przygody jej brata. Sądzę nawet, że jedynym jej żalem było to, że widocznie nie umiała całkowicie zyskać sobie jego zaufania, skoro w najcięższej chwili swego życia nie śmiał zwrócić się do niej i uważał wszystko za stracone. Nieraz myślałem, jak niewdzięczne zadanie wzięła na siebie ta wątła dziewczyna chcąc być podporą dla tak dziwnego, tak nieobliczalnego stworzenia jak Rudolf. Zadaniem bardziej jeszcze ponad jej siły było połączenie swego życia z życiem szalonego romantyka, jakim był mój przyjaciel Meaulnes.

Yvonne dowiodła mi kiedyś w sposób wruszający, jak dalece dochowała w sobie wiarę w dziecinne marzenia swego brata, jak bardzo zależało jej na tym, żeby ocalić dla niego, zachować mu choć resztkę tych

rozbitych marzeń, które były dla niego rzeczywistością, którymi żył przez lat dwadzieścia.

Było to pewnego kwietniowego popołudnia, chłodnego i smutnego niby pod koniec jesieni. Od miesiąca już przywykliśmy do rozkosznie ciepłych, przedwcześnie wiosennych dni i Yvonne w towarzystwie ojca znów odbywała długie spacery, które tak lubiła. Ale tego dnia staruszek był zmęczony, a że ja akurat miałem wolny dzień, spytała, czy nie chciałbym jej towarzyszyć mimo niepewnej pogody. Kiedy odeszliśmy o jakie półtora kilometra od Sa- blonnières, złapał nas ulewny deszcz z gradem. Schowaliśmy się pod szopę, która stała niedaleko, i czekaliśmy tam długo na koniec ulewy. Zmarznięci, skostniałi patrzyliśmy na smętny widok, który się przed nami roztoczył. Widzę ją jeszcze teraz bladą i smutną, w miłej, skromnej sukience.

— Trzeba wracać — rzekła wreszcie. — Już tak dawno, jak wyszliśmy. Co się przez ten czas mogło dzieć w domu?

Ale ku memu zdziwieniu, gdy już można było wreszcie wyjść z chwilowego schronienia, młoda kobieta, zamiast wracać do S. a- blonnières, ruszyła dalej i prosiła, bym jej towarzyszył. Szliśmy jeszcze dość długo i znaleźliśmy się wreszcie przed jakimś nie znanym mi domem, stojącym przy wyboistej drodze, która prawdopodobnie prowadziła do Prèveranges. Był to zwyczajny domek kryty dachówką jak wszystkie domy w tej okolicy i nic chyba nie wyróżniałoby go spośród innych, gdyby nie jego opuszczenie i oddalenie.

Ze zdziwieniem zauważyłem, że Yvonne zachowywała się zupełnie tak, jakbyśmy po dłuższej nieobecności wrócili do własnego domu. Schylając się lekko, otworzyła furtkę i przez chwilę z niepokojem badała wzrokiem to samotne miejsce. Spore podwórze zarośnięte trawą, gdzie w czasie długich już, wlokących się ospale popołudni pewno bawiły się dzieci, przedstawiało przykry widok spustoszenia: jakieś kółko leżało do połowy zanurzone w kałuży, grządki, gdzie rosło trochę wczesnych kwiatów i groszku, były kompletnie zniszczone przez ulewę, która powyrywała rośliny i pozostawiła wszędzie smugi białego żwiru, wreszcie spostrzeegliśmy przytulone do mokrego progu całe stadko kurcząt przemoknięte do ostatniego puszku. Prawie wszystkie były nieżywe pod zeszywniałymi i zmierzwionymi piórami matki.

Na ten żalony widok Yvonne wydała stłumiony okrzyk. Nie zważając na błoto i na wodę przyklekła na progu i nachylając się nad nieszczęsną gromadką poodzielała zamarznięte kurczęta od żywych, które schowała

pod połę płaszcza. Potem otworzyła drzwi kluczem i weszliśmy do domu. Znaleźliśmy się w wąskim korytarzu, na który wychodziło czworo drzwi; ostry podmuch wiatru wdarł się ze świstem za nami. Yvonne otworzyła pierwsze drzwi na prawo i weszliśmy do ciemnego pokoju, gdzie po chwili spostrzegłem duże stojące lustro i niewielkie łóżko przykryte po wiejsku czerwoną, jedwabną pierzynką. Podczas gdy rozglądałem się dokoła, Yvonne wyszła do sąsiedniego pokoju i po chwili wróciła z koszykiem pełnym pierza, w którym umieściła wyratowane kurczęta: następnie wsunęła to wszystko z troskliwą ostrożnością pod pierzynę na łóżku. Błady i zamierający promień zachodu, ostatni promień w ciągu tego dnia, wpadał przez okno i kładł się na nasze twarze, które przez to musiały wydawać się jeszcze bledsze, a mrok szybko zapadający wkoło nas bardziej jeszcze głęboki i ponury; staliśmy tak zatroskani, zziębnięci w tym dziwnym domu.

Moja towarzyszka co chwila zaglądała do nieszczęsnego gniazda, wyjmowała znów jakieś nieżywe piskłę, żeby nie podusiło zdrowych. I wciąż wydawało mi się, że coś nad nami jęczy, jakby wiatr wdzierający się przez potłuczone szyby na strychu, jakby jakaś żałosna skarga dziecka zanoszącego się od tłumionego płaczu.

— Ten domek — rzekła wreszcie Yvonne — należał do Rudolfa, kiedy był jeszcze dzieckiem. Chciał koniecznie mieć taki swój dom, z daleka od wszystkich, gdzie mógłby się swobodnie bawić, mieszkać sam, jak tylko będzie miał ochotę. Ta zachcianka wydała się ojcu tak osobliwa, taka zabawna, że mu nie odmówił. I Rudolf, gdy tylko miał ochotę, w jakąś niedzielę czy czwartek prznosił się do swego domku jak dorosły człowiek. Dzieci wiejskie z okolicy przychodziły bawić się z nim, pomagały mu w gospodarstwie domowym, w ogródku. To była rozkoszna zabawa! I wieczorem wcale się nie bał sam tu zasypiać. A my tak zachwycaliśmy się jego wyobraźnią, jego pomysłami, że nawet na myśl by nam nie przyszło niepokoić się o niego.

Teraz od dawna ten domek stoi pustkami — ciągnęła z westchnieniem. — Ojciec tak stracił wszelką energię ze zmartwienia i starości, że właściwie nawet nie poszukiwał mego brata. I co właściwie mógł zrobić?

Ja tu często bywam. Dzieci przychodzą bawić się na podwórku jak dawniej. Lubię sobie wyobrażać, że to są dawni towarzysze Rudolfa, że on sam jeszcze jest dzieckiem i że kiedyś wróci do nas z tą dziewczyną, którą pokochał.

Dzieci znają mnie doskonale. Bawię się tu z nimi. To właśnie są nasze

kurczęta.

Trzeba było tej ulewy i tej dziecięcej katastrofy, żeby odkryła przede mną cały żal i tęsknotę za takim szalonym, takim czarującym i tak podziwianym bratem. Słuchałem w milczeniu z gardłem ściśniętym przez łzy.

Yvonne zaniósła rozgrzane już kurczęta do drewnianej komórki za domem, zamknęła na klucz wszystkie drzwi; oparła się ze smutkiem na ramieniu, które jej podałem — i zawróciliśmy w stronę domu.

Tygodnie, miesiące mijały. Tyle szczęścia niepowrotnie straconego! I to mnie przypadło w udziale osładzać gorzką samotność tej, która przez tyle czasu była naszą wymarzoną królewną z bajki, ideałem pierwszych lat naszej młodości. Co mógłbym teraz opowiedzieć? o tych naszych rozmowach wieczornych, kiedy byłem już wolny po lekcjach, o tych spacerach, podczas których żadne z nas nie mówiło nigdy o jedynej rzeczy, którą bez ustanku mieliśmy na myśli? Zachowałem z tego tylko wspomnienie, teraz już na pół zatarte, dwojga pięknych oczu patrzących na mnie z poblądłej, prześlicznej twarzy, oczu, które często pod moim wzrokiem opuszczały się z wolna, chowając się w cieniu rzęs, jakby już wtedy odwracały się od zewnętrznego świata.

I tak przez całą wiosnę i całe lato, takie, jakiego nigdy już nie będzie, pozostałem jej wiernym towarzyszem, towarzyszem tak bolesnego oczekiwania, o którym nie mówiliśmy. Po południu kilka razy byliśmy jeszcze w domku Rudolfa. Yvonne otwierała okna, żeby mieszkanie się wietrzyło, żeby nie było wilgoci na przyjazd młodej pary... Zajmowała się też na pół zdziczałym drobiem na podwórzu. W niedziele i czwartki zachęcaliśmy do zabawy dzieci z sąsiedniej wsi, a ich wesołe głosy i śmiechy napelniały opuszczony dom większym jeszcze smutkiem.

Rozdział XI ROZMOWA PODCZAS DESZCZU

W sierpniu wyjechałem do Sainte-Agathe i przez cały czas wakacji nie widywałem młodej opuszczonej małżonki. Zobaczyłem znowu znajome obszerne podwórze, szope, puste klasy... Wszystko to mówiło mi o moim przyjacielu. Wszystko pełne było wspomnień naszego bezpowrotnie minionego pacholeństwa. Podczas tych długich, skwarnych popołudni zamykałem się, jak niegdyś przed przyjazdem Augustyna, w archiwum. Czytałem, pisałem, oddawałem się wspomnieniom... Ojciec wychodził zwykle z wędką na ryby. Millie siedziała w salonie, szyla lub grała na fortepianie jak dawniej... I w tej pustej klasie, wśród otaczającej mnie ciszy, gdzie wszystko, na co patrzyłem, czysta, wytarta tablica, poustawiane starannie na półkach książki i nagrody z końca roku szkolnego — wszystko mówiło mi o ukończonej pracy i oczekiwaniu jesieni

niosącej nowe trudy, nowy wysiłek — myślałem, że młodość nasza skończona, a szczęście wymknęło się... Ja także czekałem na tę jesień i na powrót przyjaciela, który może nigdy już nie powróci...

Miałem jednak jedną radosną nowinę do oznajmienia matce, kiedy wreszcie odważyła się spytać mnie o młodą małżonkę. Bałem się co prawda tych jej pytań, bo Millie zadawała je w sposób na pozór niewinny, ale dziwnie sprytny, mogący zmieszać mnie w jednej chwili, tak trafnie, choć ostrożnie dotykała niby palcem najskrytszych moich myśli. Zamknąłem jej usta wiadomością, że żona mego przyjaciela ma zostać matką w początku listopada.

Pamiętam dobrze ten dzień, kiedy Yvonne dała mi to do zrozumienia. Pamiętam tę chwilę uroczystego prawie milczenia, moje lekkie zażenowanie młodego człowieka i pamiętam jeszcze, jak niebacznie, żeby pokryć swe zmieszanie, powiedziałem wtedy zapominając o całej tragedii, jaką poruszałem tym prostym zdaniem:

— Pewno bardzo się pani cieszy?

Ale ona odpowiedziała mi z prostotą, bez wahania, bez cienia żalu w głosie, uśmiechając się radośnie:

— Tak. Bardzo!

Ostatni tydzień wakacji, ten najpiękniejszy, najbardziej może romantyczny tydzień, kiedy padają często ulewne deszcze, wieczory stają się długie i pali się już na kominku — spędzałem zwykle u wuja w Vieux-Nançay polując wśród ciemnych, zmoczonych nieraz deszczem świerków,

ale tym razem spakowałem wszystkie swoje rzeczy i wróciłem od razu do Saint-Benoist-des-Champs. Sądziłem, że wuj, ciotka i kuzyni zadawaliby za dużo pytań, na które nie miałem ochoty odpowiadać, wyrzekłem się więc na ten rok rozkoszy myślistwa, wędrówek po lasach i wróciłem do swej szkoły na kilka dni przez rozpoczęciem nauki.

Zajechałem pod wieczór na podwórze zasypane już pożółkłymi liśćmi. Bryczka odjechała, wszedłem do pustej jadalni, gdzie pachniało trochę wilgocią i nie przewietrzanym mieszkaniem, i smętnie zabrałem się do rozpakowywania zapasów, w które zaopatrzyła mnie matka. Przekąsiłem coś naprędce i zarzuciwszy pelerynę na plecy gorączkowo wyruszyłem na spacer, a same nogi zaniósły mnie w stronę Sablonnières.

Nie chciałem być intruzem od razu, od pierwszego wieczoru po powrocie. Ale miałem już jednak więcej śmiałości niż wtedy, w lutym; pochodziwszy trochę dokoła parku, skąd widziałem, że w całym domu tylko jedno okno pokoju Yvonne jest oświetlone, zdecydowałem się wreszcie przejść przez żywopłot za domem i usiadłem sobie na ławce w zapadającym zmroku, szczęśliwy, że się tu znajduję, że jestem znowu w pobliżu tego, co najbardziej na świecie mnie interesuje i obchodzi.

Noc zapadała. Zaczął kropić drobny deszcz. Siedziałem wciąż ze schyloną głową, bezmyślnie wpatrując się we własne trzewiki, które zaczęły przemakać już na dobre i lśnić od wody. Ogarniał mnie mrok, przenikała chłodna wilgoć, ale to wszystko nie przerywało mojej zadumy. Ze smutkiem i czułością wspominałem błotniste o tej porze roku drogi w Sainte-Agathe, wyobrażałem sobie plac przed kościołem zasnuty mgłą wieczorną, chłopca od rzeźnika, idącego gwiżdżąc do studni po wodę; jasno oświetlone okna w „Cafe Daniel”, brykę, a w niej ludzi roześmianych pod parasolami... Pamiętam takie bryczki zajeżdżające pod koniec wakacji do wuja Florentin. I ze smutkiem myślałem sobie: „Cóż obchodzi mnie całe to radosne życie, kiedy nie bierze w nim udziału mój ukochany towarzysz ani jego uroczą małżonka...”

I wtedy nagle podniósłszy głowę zobaczyłem ją stojącą przede mną. Nie posłyszałem jej lekkich kroków na ścieżce, widocznie zmieszały mi się ze szmerem deszczu wśród gałęzi. Na głowie i ramionach miała zarzuconą czarną wełnianą chustkę, ale nad czołem kilka kropel deszczu błyszczało w jej włosach. Zapewne dostrzegła mnie z okna swego pokoju i wyszła do mnie. Tak samo nieraz moja matka niepokoiła się o mnie i szła, żeby mnie sprowadzić do domu, ale zakosztowawszy tego spaceru

nocnego wśród spokojnego, jesiennego deszczu mówiła tylko łagodnie: „Przeziębisz się jeszcze!” i zostawała ze mną na długiej rozmowie...

Yvonne podała mi rozpaloną rękę, ale nie namawiała mnie na wejście do domu, tylko usiadła na omszałej ławce wybierając najmniej wilgotne miejsce, a ja, stojąc oparty o ławkę jednym kolaniem, nachylałem się do niej, żeby lepiej słyszeć, co do mnie mówiła.

Z początku po przyjacielsku zburczała mnie trochę za skrócenie sobie wakacji.

— No — rzekłem — przecież trzeba było, żebym przyjechał dotrzymać pani towarzystwa.

— Tak, to prawda — odpowiedziała cichutko z westchnieniem — wciąż jestem sama. Augustyn jeszcze nie wrócił...

Biorąc to jej westchnienie za wyraz ukrytego żalu, za wyrzut długo tłumiony zacząłem:

— Ile szaleństwa mieści się w tak szlachetnym sercu! Może niepowstrzymany pęd do przygód silniejszy jest w nim od wszystkiego...

Ale ona przerwała mi, i tego wieczoru właśnie, po raz pierwszy i ostatni, mówiła ze mną o swym mężu.

— Niech pan tak nie mówi — rzekła łagodnie — panie Seurel, mój przyjacielu. To my sami, ja sama jestem winna wszystkiemu. Niech pan pomyśli, cośmy właściwie zrobili?... Powiedzieliśmy mu: oto jest szczęście, oto jest to, czego szukałeś przez całą młodość, to jest ta dziewczyna, która była szczytem i celem wszystkich twoich marzeń! Czyż można się dziwić, że gdy czuł się tak pchanym za ramiona przez nas, ogarnął go niepokój, może przerażenie takie, że w końcu nie oparł się pokusie i uciekł!

— Ależ — rzekłem cicho — pani przecież wie, że naprawdę była pani tym szczęściem, tą właśnie dziewczyną.

— Ach! — westchnęła — jak mogłam choć przez chwilę mieć to przekonanie, być tak zarozumiałą! To właśnie jest powodem wszystkiego.

Mówiłam panu: „Może ja nic nie mogę zrobić dla niego”, ale w głębi myślałam: „Jeśli on tak długo mnie szukał, jeśli go kocham, to przecież mogę dać mu szczęście.” Ale kiedy miałam go przy sobie, widziałam jego ciągły niepokój, te tajemnicze wyrzuty, które go nękały, zrozumiałam, że jestem zwyczajną, bezsilną kobietą jak wszystkie inne...

„Nie jestem ciebie godzien”, powtarzał wciąż nad ranem, kiedy skończyła się już nasza noc poślubna. Staralam się pocieszać go, uspokajać. Ale nic nie pomogło. Więc powiedziałam:

„Jeśli trzeba, żebyś odszedł, jeśli weszłam w twoje życie w chwili, kiedy nic nie mogło cię uszczęśliwić, jeśli trzeba, żebyś opuścił mnie na jakiś czas, żeby móc potem wrócić do mnie uspokojony, w takim razie ja sama proszę cię, żebyś odjechał...” Pomimo mroku widziałem, że podniosła na mnie oczy. To była jakby spowiedź, którą odbyła tak przede mną, i teraz z niepokojem czekała, czy ją usprawiedliwię, czy też potępię. Ale cóż ja mogłem powiedzieć? Z tego jej opowiadania wyzierał ku mnie dawny „duży Meaulnes”, dumny i nieokrzesany chłopak, który zawsze wolał narazić się raczej na karę niż tłumaczyć się lub prosić o pozwolenie, którego z pewnością by mu nie odmówiono. Tak, zapewne trzeba było, żeby Yvonne przeciwstawiła mu się z całą siłą, żeby wzięła jego głowę w obie ręce i powiedziała: „Wszystko mi jedno, coś zrobił! Ja ciebie Kocham! Czyż wszyscy mężczyźni nie są tacy sami!” Zapewne źle postąpiła, przez zbyt dużą wspaniałość, przez skłonność do poświęcenia, popchnęła go w ten sposób znów na drogę fantastycznych przygód... Ale jakże mogłem potępić tyle dobroci, tyle miłości...

Nastąpiła długa chwila milczenia, podczas której oboje wzruszeni do głębi słuchaliśmy szmeru deszczu wśród liści i kropel cicho spadających z niskich gałęzi na ziemię.

— Iz rana pojechał — ciągnęła dalej Yvonne. — Nic już nas nie dzieliło. Ucałował mnie po prostu, tak jak każdy mąż, który żegna się ze swoją żoną przed dłuższą podróżą...

Wstała. Ująłem jej gorącą dłoń, potem wziąłem ją pod rękę i w głębokiej ciemności poszliśmy aleją w stronę domu.

— I co? czy nigdy nie napisał do pani? — spytałem.

— Nigdy — odpowiedziała.

I wtedy jednocześnie oboje pomyśleliśmy o życiu pełnym przygód, które on pewno prowadzi na drogach Francji lub Niemiec, i zaczęliśmy mówić o nim tak, jak nigdy przedtem nie mówiliśmy. Przychodziły nam na myśl zapomniane szczegóły, dawne wrażenia, i tak szliśmy powoli zatrzymując się często, aby się lepiej dzielić wspomnieniami... Długo jeszcze w ciemności dźwięczał mi w uszach jej słodki, przyciszony głos, a mnie ogarniał na nowo dawny entuzjazm i mówiłem jej bez końca, z zapałem, o tym przyjacielu, który nas oboje porzucił...

BRZEMIE

Od poniedziałku czekała mnie znów praca w szkole. W sobotę po południu, koło piątej, kiedy zajęty byłem na podwórzu piłowaniem drzewa na zimę, zjawiła się kobieta z folwarku Les Sablon- nieres. Przyszła, żeby

mi powiedzieć, że we dworze urodziła się dziewczynka. Poród był ciężki. O dziewiątej wieczorem posłano po akuszerkę z Preveranges, ale o dwunastej w nocy trzeba było jechać po doktora do Vierzon. Nie obeszło się bez kleszczy; dziecko miało przez to głowę trochę okaleczoną i ciągle krzyczało, ale robiło wrażenie zdrowego. Młoda matka była teraz bardzo wyczerpana, ale podobno przez cały czas okazała niezwykle wprost męstwo i spokój w cierpieniu.

Rzuciłem robotę, zmieniłem palto i ucieszony tymi, dobrymi ostatecznie wiadomościami, udałem się za kobieciną do dworu. Bojąc się zbudzić jedno z dwojga chorych, wszedłem na górę cichutko, tylnymi schodami. Przywitał mnie pan de Galais, z twarzą zmęczoną, ale jednak radosną. Wprowadził mnie do pokoju, gdzie chwilowo postawiono kołyskę z firaneczkami.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się przedtem być w domu, gdzie tego samego dnia przyszło na świat dzieciątko. Jakże mi się to wydawało dziwne i tajemnicze, i miłe! Wieczór był tak piękny — prawdziwie letni wieczór — że pan de Galais nie obawiał się otworzyć okna wychodzącego na podwórze i oparty wraz ze mną o framugę opowiadał mi, wyczerpany i szczęśliwy, cały przebieg tej dramatycznej nocy; a ja słuchając mimo woli czułem, że jest z nami w pokoju ktoś obcy...

Pod firaneczkami coś poruszyło się i zaczęło krzyczeć cienkim, przenikliwym głosem.

— To ta rana na główce ją boli — rzekł do mnie pan de Galais i machinalnie (czuło się, że robił to od rana i przyzwyczał się już do tego) zaczął kołysać biały tłumoczek leżący za firaneczkami.

— Ona już się śmieje — mówił — i za palec bierze! Ale, prawda, pan jej jeszcze nie widział!

Rozsunął firanki i zobaczyłem czerwoną, obrzękłą twarzyczkę, małą główkę wydłużoną i zniekształconą przez kleszcze.

— To nic — rzekł — doktor mówił, że to samo się poprawi. Niech pan jej da palec, ona ściśnie.

Przedemną otwierał się cały jakiś nowy zupełnie świat. Czułem, że serce wzbierało mi jakimś nie znanym dotychczas rozrzwinięciem...

Pan de Galais uchylił ostrożnie drzwi do pokoju Yvonne. Nie spała.

— Może pan wejść — rzekł.

Leżała na wznak z twarzą rozpaloną, z jasnymi włosami rozsypanymi na poduszce. Podąła mi rękę uśmiechając się bezsilnie. Powinszowałem jej córki. Odpowiedziała mi głosem jakby trochę szorstkim, z pewną,

niezwykłą u niej ostrością, ostrością człowieka, który wraca z pola bitwy; — Tak, ale mi ją trochę zeszpecili — rzekła z uśmiechem. Trzeba było wkrótce odejść, żeby jej nie męczyć.

Nazajutrz, w niedzielę po południu, pospiesznie, niemal z radością udałem się do Sablonnières. Już miałem zapukać, gdy zauważyłem przybitą do drzwi kartkę:
„Proszę nie dzwonić.”

Nie rozumiałem, o co chodzi. Zastukałem dość mocno. Usłyszałem za drzwiami ciche, przyspieszone kroki. Otworzył mi ktoś nieznamy — był to doktor z Vierzon.

— No co? Co się dzieje? — spytałem.

— Cicho, cicho! — odpowiedział mi szeptem, widocznie zirytowany.

— Dziecko mało nie umarło w nocy, a z matką jest bardzo źle.

Zbity z tropu, przerażony, na palcach poszedłem za nim na górę. Dziecko leżało w kołysce, blade, bezkrwiste, wyglądało na nieżywe. Doktor jednak miał nadzieję, że je uratuje. Co do matki, za nic nie ręczył. Tłumaczył mi coś bardzo długo, jako jedynemu przyjacielowi domu. Mówił coś o przekrwieniu płuc, o możliwości skrzepu. Wahał się jednak, nie był pewny... Po chwili wszedł pan de Galais, blady, drżący; miałem wrażenie, że postarzał się straszliwie przez te dwa dni.

Zabrał mnie do pokoju, choć nie bardzo sam wiedział, dlaczego to robi.

— Trzeba, żeby ona nic się nie bała — szeptał mi cichutko. — Doktor ciągle mówił że trzeba ją uspokajać.

Chora leżała tak jak wczoraj rozgorączkowana, z głową w tył odrzuconą. Policzki i czoło miała sinoczerwone, oczy chwilami uciekały jej w tył głowy, jak u kogoś, kto się dusi. Broniła się od śmierci z odwagą i spokojem nie do opisania.

Nie mogła mówić, ale wyciągnęła do mnie rękę z takim odruchem przyjaźni, że o mała nie wybuchnąłem płaczem.

— No co, no co! — rzekł pan de Galais, z okropną sztuczną wesołością, która robiła raczej wrażenie szaleństwa — widzi pan, że jak na chorą, to jeszcze nam nieźle wygląda!

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale trzymałem w swoich rękach tę drobną, straszliwie rozpaloną rękę umierającej młodej kobiety.

Zrobiła widoczny wysiłek, żeby mi coś powiedzieć, o coś mnie zapytać, zwróciła oczy na mnie, potem spojrzała na okno, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że mam wyjść po kogoś... Ale nagle zaczęła się gwałtownie dusić: piękne niebieskie oczy, które dopiero co tak wymownie

na mnie patrzyły, wywróciły się, policzki i czoło stały się sine, i widać było, że walczyła z całą odwagą, że do końca nie chce poddać się rozpacz i przerażeniu. Lekarz, kobiety, które były w pokoju, wszyscy rzucili się do niej z jakimiś lekarstwami, z aparatem do wdychania tlenu, a staruszek nachylony nad nią, półprzytomny, krzychał, jakby już była od niego daleko, krzychał zachrypniętym i drżącym głosem:

— Nie bój się, Yvonne! To nic! Nie masz się czego bać!

Atak przeszedł. Mogła znów trochę oddychać, ale dyszała ciężko, z oczyma wywróconymi, z głową w tył odrzuconą, broniła się jeszcze, ale nie była już w stanie spojrzeć na mnie, nie mogła już ani na chwilę wydobyć się z otchłani, w którą się pogrążała.

...I ponieważ widziałem, że na nic nie mogę się przydać, zdecydowałem się odejść. Zapewne mogłem zostać jeszcze chwilę; na tę myśl do dziś serce ściska mi się z żalu. Ale cóż? Miałem jeszcze nadzieję. Tłumaczyłem sobie, że koniec nie jest tak bliski.

Kiedy dochodziłem do świerkowego lasu za domem, pomyślałem o tym spojrzeniu Yvonne skierowanym w stronę okna i zacząłem wpatrywać się z nateżeniem w ciemną gęstwinę, którą idąc niegdyś przyszedł tu Meaulnes i którydy uciekł już blisko rok temu. Niestety! Nic nie drgnęło. Żadnego podejrzanego cienia, żadna gałąź się nie poruszyła. Tylko po chwili od drogi do Prèveranges doleciał mnie dźwięk jakby srebrnego dzwonka. Wkrótce za zakrętem zjawił się na drodze chłopczyk w białej komeżce, a za nim ksiądz. Uciekłem dławiąc się od łez.

Nazajutrz znów zaczynały się lekcje. O siódmej było już dwóch czy trzech chłopców na podwórzu. Długo nie mogłem zdecydować się wyjść ze swego pokoju, pokazać się uczniom. A kiedy wreszcie otworzyłem drzwi dawno nie wietrzonej, od dwóch miesięcy nie otwieranej klasy, stało się to, czego najbardziej na świecie się obawiałem: najwyższy z gromadki podszedł do mnie, uklonił się i powiedział, że „młoda pani z Sablonnières umarła wczoraj pod wieczór”.

Wszystko łączy mi się, wszystko stapia się w jedno uczucie nieopisanego bólu. Wydaje mi się, że już nigdy nie będę miał odwagi zabrać się do pracy. Mam wrażenie, że samo przejście przez podwórko szkolne jest już trudem ponad siły. Wszystko jest ciężarem, wszystko jest goryczą, skoro jej już nie ma. Świat jest pusty, wakacje skończone. Skończone długie spacerunki, skończona tajemnicza przygoda młodości...

Wszystko staje się znów zwykłą, codzienną udręką...

Powiedziałem chłopcom, że dziś lekcji nie będzie. Rozchodzą się

grupkami w różne strony, idą zanieść na wieś smutną nowinę. A ja biorę czarny kapelusz, kładę stary, lamówką obszyty surdut i z nieutuloną żalnością idę do Sablonnières.

...Jestem teraz przed domem, którego tak szukaliśmy przed trzema laty! To tu, w tym domu, zmarła wczoraj Yvonne de Galais, żona Augustyna Meaulnes... Człowiek obcy mógłby wziąć ten dom za kaplicę, taka cisza zapanowała wczoraj w tym nieszczęsnym domostwie.

Oto co czekało nas w ten piękny ranek pod koniec wakacji, oto co kryło obłudne słońce ślizgające się między gałęziami. Jakże tu znaleźć frile, żeby walczyć z tym okropnym uczuciem buntu, z tą falą bezsilnych łez! Odnaleźliśmy wymarzoną dziewczynę. Zdobyliśmy ją. Została żoną mego przyjaciela, a ja kochałem ją tym uczuciem najgłębszej, ukrytej przyjaźni, o którym nie mówi się nigdy. Patrzyłem na nią i byłem szczęśliwy jak dziecko. Może kiedyś byłbym także znalazł dziewczynę, którą chciałbym poślubić, a wtedy na pewno jej pierwszej powierzyłbym tę swoją wielką tajemnicę...

Na drzwiach przy dzwonku została jeszcze nie zdjęta od wczoraj kartka. Trumna stoi już na dole w przedpokoju. Na pierwszym piętrze spotykam mamkę dziecka, która zaraz zaczyna opowiadać mi, jaki był koniec, i cichutko roztwiera drzwi... A oto ona. Skończyła się gorączkowa, beznadziejna walka. Nie ma już wypieków, nie ma oczekiwania... Nic, tylko milczenie i twarda, obojętna, biała twarz obłożona watą, martwe czoło otoczone gęstymi jakby sztywnymi włosami.

W kącie pokoju, na podłodze przed szafą, tyłem do nas, klęczy pan de Galais, bez butów, tylko w skarpetkach na nogach i z uporem wariata bez przerwy szuka czegoś w otwartych szufladach. Od czasu do czasu wyciąga jakąś starą, pożółkłą już fotografię córki i wtedy gwałtowny szloch wstrząsa jego ramionami tak, jakby zanosił się od śmiechu.

Pogrzeb ma odbyć się o dwunastą. Doktor obawia się szybkiego rozkładu, który następuje czasami po śmierci spowodowanej przez skrzep. Dlatego też cała twarz i całe ciało zresztą otoczone jest watą przesyconą fenolem.

Ubrali ją w tę śliczną niebieską aksamitną suknię ze srebrnymi gwiazdkami, ale trzeba było zmiąć szerokie bufiaste rękawy, teraz już niemodne; wreszcie, kiedy wszystko było już gotowe, okazało się, że nie będzie można obrócić z trumną w wąskim korytarzu. Można by tylko na sznurkach wciągnąć trumnę na górę, i potem, w ten sam sposób, opuścić ją na dół... Ale pan de Galais, wciąż pochylony nad szufladą, gdzie szuka

jakichś pamiątek, odzywa się nagle z nieoczekiwaną gwałtownością:
— Nigdy — mówi głosem drżącym od łez i oburzenia — nigdy nie
pozwolę na taką okropną rzecz, prędeż ją na rękach zaniosę...
I byłby to zrobił, choć na pewno nie starczyłoby mu sił.

Decyduję się więc nie widząc już innego wyjścia: z pomocą doktora i
jednej kobiety podsuwam rękę pod plecy zmarłej, drugą pod kolana,
podnoszę ją tak, przyciśniętą do piersi, siedzi właściwie jakby na moim
lewym ramieniu, głowę opartą ma o prawe, ciąży straszliwie na moim
sercu... Idę wolniutko, schodek po schodku, po długich stromych
schodach, a na dole tymczasem wszystko przygotowują.

Ramiona mdleją mi strasznie. Na każdym stopniu zatrzymuję się na
chwilę, żeby złapać oddech. Spleciony z tym bezwładnym ciężkim ciałem
nachylam głowę nad jej głową, oddycham głęboko, i jej jasne włosy
dostają mi się do ust, włosy martwe, które mają jakby posmak ziemi. Ten
smak ziemi, ten ciężar na sercu, to wszystko, co zostaje mi z wielkiej
przygody i z ciebie, wymarżona dziewczyno, tak poszukiwana — tak
ukochana...

Rozdział XIII ZIELONY ZESZYT

Podczas pierwszych mroźnych dni, tej zimy, w domu pełnym żałobnych wspomnień, gdzie kobiety na zmianę dniami i nocami kołysały chore maleństwo, wkrótce zachorował stary pan de Galais i zgasł cichutko, kiedy nadeszły pierwsze ostre dni zimowe. Nie mogłem powstrzymać się od łez przy śmiertelnym łożu czarującego staruszka, który przez swą bezgraniczną słabość dla syna przyczynił się do naszej wielkiej przygody. Zmarł na szczęście nie rozumiejąc do końca tego wszystkiego, co się koło niego działo, w zupełnej ciszy i samotności. Ponieważ od dawna już nie utrzymywał żadnych stosunków z rodziną i w pobliżu nie miał nikogo bliskiego, nazначzył mnie wykonawcą ostatniej swej woli aż do powrotu Augustyna, któremu miałem zdać rachunki ze wszystkiego, o ile kiedykolwiek powróci... Zamieszkiwałem więc w Sablonnières. Codziennie udawałem się do szkoły w Saintc- -Benoist, wychodziłem wcześniej z rana zabierając ze sobą śniadanie, które odgrzewałem sobie na miejscu, i wracałem zaraz po skończonych lekcjach; w ten sposób mogłem stale być przy dziecku, które niańczyły kobiety z folwarku. Liczyłem także na to, że łatwiej mi będzie spotkać Augustyna, jeśli powróci kiedyś do domu.

Miałem jeszcze wciąż nadzieję, że znajdę, może w jakiejś szufladzie, w skrytce, jakieś papiery, jakiś list, cośkolwiek, co objaśniłoby mi choć w części, czym było życie mego przyjaciela przez ten długi czas jego zagadkowego milczenia, i sądziłem, że to mogłoby mi wytłumaczyć powód jego ucieczki, może naprowadzić mnie na jego ślad... Przeszukałem w tym celu już nie wiem ile szuflad w komodach i w szafach; w pokojach na górze, w składzikach obejrzałem zawartość rozmaitych pudeł kartonowych różnych kształtów, w których często znajdowały się paczki listów i starych, pożółkłych fotografii członków rodziny de Galais, czasem także pełno w nich było sztucznych kwiatów, różnych spłowiałych piór, niemodnych drobiazgów. Ulatniał się z tego wszystkiego jakiś przywiedły zapach, jakby zwietrzałej perfumy; zapach ten budził we mnie całą falę żalonych wspomnień, i wtedy na jakiś czas dawałem pokój moim poszukiwaniom...

Pewnej niedzieli jednak znalazłem na strychu niewielką, podłużną walizkę ze świńskiej skóry, mocno już zniszczoną; poznałem ją od razu: to walizka Augustyna, z czasów kiedy był uczniem w naszej szkole!. Zły byłem na siebie, że nie przyszło mi od razu do głowy od tego zacząć

poszukiwania. Bez trudności oderwałem stary, zardzewiały zamek. Walizka była: pełna zeszytów i starych książek z czasów szkolnych z Sainte-Agathe. Podręczniki algebry, literatury, zeszyty z zadaniami, czego tu nie było! Już nie przez ciekawość, tylko po prostu z rozrzuwaniem nad całą tą przeszłością, zacząłem przeglądać to, odczytywać stare dyktanda, które umiałem jeszcze na pamięć, tyle razy je przepisywaliśmy. Pamiętam tytuły: „Przygody w Kalabrii” Couriera albo „List George Sand do syna”...

Był tu także zeszyt z klasówkami, co mnie zdziwiło, bo tych zeszytów uczniowie nigdy nie zabierali ze sobą do domu, zostawały w szkole. Zeszyt ten był gruby, zielony, poślizki na rogach. Na okładce wspinałym rondem wykaligrafowane było imię i nazwisko ucznia: Augustyn Meaulnes. Spojrzałem na pierwszą stronę. Po dacie „kwiecień 189...” wnioskowałem, że Meaulnes rozpoczął ten zeszyt na krótki czas przed wyjazdem z Sainte- -Agathe. Pierwsze strony pisane były nadzwyczaj starannie; pamiętam, że dbaliśmy ogromnie o zewnętrzny wygląd tych wypracowań. Ale trzy strony zaledwie były zapisane, zeszyt był więc prawie całkowicie czysty i widocznie dlatego Meaulnes zabrał go ze sobą.

Siedząc na ziemi wspominałem sobie wszystkie te dziecinne nasze obyczaje, te różne zasady, którymi tak byliśmy przejęci, które taką rolę odgrywały w naszych młodzieńczych umysłach, i w zadumie, machinalnie przerzucałem kartki zeszytu. I w ten sposób nagle zauważyłem, że dalsze strony znowu były zapisane. Po ośmiu czystych następowały znowu strony zapisane gęsto aż do samego końca zeszytu.

Było to również pismo Augustyna, ale jakieś inne, pospieszne, niewyraźne, prawie nieczytelne. Odstępy między wierszami nieregularne. Często jakieś niedokończone zdanie. Czasem jakaś data. Od pierwszego wiersza wyczułem od razu, że mogą tu być dane dotyczące życia Augustyna w Paryżu, te właśnie rzeczy, o które najbardziej mi chodziło; wziąłem więc zeszyt i poszedłem na dół do jadalni, żeby tam spokojnie i przy dobrym świetle przestudiować niezwykle cenny dokument. Dzień był jasny, ale niespokojny: chwilami słońce rysowało na białych firankach ostre, wesołe cienie, to znów chowało się za przelotnymi chmurami i wtedy nagle lodowata ulewa dzwoniła o szyby. Przy świetle tego okna z białą firanką, grzejąc się przy ogniu palącym się na kominku, odczytałem te strony, które wyjawiały mi tyle niezrozumiałych zdarzeń i których dokładną kopię tu załączam.

Rozdział XIV

TAJEMNICA

Raz jeszcze byłem pod jej oknem. Szyby jak zawsze zakurzone od ulicy, a od wewnątrz zasłonięte gęstą firanką. Gdyby nawet Yvonne de Galais otworzyła teraz to okno, nie miałbym jej już nic do powiedzenia, skoro już jest zamężna... Co począć teraz? Jak żyć?...

Sobota, 13 lutego. — Spotkałem dziś na nadbrzeżu tę panienkę, która mówiła ze mną wtedy, w czerwcu, która tak jak ja czekała przed tym zamkniętym domem... Podeszedłem do niej, rozmawialiśmy. Idąc koło niej obserwowałem ją z boku, zauważyłem parę nieładnych szczegółów, jakąś zmarszczkę koło ust, pewien brak świeżości w policzkach, trochę za dużo pudru koło nosa. Nagle odwróciła się do mnie, popatrzyła mi w oczy, może dlatego, że jest znacznie ładniejsza en face niż z profilu, i powiedziała:

— Jaki pan zabawny! Przypomina mi pan jednego młodego człowieka, który mi asystował kiedyś w Bourges. Byłam z nim nawet zaręczona...

Jednak, kiedy już się ściemniło, stając na chwilę w świetle gazowej latarni odbijającej się w opustoszałym wilgotnym chodniku zbliżyła się do mnie i poprosiła, żebym zabrał ją dziś z siostrą do teatru. W tej chwili po raz pierwszy zauważyłem, że jest w żalobie, że kapelusz ma jakiś dziwny, za stary jakby dla niej, i nosi pod pachą jakiś cienki, wysoki parasol, podobny do laski. Stojąc tuż koło niej zrobiłem jakiś ruch ręką, tak że niechcący dotknąłem jej stanika i poczułem pod palcami ostrość krepy... Z początku wymawiam się, jak mogę, od tego teatru. Rozgniewała się i chciała odejść, więc zatrzymuję ją i teraz to ja proszę ją nawet, żeby się zgodziła na ten wspólny wieczór. Jakiś robotnik przechodził koło nas i nagle w ciemności rzucił przez ramię śmiejąc się:

— Nie idź tam, mała! Nie idź tam! Nic dobrego ci nie zrobi!

Oboje staliśmy zawstyżeni. Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć.

W teatrze. — Obie panny, moja znajoma (nazywa się Waieria Blondeau) i jej siostra, przyszły owinięte w jakieś nędzne koronkowe szale.

Walercia ma miejsce przede mną. Odwraca się co chwila i spogląda na mnie niespokojnie, jakby myślała, że chce czegoś od niej.

A mnie jest jakoś dobrze w jej towarzystwie. Za każdym razem, kiedy się na mnie ogląda, odpowiadam jej uśmiechem.

Naokoło nas było mnóstwo kobiet zanadto wydekoltowanych.

Żartowaliśmy z tego. Ona uśmiechała się najpierw, a później powiedziała: — Nie powinnam się z tego śmiać. Sama mam duży dekolt. — I owinęła się ściślej szalem. Istotnie, pod cienką czarną koronką widać bv'o, że ubierając się w pośpiechu niedokładnie opuściła koszulę, białą i zwyczajną, która wyglądała trochę spod sukni.

Jest w niej coś trochę żalosego i dziecinnego; w jej oczach jest jakiś smutek i zarazem jakiś wyraz śmiałości, który mnie pociąga. Przy niej, przy tej jedynej istocie na świecie, która mogła powiedzieć mi coś o ludziach „stamtąd”, myślę ciągle o mojej dawnej, dziwnej przygodzie... Chciałem raz jeszcze pomówić i nią o tym domu na bulwarze. Ale wtedy ona zaczęła zadawać mi tak krępujące pytania, że nie wiedziałem, co mam jej odpowiadać. Czuję, że teraz już oboje będziemy na ten temat milczeli. A jednak wiem, że na pewno znowu się z nią zobaczę. Po co? Co mi z tego?... Czyż jestem teraz skazany na tropienie każdego, kto ma choćby najdalszy, najbardziej znikomy związek z moją nieudaną przygodą?

O dwunastej w nocy idąc sam po ulicy zastanawiam się nad tym, jakie ma dla mnie znaczenie ta nowa, dziwaczna historia. Idę wzdłuż domów ustawionych rzędem jak pudełka, w których śpi tyle ludzi. I naraz przypominam sobie pewne postanowienie, które powziąłem zeszłego miesiąca: postanowiłem wtedy, że pójdę tam około pierwszej w nocy, obejdę dom naokoło, otworzę furtkę do ogrodu, wejdę tam jak złodziej i raz jeszcze poszukam czegośkolwiek, co mogłoby wskazać mi drogę do utraconego królestwa, żeby ją zobaczyć, tylko zobaczyć. Ale jestem zmęczony, głodny... Musiałem także przebrać się idąc do teatru, i nie miałem czasu na obiad... Wróciłem więc do domu, ale jeszcze długo siedziałem nie rozbierając się na łóżku, opanowany przez jakieś nieokreślone, niezrozumiałe wyrzuty. Dlaczego?

Jedno muszę jeszcze zanotować: nie chciały, żebym je odprowadzał, a nawet nie chciały powiedzieć mi, gdzie mieszkają. Ale z daleka szedłem za nimi prawie do końca. Wiem teraz, że mieszkają w małej uliczce niedaleko Notre-Dame. Ale pod którym numerem? Nie wiem. Przypuszczam, że są szwaczkami albo modystkami.

Walercia w sekrecie przed siostrą umówiła się ze mną na czwartek o czwartej po południu przed tym samym teatrem, gdzieśmy byli.

— Jakbym nie przyszła — dodała — to niech pan jeszcze przyjdzie w piątek, potem w sobotę i tak dalej, codziennie o tej samej porze.

Czwartek, 18 lutego. — Poszedłem tam mimo okropnego wiatru; który

lada chwila groził ulewą. Ciągłe myślałem, że rozpada się na dobre...

Idę wśród zapadającego już zmroku, z dziwnym ciężarem na sercu. Spada pierwsza kropla deszczu. Boję się, żeby nie lało. Mogłaby nie przyjść. Ale wiatr zrywa się znowu i zaczyna rozpędzać chmury. Chwilami szare niebo rozświetla się nagle, wreszcie wielki, ponury obłok musiał ustąpić słońcu. A ja tu stoję i czekam.

Przed teatrem. — Po kwadransie czekania jestem już pewien, że ona nie przyjdzie. Z miejsca, gdzie stoję, widzę ludzi przechodzących po moście. Siedzę wzrokiem wszystkie sylwetki młodych kobiet ciemno ubranych i jestem prawie wdzięczny tym, które najdłużej wydawały mi się do niej podobne i podtrzymywały jeszcze moją nadzieję.

Czekam już od godziny. Jestem znużony. Ściemniło się. Widzę policjanta taszczącego do pobliskiego posterunku jakiegoś łobuza. Chłopak zduszonym głosem wymyśla mu najgorszymi wyzwiskami, jakie tylko może sobie przypomnieć. Policjant jest wściekły, błądy ze złości, ale milczy... Kiedy już dochodzili do posterunku, zaczął go szturchać, wreszcie otworzył drzwi, wepchnął go do środka i zatrzasnął drzwi za sobą, żeby móc swobodnie zbić biedaka... Nagle okropna myśl przychodzi mi do głowy: wydaje mi się, że wyrzekłem się rajy i że stoję tu teraz dobijając się do drzwi piekła.

Zniechęcony ruszam wreszcie z miejsca i kieruję się w stronę wąskiej uliczki pomiędzy Sekwaną a Notre-Dame, gdzie wiem, że one mieszkają. Ulica jest pusta. Chodzę tam i z powrotem. Od czasu do czasu jakaś gosposia albo służąca wychodzi pomimo deszczu, żeby jeszcze załatwić przed nocą sprawunki. Nie ma tu nic dla mnie, idę już sobie... Przechodzę raz jeszcze przez plac, gdzie mieliśmy się spotkać; wciąż pada drobny deszcz, ale niebo nie jest jeszcze zupełnie ciemne... Spostrzegam, że ruch jest teraz większy niż przed chwilą; ciemny tłum...

Podejrzenia. Zniechęcenie. Zmęczenie. Czepiam się wciąż myśli: jutro. Jutro o tej samej porze, w tym samym miejscu znów będę czekał na nią. I bardzo mi pilno do tego jutra. Nudno mi na samą myśl o dzisiejszym wieczorze, o jutrzejszym ranku, który spędzę na beczynnym czekaniu... Ale czyż dzień dzisiejszy nie jest już prawie skończony? Wracam do domu, siadam przy ogniu palącym się na kominku, słyszę, jak na ulicy wykrzykują gazeciarze. Ona pewno też słyszy to samo z tego swego mieszkanka koło Notre-Dame.

Ona... Chcę powiedzieć — Walercia.

Ten wieczór, przez który chciałbym przebrnąć jak najprędzej, dziwnie

się dłuży. Podczas gdy godziny płyną, myślę, że ten dzień ma się ku końcowi i że są ludzie, którzy pokładali w nim wszystkie nadzieje, swoje najdroższe marzenia, swoje ostatnie siły... Ilu w tej chwili umiera, ilu czeka na wyrok sądu, ci wszyscy pragnęliby, żeby jutro nigdy nie nadeszło. Są także i tacy, dla których to jutro będzie ciężkim wyrzutem. Inni są już zmęczeni do ostatnich granic, i ta noc nie da im wypoczynku, jakiego potrzebują. A ja, który przemarnowałem cały dzień, jakim prawem czekam jutra?

Piątek wieczorem. — Myślałem, że dziś napiszę: „Nie zobaczyłem już jej.” I że wszystko będzie skończone.

Ale kiedy dziś o czwartej znalazłem się przed teatrem, stała na umówionym miejscu. Wydała mi się dziwnie poważna, szczupła i wysoka w tej czerni, ale była mocno upudrowana i miała wkoło szyi białą kreskę, co nadawało jej wygląd pierrota, zabawnego, zażenowanego pierrota, którego ktoś złapał na gorącym uczynku.

Przyszła, żeby mi powiedzieć, że nie chce się ze mną widywać, że już nigdy więcej nie przyjdzie...

A jednak wieczorem, kiedy noc zapadła, spacerujemy jeszcze wciąż razem po zwirowanej alei w Tuileriach. Ona opowiada mi swoje życie, ale w sposób tak tajemniczy, że nie bardzo rozumiem. Mówi „mój kochanek” o tym narzeczonym, za którego ostatecznie nie wyszła. Robi to zapewne umyślnie, żeby mnie zrazić, żebym się do niej nie przywiązywał.

Niektóre jej zdania przypominam sobie z niechęcią: „Nie trzeba, żeby pan miał do mnie zaufanie. Zawsze robiłam same głupstwa.” „Nawłóczyłam się, naobijałam się dosyć sama po świecie!” „Doprowadzałam mojego narzeczonego do rozpacz. Porzuciłam go, bo zanadto mnie uwielbiał; widział mnie tylko taką, jaką byłam w jego wyobraźni, a nie taką, jaką jestem naprawdę. A ja mam mnóstwo wad. Nie byłibyśmy ze sobą szczęśliwi.”

Ciągle łapię ją na tym obmawianiu siebie samej, na mówieniu o sobie gorzej, niż na to zasługuje. Mam wrażenie, że sama przed sobą chce się upewnić, że miała rację robiąc to głupstwo, które zrobiła, że nie ma sobie nic do wyrzucenia, że nie była godna szczęścia, które miało ją spotkać.

Kiedyś znowu powiedziała:

„To, co mi się w panu podoba — i popatrzyła na mnie długo i przenikliwie — to, co mi się w panu podoba, to właściwie — moje wspomnienia...”

A kiedy indziej znowu:

„Ja jeszcze go kocham, więcej, niż się panu zdaje.” I potem nagle gwałtownie, jakby z jakąś rozpacziwą decyzją spytała: „No, więc co, ostatecznie? Czego pan ode mnie chce? Czy pan także mnie kocha? Czy także chce pan prosić o moją rękę?”

Bąknąłem coś bez sensu. Sam nie wiem właściwie, co jej odpowiedziałem. Może powiedziałem: tak.

W tym miejscu urwał się ten dziwny pamiętnik. Potem zaczynały się jakieś bruliony listów, nieczytelne, zamazane. Jakże lekkomyślnie postąpił Meaulnes! Prosił widocznie dziewczynę, żeby porzuciła swoje dotychczasowe zajęcie, a sam tymczasem zajął się przygotowaniami do ślubu. Ale dręczony wciąż pragnieniem odnalezienia dawnej, wielkiej miłości kilka razy uciekał od narzeczonej i potem listownie w żaloszny, niezręczny sposób usiłował tłumaczyć się przed nią ze swego postępowania.

Rozdział XV TAJEMNICA

(ciąg dikzy)

I znów rozpoczął się pamiętnik.

Z początku zanotowane były wspomnienia z jakiegoś wspólnego pobytu na wsi, nie wiem nawet gdzie. Ale rzecz dziwna, od tego czasu — może przez wrodzoną wstydlivość — dziennik pisany był tak lakonicznie, tak niejasno, przy tym szybkim, nerwowym pismem, że wiele musiałem sam sobie dopowiedzieć i z tych krótkich, bezkształtnych zdań musiałem dopiero odtworzyć cały ten okres życia mego przyjaciela.

14 czerwca. — Kied;, Meaulnes zbudził się wcześniej z rana w oberży, zauważył, że słońce zapaliło swym blaskiem czerwony wzór na czarnej firance zasłaniającej okno. Na dole jacyś robotnicy, którzy przyszedli tu przed pracą na śniadanie, mówili bardzo głośno, jeden przez drugiego. Okazało się, że narzekali dość zresztą spokojnie na swego chlebobawcę. Zapewne od dawna już te głosy dochodziły do uszu Augustyna, tylko po prostu sobie tego nie uświadamiał. Ta firanka, na której czerwone winogrona lśniły się blaskiem słonecznym, te poranne odgłosy dolatujące do cichego pokoju — wszystko to stopiło się w niezrównany nastrój przebudzenia gdzieś na wsi, na początku rozkosznych, długich wakacji. Wstał, zastukał ostrożnie do drzwi sąsiedniego pokoju i, nie usłyszawszy odpowiedzi, otworzył je. Spojrzał na Walercię i nagle zrozumiał, skąd czuł w sobie tyle cichej radości. Spała tak spokojnie, tak cichutko, że nawet nie słyhać było jej oddechu; tak chyba tylko sypiają ptaki. Długo patrzył na tę twarz dziecinną jeszcze, twarz o zamkniętych oczach, tak że chciałoby się rie budzić jej nigdy.

Zbudziła się wreszcie sama, ale nie poruszyła się nawet, otworzyła tylko oczy i popatrzyła na niego...

Kiedy powrócił do pokoju, dziewczyna była już ubrana.

— Zaspaliśmy — powiedziała.

I od razu zaczęła się krzątać jak młoda gosposia w swoim własnym domu.

Posprzątała w pokojach, wyczyściła ubranie, które Augustyn miał na sobie poprzedniego dnia, ale wpadła w rozpacz zobaczywszy, że dół spodni był cały zabłocony. Wahała się przez chwilę nie wiedząc, co z tym zrobić, wreszcie wzięła nóż i ostrożnie zeszkrobała warstwę błota, zanim wzięła się do szczotkowania.

— Tak zawsze robili chłopcy w Sainte-Agathe — rzekł Meaulnes.

— A mnie tego nauczyła matka — odpowiedziała.

...I pomyślałem w tym miejscu, że gdyby nie jego wielka, tajemnicza przygoda, to taka właśnie dziewczyna jak Walercia byłaby wymarzoną towarzyszką dla mego przyjaciela, prostego, wiejskiego chłopca.

15 czerwca. — Dzięki znajomym, którzy ich przedstawili jako małżeństwo, zostali ku swemu wielkiemu niezadowoleniu, zaproszeni na obiad, na którym Walercia okazała się nieśmiała jak młoda mężatka.

Dwa zapalone świeczniki stały po obu końcach stołu przykrytego prostym, białym obrusem jak na wiejskim weselu. Łagodne światło rzucało migotliwe blaski na twarze niknące w mroku, gdy tylko trochę się nachylały.

Po prawej stronie Patrycego, syna gospodarza, siedziała Walercia, przy niej Meaulnes wciąż milczący i ponury, choć raz po raz zwracano się do niego. Dla uniknięcia plotek w tym zapadłym kącie postanowił przedstawić Walercię jako swoją żonę, ale od tej chwili nie przestawały dręczyć go gorzkie wyrzuty i beznadziejny żal. I podczas gdy Patrycy zwracał się do swych gości ze szczerą, wylewną gościnnością wiejskiego gospodarza, Augustyn myślał: „Znam taką obszerną niską salę, podobną do tej izby, w tej sali i ta mógłbym być gospodarzem... przy takim stole jak ten powinienem dziś przyjmować swych weselnych gości.”

Walercia siedziała przy nim onieśmielona, wymawiała się od wszystkiego, czym ją częstowano. Zupełnie młoda wieśniaczka. Co chwila spoglądała na Augustyna, jakby czekając na jego poparcie. Od dawna już Patrycy nalegał, żeby wypić wino, które przed nią stało, aż wreszcie Meaulnes nachylił się do niej i rzekł łagodnie:

— Trzeba wypić, kochanie.

Posłusznie wychyliła kieliszek i Patrycy z uśmiechem wieszował swemu gościowi tak uległej małżonki.

Ale Walercia i Augustyn oboje byli małomówni i zamyśleni. Przede wszystkim byli zmęczeni, mieli obuwie przemoczone po wieczornym spacerze i nogi marzły im na kamiennej podłodze. Meaulnes od czasu do czasu mówił o Walerci: „Moja żona”, „Mówiłem mojej żonie...”

I za każdym razem, kiedy wymawiał te słowa w tym obcym domu, między tymi nieznanymi ludźmi, doznawał uczucia dręczącej winy.

17 czerwca. — Ostatnie popołudnie na wsi źle się rozpoczęło. Patrycy i jego żona wybrali się z nimi na spacer. Szli łagodnym zboczem pokrytym

wrzosami; wkrótce pary rozdzieliły się. Meaulnes i Walercia usiedli w jakimś zacienionym miejscu, wśród kwitnących żarnowców.

Niebo było zasnuwane chmurami i wiatr przynosił ze sobą drobne krople deszczu. Wieczór ten miał gorzki posmak nudy, nudy tak beznadziejnej, że nawet miłość nie mogła jej rozwiązać.

Długo siedzieli tak na uboczu, schowani za gałęziami, prawie milcząco. Wreszcie wypogodziło się i oboje pomyśleli, że teraz już wszystko będzie dobrze.

Zaczęli mówić o miłości. Walercia mówiła, mówiła...

— Wyobraź sobie na przykład, co obiecywał mi mój narzeczony, taki był z niego dziwak — trzepała. — Mieliśmy od razu mieć swój dom na wsi, niby jakąś chatkę, gdzieś przy drodze, między polami. Ten dom był już zupełnie gotowy dla nas, mówił. Mieliśmy tam przyjechać, jakby wracając z wielkiej podróży, w wieczór naszego ślubu, tuż przed zapadnięciem nocy. I wszędzie po drodze, w lesie, potem na podwórzu miały nas witać jakieś nieznanne dzieci, miały wołać: „Niech żyje panna młoda!” No, powiedz sam, co temu chłopcu po głowie chodziło!...

Meaulnes słuchał tego wszystkiego zdziwiony, posepny, zdawało mu się, że w tym opowiadaniu słyszy jakby echo znajomego ongiś głosu. I w głosie dziewczyny czuł także jakiś ukryty żal.

Ale ona w tej samej chwili pomyślała, że może sprawiła mu przykrość tym opowiadaniem, i w nagłym porywie, ze słodyczą zwróciła się do niego:

— A tobie — rzekła — chcę dać wszystko, co posiadam, coś, co było dla mnie najcenniejszą pamiątką... weź to i spal!

I patrząc mu prosto w oczy wyjęła z kieszeni niewielką paczkę listów. Były to listy jej narzeczonego.

Poznał od razu pismo. Jakże mógł wcześniej nie domyślić się całej prawdy. Tak, bez wątplenia, było to pismo Rudolfa-Cygana. Pamiętał je dobrze, drobne, nerwowe litery na kartce, którą zostawił młody samobójca tam na stole... przy palącej się świecy...

Szli teraz wąską ścieżką wśród łąk pachnących sianem, pełnych stokrotek, oświetlonych ukośnie promieniami zachodzącego słońca. Meaulnes był tak zaskoczony tym odkryciem, że nie mógł na razie nawet zdać sobie sprawy, co to wszystko znaczy, czym była w jego życiu ta fatalna pomyłka. Czytał, bo ona prosiła go o to, czytał dalej i dalej dziecinne, sentymentalne, wzruszające zdania.

W ostatnim liście na przykład:

„Ach! Zgubiłaś to małe serduszek, które ci dałem, wiesz, kochanie, że to niewybaczalne! Cóż teraz będzie z nami? Ale nie, na szczęście nie jestem przesądny...”

Meaulnes czytał na wpół oślepiiony przez rozpacz i gniew, które go ogarniały, błądząc, z drżącymi ustami. Walercia, zaniepokojona wyrazem jego twarzy, zajrzała do listu, żeby się przekonać, co mogło tak dalece go wzruszyć.

— To serduszek — zaczęła bardzo szybko, żeby go uspokoić — to był taki mały klejnocik na szyję, który mi dał, i kazał mi przysiąć, że do śmierci będę to nosiła. To też jeden z tych jego wariackich pomysłów.

Ale to rozdrażniło Augustyna do ostateczności:

— Wariackie! Dlaczego wciąż powtarzasz to słowo? — i gwałtownie zmiażdżył listy chowając je do kieszeni. — Dlaczego mu nie wierzyłaś? Ja go znałem, to był najbardziej czarujący chłopak, jakiego w życiu spotkałem!

— Znałeś go? — krzyknęła. — Jak to, znałeś Rudolfa de Galais?

— To był mój przyjaciel, mój najlepszy towarzysz, a ja za to zabrałem mu narzeczoną! To ty jesteś wszystkiemu winna! — wybuchnął wreszcie z wściekłością — to wszystko przez ciebie! Przez to, że w nic nie chciałaś wierzyć. Teraz już wszystko stracone!...

Chciała coś powiedzieć, wziąć go za rękę, ale odepchnął ją brutalnie.

— Zostaw mnie. Idź precz.

— Kiedy tak, to pójdę sobie, pójdę — bąkała przez zęby, cała czerwona. — Wrócę do Bourges, do domu, razem z siostrą. A jak po mnie nie przyjedziesz, a ojciec nie będzie chciał mnie trzymać w domu, bo jest za biedny, to pójdę do Paryża na piechotę, pójdę włóczyć się byle gdzie, jak już raz się włóczyłam, zostanę taką zwyczajną dziewczyną, bo już nawet nie mam zajęcia...

I wróciła, żeby spakować swoje rzeczy. Meaulnes nawet nie obejrzał się za nią i poszedł prosto przed siebie.

W dzienniku znowu następowała przerwa.

Znalazłem jeszcze jakieś bruliony listów, listów człowieka niezdecydowanego, wykolejonego. Meaulnes wrócił do La Ferte d'Angillon i pisał stamtąd listy do Walerci, mówił jej, że nie chce jej już widzieć, ale czuło się, że jednak miał nadzieję na odpowiedź. W jednym z tych listów pytał ją o to, o czym pod wrażeniem nieoczekiwanego, strasznego odkrycia na razie po prostu zapomniał: czy wiedziała dokładnie, gdzie

znajduje się na próżno przez niego poszukiwany majątek i dwór... W innym znów błagał ją, żeby pogodziła się z Rudolfem... Obiecywał jej, że go odnajdzie. Prawdopodobnie jednak ani jeden z tych listów nie został wysłany, a w każdym razie widoczne było, że Augustyn nie otrzymał nigdy żadnej odpowiedzi. Był to dla niego okres strasznej walki wewnętrznej w kompletnym osamotnieniu. Nadzieja zobaczenia jeszcze kiedykolwiek Yvonne de Galais rozwiąła się ostatecznie i prawdopodobnie nawet wola znalezienia jej. I sądząc po następnych — ostatnich stronach pamiętnika — zrozumiałem, że pewnego pogodnego poranku w początku wakacji musiał po prostu wsiąść na rower i wybrać się do Bourges w celu zwiedzenia katedry.

Jadąc piękną, prostą drogą między lasami wymyślał sobie mnóstwo pretekstów, żeby z największą możliwie godnością nie mówiąc nawet o pogodzeniu się stanąć przed tą, którą od siebie odepchnął.

Ostatnie strony, które z trudnością odcyfrowałem, opowiadają pokrótce o tej podróży i o tej ostatniej winie...

Rozdział XVI

TAJEMNICA

(dokończenie)

25 sierpnia. — Na krańcach miasta, w nowo budującej się dzielnicy znalazł wreszcie po długich poszukiwaniach dom, w którym mieszkała rodzina Blondeau. Na progu stała, jakby czekając na niego, jakaś starsza kobieta — matka Walerci. Miała typową twarz starej gospodyni, zniszczoną już, o zgrubiałych rysach, ale jeszcze piękną. Patrzyła na zbliżającego się młodzieńca z ciekawością i kiedy spytał: — Czy mieszkają tu panny Blondeau? — odpowiedziała mu bardzo uprzejmie, że 15 sierpnia powróciły do Paryża. — Nie pozwoliły mi nikomu dawać adresu — dodała — ale jak napisać pod dawnym, to im list odeślą.

Meaulnes zawrócił powoli. Prowadząc rower po wąskiej ścieżce ogródka myślał:

„Pojechała... Wszystko skończyło się tak, jak tego chciałem... Zmusiłem ją do tego. «Zostanę taką zwyczajną dziewczyną» — powiedziała. I to ja pchnąłem ją na tę drogę! To ja zgubiłem narzeczoną Rudolfa!”

I po cichu powtarzał bez sensu jak wariat: „Tym lepiej, tym lepiej!” — w rozpaczliwym przekonaniu, że przeciwnie, było to „tym gorzej” i że lada chwila, w oczach tej nieznajomej kobiety patrzącej na niego z ciekawością, zachwieje się i padnie tu nagle na kolana.

Nie miał ochoty na jedzenie, ale wstąpił do kawiarni, usiadł przy stoliku i zaczął pisać list do Walerci. List ten był jednym krzykiem rozpaczy i oburzenia. „Jak mogłaś, jak mogłaś dojść aż do tego?! Jak mogłaś tak stracić swoją godność? Upaść tak nisko!”

Przy sąsiednim stoliku siedziało kilku wojskowych tego popijając. Jeden z nich hałaśliwie opowiadał swoje przejście z jakąś kobietą. — Powiedziałem jej: „Przecież mnie pani zna! Co wieczór gram partyjkę z pani mężem!” — Tamci śmieli się, odwracali głowy od stolika i spluwali na podłogę. Meaulnes blady, zmęczony i brudny po przebytej drodze wyglądał na żebraka. Patrzył na nich i wyobrażał sobie wciąż Walercię na kolanach każdego z tych ludzi.

Kilka razy objeżdżał katedrę na rowerze i powtarzał sobie: „Przecież właściwie przyjechałem tu, żeby zwiedzić katedrę.” Widziało się ją ze

wszystkich stron: z rynku, w perspektywie długich, wąskich uliczek wyrastała olbrzymia, milcząca. Stare, wąskie uliczki, które ją otaczały, były brudne, zasypane papierami i śmieciem jak uliczki otaczające kościoły w małych wioskach. Na kilku domach widział jakieś podejrzone szyldy, czerwoną latarkę u wejścia... W tej brudnej dzielnicy, gdzie jak w średniowieczu rozpusta nie bała się umieścić tu, tak blisko arkad świątyni, czuł się coraz bardziej samotny i obciążony gniotącymi go wyrzutami. I jak prostego chłopa zaczął ogarniać go strach przed dziwadłami wyrzeźbionymi w zakątkach z kamienia, a wyobrażającymi wszelkie występki. I wydało mu się, że nie znajdzie tu lekarstwa na żal za czystą, utraconą miłością.

Dwie dziewczyny trzymając się w pół przeszły obok niego rzucając mu wyzywające spojrzenie. Przez głupie uczucie przekory, na złość swej niewygasłej miłości, podążył za nimi na rowerze. Jedna z nich, nędzna blondynka o włosach rzadkich, ściągniętych w tył przez fałszywy węzeł, powiedziała mu, żeby przy szedł o szóstej do parku biskupiego (do tego samego parku, gdzie Rudolf spotykał się ze swoją narzeczoną).

Nie odmówił, bo wiedział, że o tej porze będzie już daleko za miastem. A w wąskiej spadzistej uliczce dziewczyna długo siedziała w oknie cierpliwie wyczekując nieznanego.

Spieszył się teraz z powrotem.

Nie był w stanie odmówić sobie bolesnej przyjemności zobaczenia raz jeszcze domu Walerci. Przyglądał mu się długo, uporczywie, jakby chciał pod powieką utrwalić na zawsze przedmiot swego żalu, zrobić sobie zapas cierpienia. Był to jeden z ostatnich domów przedmieścia i ulica od tego miejsca przechodziła już w szosę... Naprzeciwko były jakieś wolne place. Nikogo nie było w oknie ani na podwórzu, wszędzie naokoło pusto i cicho. Raz tylko przeszła jakaś mocno upudrowana, brudna kobieta ciągnąca za sobą dwóch małych, obdartych chłopców.

Myślał, że to tu upłynęło dzieciństwo Walerci, tu zaczęła patrzeć na świat niewinnymi ufnymi oczyma. Tu, za tymi oknami szyła, pracowała. I Rudolf przechodził tędy, żeby ją zobaczyć, szedł tą ulicą uśmiechnięty, zakochany. A teraz nic nie zostało z tego wszystkiego, nic... Smutny, samotny wieczór ciągnął się bez końca, a Meaulnes myślał, że może w tej chwili Walercia z takim samym żalem wspomina te miejsca znajome, do których nie wróci już nigdy.



Długa droga, którą miał przed sobą, była jeszcze jedyną pociechą, jedyną przymusową rozrywką, która czekała go, zanim pogrążył się beznadziejnie w swym smutku.

Pojechał. W głębi zielonej doliny przy drodze mijal ciche osady, rozkoszne wiejskie domki między drzewami u brzegu wody, o spiczastych dachach, pokryte bluszczem lub winem. Myślał, że może tam, w tych ogródkach, wśród zieleni młode, niewinne dziewczyny poważnie rozmawiają o miłości. Pewno mieszkają tam piękne, świetlane dusze...

Ale dla niego w tej chwili nie istniało nic oprócz tego niewygasłego jeszcze uczucia i żalu, że sponiewierał tak bezlitośnie, że zgubił tę właśnie dziewczynę, którą winien był otoczyć opieką i przyjaźnią.

Z kilku zdań pospiesznie widać zapisanych dowiadywałem się, że Augustyn postanowił odszukać Walercię za wszelką cenę, póki jeszcze nie będzie za późno. Sądząc po dacie w rogu jednej z ostatnich stron zeszytu domyśliłem się, że miała to być właśnie ta podróż, w którą wybierał się Meaulnes wtedy, kiedy przyjechałem po niego do La Ferté d'Angillon. W piękny sierpniowy poranek, sam w dużej, pustej sali, zegnał się ze swoją przeszłością, zapisywał swoje ostatnie wspomnienia — kiedy nagle, nieoczekiwanie otworzyłem drzwi starej klasy przychodząc do niego z wielką nowiną, na którą już nie czekał. I znowu został porwany przez swoją dawną przygodę, obezwładniony, nie mając odwagi oprzeć się szczęściu ani też przyznać do winy. Zaczęły się wtedy wyrzuty, żal i udręka to tłumione siłą, to znów biorące górę nad wszystkim — i tak aż do nocy poślubnej kiedy nagle teatralny Rudolf bezlitośnie przypomniał mu dawną, dziecinną przysięgę.

Na stronach tego samego zeszytu znalazłem jeszcze kilka słów skreślonych naprędce o świcie, wtedy, gdy za jej zgodą, ale na zawsze, opuścić miał Yvonne de Galais, swoją żonę:

„Wyjeżdżam. Muszę odszukać obu Cyganów, którzy byli tu wczoraj w lesie i wyjechali gdzieś drogą na wschód. Będę miał prawo wrócić do mojej żony tylko wtedy, kiedy przyprowadzę tu, do ich domu — Rudolfa i Walercię na zawsze już połączonych.

Zeszyt ten rozpoczęty jako pamiętnik i który stał się moim powiernikiem w ciągu tych kilku lat, zostawiam na wypadek, gdybym nie powrócił, mojemu przyjacielowi — Franciszkowi Seu-rel”.

Widocznie wsunął w pośpiechu zeszyty między inne papiery do starego, uczniowskiego kufierka, który zamknął na klucz, i uciekł.

Czas mijał. Traciłem już powoli nadzieję zobaczenia jeszcze kiedykolwiek mego przyjaciela i bezbarwne, długie dni snuły się monotonnie pomiędzy nudą szkolnej pracy a smutnym, opustoszałym domem. Rudolf nie zjawił się na umówione spotkanie, a zresztą nie miałem dla niego żadnej wiadomości, gdyż ciotka Moinel od dawna już nie wiedziała, co dzieje się z Walerią.

Jedynym jasnym promieniem, jedyną radością życia w Les Sablonnières stało się z czasem maleństwo, które jednak dało się odchowac i które zanosilo się na ładną i zdrową dziewczynkę. Miała już blisko rok. Próbowala chodzić czepiając się krzesel i posuwając je przed sobą; przewracala się często, ale nic sobie z tego nie robila. Śmiała się i hałasowała przez cały dzień i echo-tej dziecinniej wesołości dziwnie brzmiało w posępnych murach pustego domu. Często brałem ją na ręce, ale nigdy nie dała się pocałować. Ze złośliwą a zresztą rozkoszną przekorą trzepotała mi się w rękach jak schwytany ptak, odwracała główkę zaśmiewając się i odpychając moją twarz malutką, pulchną rączką. Zdawało się, że tą swoją beztroską, tą hałaśliwą dziecinną radością chciała rozproszyć smutek ciąży od dnia jej urodzenia na tym nieszczęsnym domu. Często powtarzałem sobie: „Mimo całej jej przekory przecież to będzie też trochę jakby moje dziecko”. Ale widocznie i to także nie było mi przeznaczone.

Pewnej niedzieli z rana, pod koniec września, wstałem bardzo wczesnie, nawet niania i dziecko spały jeszcze. Miałem iść łowić ryby w rzece z dwoma ludźmi z miasteczka i z Jaśminem Delouche. Na połów ten zresztą nie mieliśmy właściwie pozwolenia, ale muszę przyznać, że nieraz brałem udział w nocnych wyprawach z sieciami lub wędkami nad rzekę... Latem zwykle wyruszaliśmy o świcie i wracaliśmy dopiero na południe do domu. Dla tych ludzi był to nieraz jedyny zarobek; dla mnie — jedyna rozrywka, jedyna rzecz, która przypominała mi dawniejsze przygody. I polubiłem z czasem długie godziny spędzone nad rzeką lub na łódce wśród szuwarów i szeleszczących gęstych trzciny jeziora.

Tego rana właśnie, już przed szóstą, zajęty byłem rozplątywaniem sieci, które poprzednim razem zostawiłem bezładnie porzucone w niewielkiej szopie stojącej w warzywniku, przy ogrodzeniu dzielącym park od gospodarskiej części majątku.

Nie rozwidniło się jeszcze całkowicie, ale w półmroku świeżego poranka czuło się już nadchodzący piękny, ciepły dzień wrześniowy. W

szopie, gdzie siedziałem schylony nad sieciami, było jeszcze prawie ciemno.

Chwilę już zajęty byłem tą robotą, kiedy usłyszałem zgrzyt otwierającej się furtki i kroki po żwirze.

„Oho! — pomyślałem sobie — moi ludzie się pospieszyli, a ja jeszcze nie mam gotowych sieci...”

Ale człowiek, który wszedł w tej chwili przez furtkę, nie był mi znajomy. Nie widziałem go wyraźnie, ale zauważyłem, że był to wysoki, brodaty mężczyzna, ubrany po myśliwsku. Nie podszedł zresztą do szopy, jak moi znajomi, którzy wiedzieli, że zwykle tu na nich czekam, tylko skierował się prosto w stronę domu.

„No — pomyślałem — widocznie umówili się jeszcze z kimś, kogo nie znam, i przysła i go tu na zwiady”.

Widziałem, jak nieznajomy ostrożnie nacisnął klamkę u drzwi wejściowych. Ale zamknąłem je wychodząc. Podszedł do drzwi kuchennych i tak samo próbował je otworzyć. Przystanął widocznie zakłopotany i nagle odwrócił się do mnie twarzą, w tej chwili właśnie jasno oświetloną wschodzącym słońcem. I wtedy dopiero poznałem mego przyjaciela.

Długo stałem przykuty do miejsca, zrozpaczony, ogarnięty nagle falą nieukojonego żalu, który na nowo został zbudzony jego powrotem. Meaulnes tymczasem zniknął za domem, obszedł go naokoło i powrócił bezradny.

Wtedy podszedłem do niego i szlochając uściśnałem go bez słów. Zrozumiał od razu.

— Ach, tak — rzekł zdławionym głosem — ona umarła, prawda?

I stał tak skamieniały, głuchy na wszystko, straszny. Wziąłem go za ramię i łagodnie wprowadziłem do domu. Było już widno. Myślałem, że lepiej będzie od razu odbyć to najokropniejsze, i poprowadziłem go prosto do pokoju zmarłej. Gdy tylko otworzyłem drzwi, podszedł do łóżka, upadł na kolana i długo trwał tak bez ruchu, z głową ukrytą w ramionach.

Wreszcie wstał chwiejąc się na nogach, z nieprzytomnym wyrazem na twarzy. Znowu wziąłem go za rękę i prowadząc jak lunatyka otworzyłem drzwi do dzieciennego pokoju. Niańka właśnie zeszła na dół, a mała przez ten czas zbudziła się i rezolutnie usiadła. Ponad brzegiem kołyski widać było akurat jej jasną główkę; zwróciła w naszą stronę zdziwione oczy.

— To twoja córka — rzekłem.

Meaulnes drgnął i spojrzął na mnie.

Potem nagle porwał dziecko na ręce i przycisnął do piersi. Nie mógł nawet popatrzeć na nią, bo twarz zalewał mu gwałtowny strumień łez. Po chwili, chcąc jakoś zapanować nad rozrzewnieniem, trzymając wciąż małą przyciśniętą do siebie, odwrócił trochę głowę w moją stronę i rzekł nie patrząc na mnie:

— Sprowadziłem ich tu, tamtych dwoje... Idź do nich, są w swoim domu.

Istotnie, kiedy przed południem zamyślony i prawie szczęśliwy szedłem połą drogą w stronę domku Rudolfa, który pokazywała mi kiedyś Yvonne, zobaczyłem z daleka jakąś młodą gosposię w białej krezce koło szyi zamiatającą próg swego mieszkania. Była przedmiotem zainteresowania i zachwytu wszystkich pastuszków, którzy odświętnie ubrani spieszyli właśnie tędy na sumę do kościoła.

Po chwili jednak małej znudził się mocny uścisk, a że Meaulnes chcąc ukryć łzy nie patrzył na nią i wciąż odwracał głowę, dziecko wykręciło się energicznie i mocno trzepnęło go rączką po zarośniętej i mokrej twarzy.

A wtedy ojciec podniósł swą córkę wysoko do góry i popatrzył na nią śmiejąc się cicho przez łzy. Mała, widocznie tym zachwycona, zatrzepotała radośnie rączkami...

Cofnąłem się trochę, żeby lepiej im się przyjrzeć. Z żalem, ale i z radością rozumiałem, że dziecko znalazło w ojcu od razu tego towarzysza, na którego podświadomie od dawna czekało... Meaulnes przyszedł odebrać mi tę jedyną radość, która mi jeszcze pozostała. I już wyobrażałem sobie mego przyjaciela, jak nocą bierze córkę na ręce, owija ją połą płaszczą i wyrusza z nią razem na poszukiwanie nowych, niezwykłych przygód.

Henri Alban Fournier — Alain-Fournier to półpseudonim, wybrany przez początkującego literata w 1907 r. — urodził się 3 października 1886 r. w La Chapelle-d'Angillon, małej miejscinie położonej w departamencie Cher, trochę na północ od Bourges, w malowniczej Sologne. W tej samej miejscowości, 16 lipca 1889 r., przychodzi na świat siostra pisarza, której dedykowana jest powieść. Ojciec i matka są nauczycielami. W październiku 1891 r. rodzina Fournierów przenosi się do Epineuil-le-Fleuriel, wioski oddalanej od miejsca urodzenia o 90 km na południowy wschód. W niedalekiej okolicy leży Nançay, gdzie mieszka rodzina ze strony ojca. Przez całe swoje krótkie życie Alain-Fournier wracał do tego zakątka Francji, podpatrywał jego urodę na pieszych lub rowerowych

wycieczkach, rozmawiał z jego mieszkańcami i czuł się wieśniakiem. Nie lubił Paryża, dokąd jednak pojechał na dalszą naukę. Przez trzy długie lata był uczniem paryskiego liceum Voltaire. Potem odnajdujemy go w liceum w Breście, gdzie szykuje się do egzaminu wstępnego do Szkoły Morskiej istniejącej w tym mieście. Ale już w grudniu 1902 r. przerywa niedoszły marynarz naukę, wyjeżdża z Brestu i od stycznia roku następnego widać go w liceum w Bourges, w rodzinnych stronach. Kończy tam klasę maturalną i postanawia przygotować się do konkursu w École Normale Supérieure. W tym celu zaczyna w 1903 r. pierwszą klasę przygotowawczą w liceum Lakanal w Sceaux pod Paryżem. Siedemnastoletni Henri wiąże się wtedy przyjaźnią z Jacques Rivière'em, który w 1909 r. poślubi siostrę pisarza.

1 czerwca 1905 r., w dzień Wniebowstąpienia, dziewiętnastoletni licealista spotyka na stopniach Petit-Palais piękną i tajemniczą nieznaną. 11 czerwca, w Zielone Świątki, ma miejsce drugie spotkanie z dziewczyną jego marzeń, która się nazywa Yvonne de Quièrecourt. Ta niespełniona miłość stanie się obsesją całego życia pisarza:

„Nie widziałem nigdy, jestem tego pewny, kobiety równie pięknej, kobiety, która by miała choć cień jej wdzięku. To było coś na kształt widzialnej duszy, wyrażonej twarzą i żyjącej w marszu. To było piękno, którego nie potrafię wyrazić. Sto zdań przychodzi mi na myśl — wszystkie pasują, ale żadne nie zadowala. Była to w każdym razie dusza najbardziej kobieca i najbielsza, jaką znałem...”

W lipcu, sierpniu i wrześniu tego samego roku Fournier przebywa w Londynie. Pracuje w biurze fabryki tapet Sandersona, zwiedza muzea i wystawy (odkrywa prerafaelitów, Rossettiego zwłaszcza i jego Beatę Beatrix), ogląda miasto i jego mieszkańców, czyta (był wtedy uważnym i entuzjastycznym czytelnikiem Dickensa) i snuje projekty pisarskie. Już wtedy zaczyna redagować pierwsze strony przyszłej powieści, robić notatki i zastanawiać się, czy ma co nowego do powiedzenia. Szukając odpowiedniej dla siebie formy, bierze pod uwagę trzy możliwości: Dickensa, Goncourtów i Laforgue'a. Chciałby pisać jak Laforgue właśnie, ale nie wiersze, lecz powieść. Trzeba by tylko zrezygnować z intrygi i z postaci, które byłyby jedynie „spotykającymi się marzeniami” lub „przyływem i odpływem życia”. W tle występują inni powieściopisarze, którzy już spełnili swoją rolę, Daudet i Fromentin. Pojawiają się pierwsze tytuły przyszłej jego książki: Powieść prowincjonalna, Powieść niedysyjska, potem w listopadzie 1905 r., Ludzie z folwarku, w lutym

1906 r. — Ludzie z majątku albo Dziewczyna z majątku. Pisze również wiersze, *A travers les étés...* i *Dans le chemin qui s'enfoncé...*, które ewokują postać jasnowłosej dziewczyny, utraconej Yvonne, i może Beate Beatrix z obrazu Rossettiego i które przywołują na pamięć jeden z najsłynniejszych wierszy Mallarmégo, *Apparition*.

W 1907 r. przed Fournierem zamyka się ostatecznie możliwość dostania się do *Ecole Normale Supérieure*. Przeżywa to niepowodzenie bardzo głęboko, ale jeszcze bardziej dotyka go wiadomość o ślubie Yvonne de Quiévrecourt, którą nadal kocha. Nie zachwycą go również perspektywa dwóch długich lat służby wojskowej, którą rozpoczyna w październiku. Jedyną radość: 25 grudnia, jak prezent na Boże Narodzenie, w „*La Grande Revue*” ukazuje się, jako pierwszy drukowany tekst Alain-Fourniera, proza poetycka *Le Corps de la Femme*. Podczas służby wojskowej, mimo zmęczenia i nawału zajęć, literatura zajmuje w jego życiu znaczne miejsce. Pisze i czyta. Pracuje nad nowymi rozdziałami, ale chwilami wpada w rozpacz, bo wie, że nie posiadał jeszcze swojej sztuki pisania. Wraca do Dostojewskiego, jeszcze raz czyta Morf, który wywiera na nim jeszcze większe wrażenie niż poprzednim razem („Od kiedy czytałem Claudela, żadna książka nie zbliżyła mnie bardziej do chrześcijaństwa niż *Idiota*”...). Czyta, „jak jaki stary Anglik”, Biblię, której wpływ na wykształcanie się stylu pisarza jest niebagatelny — znajduje w niej tę „straszną prostotę”, której ciągle szuka. W maju i czerwcu roku 1909 przeżywa okres zwątpienia, kryzys świadomości i niepokój metafizyczny, „rodzaj zmęczenia i niemożność w noszeniu, w znoszeniu świata”: „Kiedyś nie było ciężaru, którego bym nie był zdolny dźwignąć, formy, której bym nie mógł uczynić swojej, pejzażu, którego bym nie był w stanie przekształcić. Nie myślałem, żeby siebie oszczędzać. Ale teraz jestem zmęczony i nawiedza mnie obawa, gdyż widzę, że kończy się moja młodość. Już nie rozmieniam się na drobne. Stoję przed światem jak ktoś, kto już wybrał, zanim odejdzie.”

W liście z 18 czerwca 1909 r., to znaczy po czterech latach myślenia o swoim pisaniu i na cztery lata przed ukończeniem powieści, wysłał Rivière'owi jedyną, jak pisze, ukończoną stronicę ze wszystkich do tej pory zaczętych. Jest to fragment przyszłej powieści, który nie znalazł miejsca w ostatecznej redakcji. Został on później włączony do zbioru *Miracles*, gdzie nosi tytuł *Dans le tout petit jardin...* Jest datowany: maj 1909. Wydaje się, że wtedy właśnie, w maju-czerwcu 1909 r., sztuka powieściopisarza zaczyna zmierzać do punktu, który niebawem okaże się

punktem zwrotnym: „ciągle wyobrażam sobie moją książkę jako najcudowniejszą historyjkę, jaka kiedykolwiek poruszyła dzieci grzeczne i skryte; ale chwilami da o sobie znać przerażenie, jakby chodziło o śmierć; spokój i cisza tak straszne jak wtedy, kiedy człowiek porzuca nagle swoje ciało nad brzegiem tajemniczego świata.” Jednak wszystko jest jeszcze schematem, abstrakcją, ciągle zbyt odległą od życia i od wewnętrznej prawdy, którą przyszedł pisarz chcąc nam przekazać.

Tymczasem kończy się służba wojskowa i dwudziestotrzyletni Henri Fournier nie ma żadnego dyplomu, żadnego zawodu. Chce jeszcze zaczynać jakieś studia, chce jechać do Anglii, może do Chin, bo nie chce być „jakimś tam profesorkiem”. W końcu zostaje dziennikarzem. 9 maja 1910 r., w „Paris-Journal” ukazuje się jego pierwsza z bardzo wielu doskonale napisanych kronik literackich. Obowiązkiem kronikarza jest dostarczanie stu linijek tekstu dziennie. Jest już znany w środowisku literackim Paryża. W styczniu ukazała się w „L’Occident” jego proza, *L’amour cherche des lieux abandonnés*, a w „La Nouvelle Revue Française” — pierwsza jego notka krytyczna w tym piśmie (będzie ich jeszcze cztery w tym roku, między innymi recenzja z Marii Klary Marguerite Audoux). Od kwietnia, przez parę miesięcy, daje lekcje francuskiego T. S. Eliotowi. I pracuje ciągle nad {»wieścią: „Meaulnes, duży Meaulnes, bohater mojej książki, jest człowiekiem, którego dzieciństwo było zbyt piękne. Przez całą swoją młodość ciągnie je za sobą. Chwilami wydaje się, że cały ten raj wyobrażony, będący światem jego dzieciństwa, ukaże się pod koniec jego przygód albo zjawi się wywołany jednym z jego gestów. Jak ten zimowy poranek, kiedy po trzech dniach niewyjaśnionej nieobecności wraca do klasy niby młody bóg tajemniczy i niesłychany. Ale on już wie, że ten raj nie może dalej istnieć. Zrezygnował ze szczęścia. Jest na tej ziemi jak ktoś, kto ma z niej odejść. I to jest tajemnica jego okrucieństwa. Odślania podstęp i ujawnia fałsz wszystkich małych rajów, jakie mu się nadarzają. A kiedy szczęście niezaprzeczone, nieuchronne wznosi się przed nim i opiera na jego twarzy swoją ludzką twarz, duży Meaulnes ucieka nie z bohaterstwa, ale ze strachu, ponieważ wie, że prawdziwa radość nie jest z tego świata. ”

Mimo tak pogłębionej charakterystyki dużego Meaulnesa, wizja całości ciągle nie jest jeszcze pełna, nie wiadomo nawet, kto będzie bohaterem; po jeszcze jednym tytule, *Ziemia bez nazwy*, pojawia się następny, *Dzień weselny*, który w ostatecznej redakcji jest tytułem centralnego rozdziału części trzeciej. Jest już napisanych

dwadzieścia pięć stron, ale i tak albo są nie dokończone, albo nadają się do przerobienia. Są notatki, jest plan, wiele rzeczy zaczętych, ale zanim powieść się ukáže, miną jeszcze trzy lata. Alain- -Foumier walczy z formą, z językiem, który według oczekiwań autora powinien być językiem św. Mateusza lub, jak mówił Laforgue, „francuskim, Chrystusa”.

Alain-Foumier poznaje Jeanne B., modystkę paryską, która w brulionach powieści występuje jako Annette, a w samej powieści przekształca się w Walerię. Ich burzliwa miłość trwa dwa lata. Na pierwsze dni sierpnia 1910 r. przypada początek znajomości i przyjaźni z Marguerite Audoux i Karolem Péguy, którzy zjawili się w ważnym momencie ewolucji twórczej Alain-Foumiera i od których wiele się nauczył, przede wszystkim prostoty, prawdy, człowieczeństwa. Trochę pod ich wpływem Alain-Foumier porzuca swój romantyczno-symbolistyczny subiektywizm i znajduje swoją drogę do Damaszku. Znaleziona droga do Damaszku polega na wyzwoleniu się od wszystkiego i na porzuceniu nieprzydatnych bagaży. To już nie sztuczne wznoszenie budowli, która ciągle była sztuczna, lecz odnalezienie nieskrępowanego „zmysłowego zdania”, swego własnego zdania: „Zacząłem pisać po prostu, bezpośrednio, jak któryś z moich listów, małymi krótkimi i zmysłowymi fragmentami historię dość prostą, która mogłaby być moją własną historią. Porzuciłem całą tę abstrakcję i filozofię, którymi byłem skrepowany.” Coraz bardziej jego książka staje się „powieścią o przygodach i odkryciach”: I Audoux, i Péguy, i Tomasz Hardy ze swoimi powieściami, Tessą i Judą, pomagają mu wyzwolić się spod jarzma symbolizmu i wyrzucić wszystko, co jest ozdobnikiem lub amplifikacją.

W 1911 r. ukazują się dwa utwory Alain-Fourniera. „La Grande Revue” drukuje Le Miracle de la Fermière, a „La Nouvelle Revue Française” — Portrait. Od Péguy’ego dostaje list: „Właśnie przeczytałem pański Portret. Daleko pan zajdzie, Fournier. Przypomni pan sobie, że to ja panu o tym powiedziałem.” Zjawia się jesienna miłość Alain-Foumiera, Henriette, piosenkarka z jakiegoś teatryku. Przygoda nie trwa długo, ale w liście do niej z 11 grudnia 1911 r. znajduje się ciekawy fragment dotyczący powieści:

205

i ^JI&WL

„Praca mi nie idzie. Muszę się jednak do niej przyłożyć. Na drodze stoi trzech wiejskich sklepikarzy wracających do domu ze święta Trzech Króli. Złamał im się dyszel u woza. A oni zaprosili mojego przyjaciela, Dużego

Meaulnesa, ucznia, żeby wsiadł razem z nimi. Muszę zacząć naprawiać ten dyszel, a potem ruszymy na niesłychane przygody.”

Epizod ten nie znalazł się w ostatecznej redakcji powieści. Wskazuje on na wahanie pisarza, który ma jeszcze przed sobą ogrom pracy do pokonania w ciągu roku następnego. W kwietniu 1912 r. Alain-Fournier rozstaje się z „Paris-Journal”, a już w maju, rekomendowany przez Péguy’ego, zostaje sekretarzem Claude Casimir- -Périera, który pisze książkę o Breście. Zona Périera, znana aktorka Simone (Polka z pochodzenia, Paulina Bendówna) zostaje wkrótce nową miłością pisarza. W liście z 25 października 1912 r. pojawia się po raz pierwszy ostateczny tytuł powieści, ale praca nad nią trwa jeszcze na początku 1913 r., a nawet dłużej, bo 3 maja Alain-Fournier nie podjął ostatecznej decyzji, jakie będzie zakończenie. Wkrótce jednak stawia ostatnią kropkę i natychmiast zaczyna pracować nad następną powieścią, niedokończoną Colombe Blanchet. Zajmują go także bardzo przygotowania mające doprowadzić do spotkania z Yvonne, której nie widział osiem lat. Yvonne de Quiévrecourt została panią Brochet i matką dwojga dzieci. Spotkanie dochodzi do skutku w Rochefort, w maju. Ale to już nie to samo — ich korespondencja, ich rozmowy, „wszystko to przesiąknęło smutkiem epoki zbyt odległej. To była naprawdę, to jest naprawdę jedyna istota na świecie, która mogła mi dać pokój i spoczynek. Teraz jest możliwe, że nie będę miał spokoju na tym świecie.”

Tymczasem Le Grand Meaulnes zaczyna znajdować swoich czytelników. Najpierw miał się ukazać w odcinkach w „L’Opinion”. W końcu jednak powieść drukuje w pięciu kolejnych numerach „La Nouvelle Revue Française” (lipiec-listopad 1913 r.). Edycja książkowa trafia do księgarń w październiku. Pod koniec listopada gazety zaczynają wiązać nazwisko Alain-Fourniera i tytuł jego powieści z mającym niebawem nastąpić głosowaniem Akademii Goncourtów.

Jak wiadomo, Alain-Fournier nagrody Goncourtów nie dostał.

Trudne głosowanie, w którym najpierw miał przewagę, wyłoniło w końcu powieść Marka Eldera (pseudonim Marcela Tendron), *Le peuple de la mer*. Nazajutrz po ogłoszeniu wyników André Billy nie ukrywał zawodu:

„Nagroda Goncourtów za rok 1912 była niewypałem. Nagroda za 1913... No cóż, tak, wydaje się, że to już tradycja.” Henri Massis był oburzony: „wyrok Dziesięciu jest corocznym skandalem, szkodą wyrządzaną literaturze francuskiej, próbą zepsucia młodzieży literackiej.”

Alain-Fournier miał oczywiście ochotę na nagrodę, ale po werdykcie

zdaje się nie rozpaczał. Mówił, że nie chce żadnej nagrody, żadnych pieniędzy, chce tylko, żeby jego powieść była czytana. Cieszyły go zatem pełne sympatii głosy młodszych i starszych kolegów, jak choćby list od Valéry Larbauda, który tak pisał o świeżo przeczytanej książce: „Lubię ją bardzo, to piękna książka. Odczuwam ją najpierw jak delikatną muzykę słyszaną z oddali. Kiedy się przybliży, rozróżniam w niej wzloty, wyznania, zduszone bardzo szybko namiętności, powstrzymywany płacz, całą tę czułość melodii ludowych i te długie bezkresne zawołania, jakie zdaje się nam słyszeć w romansach cygańskich, po północy — ale tutaj one są i pora jest obojętna.”

Alain-Fournier pracuje zapamiętałe nad Colombe Blanchei i planuje napisanie sztuki teatralnej, która miała się nazywać *La Maison dans la Forêt*, ale z której pozostał jedynie szkic. A kiedy ogłaszają mobilizację, porucznik Fournier stawia się 4 sierpnia w 288 pułku piechoty w Mirandę. Jego pułk wchodzi w skład 67 dywizji rezerwy. Dywizję rzucają do walki 24 sierpnia i potem jest wykorzystywana we wszystkich posunięciach strategicznych do końca miesiąca i przez cały wrzesień w okolicy Verdun. 22 września, podczas rekonesansu między liniami frontów, w lasach w pobliżu Saint-Rémy, Alain-Fournier ginie bez wieści na czele dowodzonej przez siebie 23 kompanii. Miał zostać ugodzony kulą w czoło. Przeczuwał swoją śmierć i przeczuwał zbliżającą się wojnę. Już w momencie konfliktu agadirskiego powiedział, że jest ona nieuchronna i że on z niej nie powróci.

Jakże trwałym po nim śladem jest jego jedyna ukończona powieść, wokół której to tragiczne, przedwczesne zniknięcie tak dobrze zapowiadającego się pisarza wytworzyło jednak specyficzną aurę, która zaciążyła nad dalszą historią dzieła, czytanego bardzo często z niepotrzebnym pietyzmem. Historia książki jest rzeczywiście oparta na nieporozumieniu, jak się wyraził niedawno Jean Gaultier. Winą za ten stan rzeczy trzeba przede wszystkim obarczyć krytykę, która czytała tę powieść jako zapis przeżyć jej autora, wiążąc wydarzenia powieściowe z wydarzeniami zaistniałymi w życiu pisarza i zostawiając na boku jej wartości literackie. Takie biograficzne czytanie stało się możliwe już w latach dwudziestych, z chwilą opublikowania przez rodzinę pisarza informacji i dokumentów, które przesłoniły dzieło.

Ważną datą w historii krytyki *Le Grand Meaulnes* jest tom wierszy i utworów prozą Alain-Fourniera, *Miracles* (1924), poprzedzony

znakomitym wstępem Jacquesa Rivière'a, przyjaciela i szwagra pisarza, przyjaciela Gide'a i Prousta. Wstęp Rivière'a nie doczekał się niestety bezpośrednich kontynuatorów, ale rozbudził zainteresowanie powieścią, podparte wkrótce, już po śmierci Rivière'a, nowymi publikacjami. W latach 1926—28 ukazała się korespondencja Alain-Fourniera z Rivière'em, obejmująca okres od stycznia 1905 do lipca 1914 r. To jeden z najpiękniejszych i najbardziej znaczących dokumentów myśli naszego stulecia i niezastąpione źródło informacji dla tych, którzy szukają informacji z pierwszej ręki o tamtej epoce i o ludziach z tamtych czasów. W 1930 r. wyszły listy Alain-Fourniera do rodziny i do René Bicheta, przyjaciela z liceum Lakanal, a dopiero w 1973 r. ukazała się korespondencja z Karolem Péguy. Do tego znacznego korpusu korespondencji doszły dwie książki siostry pisarza, Isabelle Rivière, *Images d'Alain-Fournier* (1938) i *Vie et passion d'Alain-Fournier* (1963) oraz wspomnienia Simone, *Sous de nouveaux soleils* (1957). Wreszcie w 1968 r. ukazała się biografia pióra Jean Loize'a, *Alain-Fournier, sa vie et „Le Grand Meaulnes”*.

W ślad za tymi publikacjami, pojawiały się ambitne często studia, które dzisiaj zajmują swoje miejsce w historii krytyki powieści: pierwsza monografia Alain-Fourniera, napisana przez Niemkę, Ewę von der Wall (1932), książka Szwajcara, Waltera Jöhra (1945), książki Francuzów, Christiana Dédéyan (1948)

i Henri Gilleta (1948) oraz Anglosasów, Roberta Gibsona (1953), Roberta Champigny'ego (1954) i Stephana Ullmanna (1960).

Zdecydowaną zmianę w podejściu do powieści Alain-Fourniera można zaobserwować w latach sześćdziesiątych, kiedy Leon Cellier zapoczątkowuje lekturę inicjacyjną i mistyczną („*Le Grand Meaulnes*" ou l'initiation manquée, 1963). Jego książka, niewolna od fałszywych konkluzji, wpuszczała trochę świeżego powietrza do zakurzonego muzeum, jakim stawały się we Francji badania nad powieścią Alain-Fourniera, i otwierała nowe perspektywy. Z książką Michela Guiomara (*Inconscient et imaginaire dans „Le Grand Meaulnes”*, 1964) zaczyna się prawdziwie nowy etap. Opierając się na pracach Bachelarda i Webera, autor odrzuca metody krytyki biograficznej i dowodzi, że Mój przyjaciel Meaulnes, od początku do końca, jest całkowicie fantastycznym lub raczej onirycznym poematem oraz że jedynym tematem pisarza jest utracony dom rodzinny wraz z motywami, które współtworzą temat zajmujący w powieści miejsce centralne. Śladem wytyczonym przez Celliera i

Guimara poszło wielu badaczy dostarczając nierzadko ciekawych studiów o nastawieniu tematyczno-psychoanalitycznym lub strukturalistycznym.

W studiach nad powieścią dużo miejsca zajmują badania dotyczące źródeł i wpływów. Już bardzo wcześnie, tuż po ukazaniu się powieści, krytycy starali się powiązać Alain-Fourniera albo z którymś mniej lub bardziej znanym pisarzem, albo z prądem literackim. W latach następnych problem źródeł i wpływów bywał dotykany lub sygnalizowany, ale zwykle w sposób powierzchowny.

W tej dziedzinie wiele jeszcze pozostało do zrobienia. Nie pokazano dotąd, w jaki sposób Alain-Fournier zasymilował lub przetworzył wpływy, którym uległ. Brak ciągle studiów poświęconych związkom pisarza z tymi, którzy go zafrapowali, do których wracał, jak choćby Dostojewski czy Marcel Schwob. Wśród studiów poświęconych wpływom angielskim, tym, do których pisarz sam się przyznawał, na szczególną uwagę zasługują prace Roberta Gianoniego na temat powinowactw duchowych łączących Alain-Fourniera i Tomasa Hardy'ego. Stwierdził on przekonująco wpływ Anglika na Francuza polegający na tym, że lektura Tessy spowodowała u Alain-Fourniera kryzys wartości symbolistycznych. W powieści Alain-Fourniera można również stosunkowo łatwo

/j

/

odkryć pomysły, obrazy lub zdania przejęte z jego zachłannych i obfitych lektur. Wiadomo na przykład, że Wichrowe wzgórza wzbudziły jego entuzjazm. Jeden z najbardziej zapadających w pamięć obrazów angielskiego arcydzieła („...gałąź jodły, która dotykała okna, szarpana podmuchami wicheru była suchymi szyszkami o szyby”) został spożytkowany przez Alain-Fourniera w dziewiątym rozdziale części trzeciej: „tylko gałąź róży ogołocona z liści raz po raz uderza o szybę. Jak dwaj podróżni na łodzi puszczonej bez steru, tak płyną kochankowie wśród ciemnej nocy zimowej, zamknięci sam na sam ze szczęściem.” A znowuż słowa Katarzyny, która opowiada Nelly swój sen („...w niebie było mi źle. Wyplakałam sobie oczy z tęsknoty za ziemią...”) współbrzmia ze słowami Yvonne: „Ja uczyłabym chłopców, żeby byli dobrzy i rozsądni — mówiła. — Tak jak ja to rozumiem. Nie rozbudzałabym w nich pragnienia przygód, bujania po świecie i gonienia nie wiedzieć za czym, jak by na pewno pan robił, gdyby pan nimi kierował! Ja uczyłabym ich, żeby szukali tego szczęścia, które jest blisko nieraz, a może na to nie wygląda...” Czy nie znajdował u Novalisa

potwierdzenia własnych myśli? Czytał przecież u niego, że tam, gdzie są dzieci, tam jest wiek złoty („Moje credo w sztuce i literaturze — dzieciństwo”, pisał w jednym z listów do Rivière’a), że wszystkie wydarzenia z życia człowieka są materiałem, z którym możemy robić, co nam się podoba, że można sobie wyobrażać historyjki bez ciągu, a jednak powiązane ze sobą, jak marzenia senne, że pokój dziecinny, strych, składzik są równie poetyckie jak natura, że można traktować w sposób poetycki najzwyczajniejsze zajęcia i że rzeczą najwyższą i najczystsza jest to, co najbardziej zwyczajne, najbardziej zrozumiałe.

W przeciwieństwie do studiów, o których była wyżej mowa, istnieje niewiele prac poświęconych językowi i stylowi powieści. Ale te, które są, bywają bardzo interesujące i płodne. Georges Timmermans zanalizował w 1965 r. lejtymotywy stylistyczne i rytm zdania fourmierowskiego, a wspomniany już Stephen Ullmann w olśniewający sposób prześledził obecność w powieści obrazów związanych z morzem z jednej strony, a z drugiej — cytując fragment listu Alain-Fourniera do Rivière’a — mógł napisać: „...wrażenia, dzięki którym przypomina on sobie dom dziadków w La Chapelle-

-cTAngillon zawierają prawie wszystkie elementy proustowskiej rekonstrukcji przeszłości.” Już wcześniej Robert Champigny zaproponował pełną nowych perspektyw lekturę powieści wiążąc nazwisko Alain-Fourniera z Proustem oraz Kierkegaardem i Bergsonem. Pisał, w związku z Bachelardem, o „pamięci poetyckiej” Alain-Fourniera, jednego z tych pisarzy, którym udaje się opisać to, czego właściwie język nie może wyrazić.

Istotnie, Mój przyjaciel Meaulnes pokazuje w sposób równie wyrazisty jak dzieło Prousta ważny moment w ewolucji powieści francuskiej na początku naszego stulecia, wydobywającej się powoli z kryzysu, w jaki ją pogrążył psychologizm postnaturalistyczny. Dziś już nie ulega wątpliwości, że mniej więcej od czasu eksperymentów braci Goncourt, powieść zaczyna spoglądać w stronę poezji i że poezja, głównie za sprawą Baudelaire’a, zaczyna się wyzwalać ze sztywnych ram prozodii klasycznej i dążyć w stronę prozy. Granice między gatunkami zacierają się. Coraz częściej dochodzi do głosu zjawisko, któremu nadano nazwę symbiozy sztuk. Pisarze zrywają z tradycyjnym opisem, wyraźnie prowadzoną akcją, drobiazgową analizą psychologiczną i obserwacją tła. Powieść z tamtego okresu, powieść poszukująca nowych możliwości wyrazowych, wydobywa w egzystencji bohaterów to, co tajemnicze i niewytłumaczalne. Ważną rolę

zaczynają odgrywać marzenia senne, halucynacje, niewyraźność konturów, fragmentaryczne postrzeganie świata. Do tych pisarzy należy Alain-Fournier. Z tego punktu widzenia, lektura Meaulnesa jest niezwykle interesującą przygodą literacką. Michel Raimond zauważył w swojej książce poświęconej kryzysowi powieści na przełomie wieków, że w osobie Alain-Fourniera obcujemy z twórcą, który długo waha się między poezją i powieścią, który wyznacza «wielki cel przypisywany dotąd poezji i który zdaje sobie w końcu sprawę, że musi wyrazić swoją intuicję poetycką poprzez historię, jaką ma do opowiedzenia, bo jest powieściopisarzem, a nie poetą.

Jest to zagadnienie niezmiernie delikatne i skomplikowane, ale jego rozwikłanie może się jednak opłacić odsłaniając przy okazji sekret powieści i tłumacząc jej znaczenie, odrębność i niesłabnącą żywotność. W świetle różnych wiarygodnych i sprawdzonych przekazów trzeba przyjąć za pewnik, że poeci francuskiego symbolizmu ukształtowali wrażliwość pisarza, który jednak bardzo szybko zrozumiał, że jego prawdziwe powołanie to powieść, nie poezja. Początkowy zamysł powieści, jeszcze bardzo niewyraźny, pojawił się w momencie, kiedy Alain-Fournier znajdował się pod przemożnymi wpływem symbolizmu. Jego literackimi bogami byli R gnier, Jammes, Laforgue, Rimbaud, Mallarm  i Claudel. To, co wtedy pisał i co miało być przyszłą powieścią, miało charakter poetycki, zbliżony do Iluminacji Rimbauda. Młody pisarz był wtedy zafrapowany możliwościami literackimi tkwiącymi we fragmencie, co było domeną poezji i prozy poetyckiej. A jednocześnie chciał opowiedzieć jakąś historię, opisać wydarzenie, jak to robili Dickens czy bracia Goncourt.

Wytrawny znawca literatury francuskiej, Albert Thibaudet, postawił tę powieść z 1913 r. obok kilku innych książek wydanych w tym samym czasie — A. O. Bamabootha Val ry Larbauda, Loch w Watykanu Andr  Gide'a i W stronę Swanna Marcela Prousta — i był zdania, że wszystkie one stanowią najbogatszy w konsekwencje zwrot, jaki miał miejsce w literaturze francuskiej po 1830 r. Uważał teŹ tę książkę za arcydzieło powieści przygodowej napisanej na sposób francuski. Dowodził, że angielska powieść przygodowa odbywa się niemal ca kowicie bez obecno ci kobiety, bez mi ci, kt ra — jeŹeli juŹ się pojawia — jest najcz ściej traktowana jako element odpoczynku, odpr żenia lub nawet komizmu. Powie  przygodowa pisana przez Francuza staje si  romansem, to znaczy — jak chce Thibaudet — powieścią, w kt rej mi c zjawia si 

w sposób nieoczekiwany, jak przeznaczenie. Romansowa przygoda Augustyna z powieści Alain-Fourniera jest efektem młodzieńczej wyobraźni, a nie skutkiem przypadku, jak to się dzieje w powieściach Benoita czy Farrère'a.

Istotnie, wydaje się, że Alain-Fournier znalazł dla powieści formułę świeżą i oryginalną, która w studium Jacquesa Rivière'a

o powieści przygodowej z roku 1913 przygląda się swemu teoretycznemu odbiciu, nie będąc jednak w żaden sposób jego sobowtórem. W ujęciu sekretarza i krytyka „La Nouvelle Revue Française”, w nowej powieści przygodowej, bogatej w doświadczenia zaczerpnięte u pisarzy angielskich i rosyjskich, wszystko może się wydarzyć. Ta nowa powieść powinna być długa, a nawet mieć dłuższy; jej bohater to postać do końca zagadkowa; jej akcja powinna wybuchać jednocześnie w różnych miejscach. Ta wystarczająco szeroka i pojemna formuła, w której może znaleźć miejsce i Gide, i Proust, frapowała nowością, zapowiadała odrodzenie zużytej formy powieściowej.

Taka powieść miała być reakcją na przeżyty symbolizm i na powieść typu bourgetowskiego. Jednakże, ani słowne, czysto zewnętrzne deklaracje Alain-Fourniera, ani zapewnienia znajomych

i przyjaciół o zarzuceniu przez niego estetyki symbolizmu nie są w stanie zniweczyć klimatu poetyckiego, w jakim przyszło dojrzewać dorastającemu młodzieńcowi. Ten klimat odnajdujemy w powieści.

Wystarczy na przykład przyjrzeć się występującemu w sposób bardzo dyskretny motywowi morza w powieści, której akcja rozgrywa się w piaskach zagubionej w środku Francji Sologne, żeby zauważyć, że to jest morze romantyczno-symbolistyczne, którego rozszalałe fale lub delikatne jak mgła kropelki niosą odpowiednie znaczenia, nastroje i symbole, jak w wiodących tekstach okresu symbolizmu, ale że jest to jednocześnie morze pachnące solą i wysmołowaną deską statku, jak w angielskiej powieści przygodowej. Wystarczy zauważyć wykwintną

i przepyszną kompozycję całości i fragmentu, która przywołuje jednocześnie Mallarmego i Stevensona, żeby stwierdzić, że tajemnica książki Alain-Fourniera polega — choć nie tylko — na harmonijnym, nigdy przedtem nie zrealizowanym zespoleniu dwóch odrębnych jakości estetycznych: symbolizmu francuskiego i angielskiej powieści przygodowej.

Nie ulega wątpliwości, że ocena książki młodego Davida, wygłoszona przez pana Omera w pięćdziesiątym pierwszym rozdziale Davida

Copperfielda dała Alain-Fournierowi, tak jak narratorowi książki angielskiej, równie wiele do myślenia:

„Jakże pan, panie Copperfield, ślicznie i zajmująco pisze. Dęczytuję do ostatniego słowa i ani razu nie zdrzemnąłem się nad pańskimi utworami.

Śmiałem się z tej oceny, w gruncie rzeczy dała mi ona wiele do myślenia.”

^Zbigniew Naliwajek